

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXX

ROK VIII.

TOM II. — ZESZYT II.

Maj.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1883.

SPIS RZECZY.

I. SPÓŁCZESNA BULGARYA. Przez *Jana Grzegorzewskiego* 201
II. PAMIĘTNIKI HUSARZA Z PIERWSZYCH LAT XVII WIEKU. (Samuel Maszkiewicz). (Dokończenie) Przez *Bronisława Chlebowskiego* 232
III. SIŁY PRODUKCYJNE WIELKICH I MAŁYCH GOSPODARSTW Przez *Julijana Łapickiego* 255
IV. CZARODZIEJKA. Powieść. (Dokończenie). Przez *Kazimierza Glińskiego* 278
V. SPÓŁCZESNA POWIEŚĆ WE FRANCYI. IV Bracia Goncourt . . . . 314.
VI. PODWÓJNA WRAŻLIWOŚĆ ZMYSŁÓW. Przez *Dr-a J. Rostafińskiego* 337
VII. NAJNOWSZE BADANIA PODAŃ I ICH ZBIORY (Dokończenie). Przez *Jana Karłowicza* 349
VIII. NOWA TEORYA SŁOŃCA. Przez *Witolda z Kaliny Lassotę* 362
IX. ROZBIORY, SPRAWOZDANIA I WRAŻENIA LITERACKIE:
1. O ludności polskiéj w Prusach niegdyś krzyżackich. Napisał D-r. Wojciech Kętrzyński. Przez *Antoniego Prochaskę* 376
2. Mapa hydrograficzna dawnéj Słowiańszczyzny. Część zachodnio-północna. Rzeki i jeziora. Tekst objaśniający do mapy hydrograficznéj słowiańszczyzny przez *K. W.* 386
WRAŻENIA LITERACKIE 391

Druk ukończono 1 Maja 1883 r.

SPÓŁCZESNA BULGARYA.

I.

Przed i podczas wojny 1877 roku.

Kto miał sposobność przelotnie przesunąć się przez Bulgaryą w przededniu ostatniéj wojny wschodniéj, tego dziwny w pierwszéj chwili uderzał widok, niezwykły w społeczeństwach naszych: nie spotykało się tam ani żebraków, ani poetów, ani analfabetów. Takim się przedstawia na pierwsze wejrzenie ten naród, który najstarszym może będąc ze Słowian w kulturze chrześcijańskiéj, najmłodszym jest na widowni nowoczesnych dziejów politycznych. Przed tysiącem lat wsiąknąwszy w siebie dużo krwi obcéj, niesłowiańskiéj, wysunięty na ostatni kres Słowiańszczyzny do zetknięcia się z ludami różnemi pochodzeniem i cywilizacyą od rasy indoeuropejskiéj, wtłoczony przez pięć z rzędu wieków w organizm wschodni, muzułmański,—nie odsłania charakteru swego tak łatwo i tak wyraźnie jak każdy inny lud słowiański: powiedziałbym, że i w nim spoczywa sporo téj tajemniczości orientalnéj, tych rysów właściwych naturze wschodniéj, co to wynurzając się na powierzchnię życia społecznego niespodziankami dodatniemi i ujemnemi, omylają rachuby politycznych psychiatrów, rozpaczą przejmują przyjaciół, a zdziwieniem nieprzyjaciół.

Wydać sąd stanowczy o takiéj naturze nie jest rzeczą łatwą, zwłaszcza gdy natura ta wcale nie była przedmiotem badań. Jak mało znano Bulgaryą i Bulgarów nawet pod względem zewnętrznéj strony ich bytu, dość przypomnieć, że jeszcze w 1814 roku tak znakomity badacz słowiański, jakim był Dobrowski, uważał język bulgarski za narzecze serbskiego, a Szafarzyk w pierwszém wydaniu swego „Narodopisu“ słowiańskiego podaje liczbę Bulgarów na 600,000 osób. Proszę zestawić tę wiadomość z najnowszemi da-

tami statystyków bulgarskich, którzy podają liczbę swych ziomków na sześć a nawet ośm milionów dusz,— co za kontrast wypadnie na niekorzyść dokładnéj wiedzy?

Już to gdyby komu mieli stawiać Bulgarowie pomniki za zasługi podjęte w XIX wieku około ich odrębności i słowiańskości, to chyba zaczęliby od Karadzicza i Wenelina, tembardziéj, że obadwaj byli nie-Bulgarami, a więc bez obowiązków wrodzonych, jakie wkłada krew na ludzi jednego gniazda. Wuk Stefanowicz Karadzicz przez bliższe badania literackie i lingwistyczne o tyle przypomniał Bulgaryą światu, o ile Jerzy Wenelin swemi studyami historycznemi w niéj saméj zdawał się budzić poczucie świadomości narodowéj. Pierwszy był Serbem, znakomitym reformatorem języka i literatury serbskiéj, drugi Rusinem węgierskim. (Syn księdza ruskiego nazywał się początkowo Hucą, zmieniwszy dopiero na uniwersytecie lwowskim, około 1821 roku, rodowe swe nazwisko). W 1829 r. wyszedł 1-szy tom dzieła jego „Dawniejsi i dzisiejsi Bulgarowie“ etc., w którém przeprowadza pogląd, że Bulgarowie nie są zesłowiańszczonymi Turanami, jeno Słowianami (1).

---

(1) Atyllę przedstawia Wenelin jako narodowego bohatera bulgarskiego. Wobec tego pogląd na słowiańskie pochodzenie Bulgarów dostatecznie ilustruje jego teoryą, nadając onéj cechę fantastyczności, dalekiéj od ścisłości naukowéj. O wiele się jednak zmniejszą rozmiary téj fantastyczności, jeśli oddzielimy badania jego etnologiczne od historycznych; pogląd jego na fakta dziejowe nabierze wówczas więcéj prawdopodobieństwa naukowego. Atylla występuje w dziejach jako sprawca pogromu Germanów, który ułatwił rozwój sił społecznych i politycznych zachodniéj i południowéj Słowiańszczyzny. A jeśli J. Bartoszewicz (w „Pierwotnych dziejach Polski“) mógł wprost nazwać Atyllę sprzymierzeńcem Słowian, jego zaś obóz i dwór widziéć przepełnionym Słowianami, to i o kilkadziesiąt lat wcześniejszy od historyka polskiego Wenelin zasługiwałby słuszniej na pobłażliwość, niż zwolennicy wręcz przeciwnéj teoryi o turańskiem pochodzeniu Bulgarów, tembardziéj, jeśli ci zwolennicy występują w czasach dzisiejszych, a więc w chwili, kiedy mają do rozporządzenia znaczniejszy zapas wiedzy i świeższe rezultaty badań. Uważamy za stosowne uczynić tu wzmiankę o dwóch tego rodzaju zwolennikach, rekrutujących się zresztą z Niemców.

Oskar Peschel w dziele p. t. *Völkerkunde* powiada (str. 410), że Bulgarowie nadwołżańscy (pochodzenia fińskiego) utracili nad Dunajem swój język w X wieku, a swoją samoistność w XI wieku. Friedrich Hellwald wyjaśnia bliżéj tę wzmiankę, zaznaczając (w dziele p. t. *Culturgeschichte* str. 558), że Bulgarowie (stanowiąc część Hunnów), podbiwszy Słowian nad Dunajem, narzucili im swą nazwę, a natomiast przyjęli język słowiański, który jednak musiał wsiąknąć w siebie wiele żywiołów uralo-altajskich. Jak widzimy, obadwaj ci badacze oparli zdanie swoje na twierdzeniach Roberta Roeslera (Romänische Studien), z czém się zresztą nie tają. Piszemy się dotychczas w zupełności na ten rezultat badania, znany skądinąd i przed Roeslerem. Ale autor *Culturgeschichte* powiada daléj, że język bulgarski zmienił się wielce z biegiem czasu, wykazując niezmierne zboczenia od reszty języków słowiańskich i z trudnością jest rozumiany (od

Nie wewnętrzna wszakże wartość tego i innych poglądów zawartych w pomienionéni dziele, ani też naukowe teorye dalszych prac jego (w wielu razach nie wytrzymujące ścisłości krytyki) pozyskały mu wziętość i zapewniły rozgłos z téj i tamtéj strony Dunaju, lecz wpływ poruszonéj przez niego idei odrodzenia narodowego na umysły spółczesnych, wpływ tém donioślejszy, że się przejawił w natychmiastowéj bezpośredniéj działalności praktycznéj, uchwytnéj, dotykalnéj, dającéj się cyframi obliczyć.

Podług zapewnień bulgarskich, byli to dwaj uczniowie jego Apriłow i Pałauzow, którzy przejęci tym wpływem i zagrzani myślą rozpoczęcia pracy odrodzenia, zakładają pierwszą szkołę bulgarską w Gabrowie 1835 r. (a więc w sześć zaledwie lat po wyjściu dzieła Wenelina z druku).

Założenie jéj stanowić może epokę w dziejach nowoczesnych kraju tego. Kto sobie przypomni, że Bulgar owych czasów bał się i wstydził sie przyznać do swojéj narodowości, a na zapytanie kim jest, odpowiadał: grekiem; że oprócz dawniejszych pateryków i zbutwiałych ksiąg cerkiewnych, oprócz „Istoryi sławieno-bołgarskiéj“

Słowian?), różniąc się od nich tak, jak się różni fizyczny typ bulgarski od typu innych sąsiednich ludów słowiańskich. To właśnie końcowe zestawienie pojęć oraz poprzednia wzmianka o zaasymilowaniu się Hunnów ze Słowianami zdaje się przemawiać za tém jakoby owe zmiany lingwistyczne były w zupełności następstwem turańskiego pochodzenia Bulgarów i wpływu języka Bulgarów huńskich na język słowiański. Pogląd taki niedokładnie odpowiada rzeczywistości, jeśli przyjmiemy fakt, że redakcya pierwszych cerkiewnych ksiąg słowiańskich dokonaną została w języku bulgarskim. Otóż język ten występuje w owych księgach w całéj czystości. A dopiero w XI i XII w. dostrzega się w piśmiennych pomnikach bulgarskich pewne zboczenia, jak np. niewłaściwe użycie dźwięków nosowych. Zboczenia te występują coraz jaskrawiéj i coraz bardziéj potęgują się w czasach późniejszych, tak, że nareszcie w nowobulgarskim widzimy zmiany, sięgające już w sam rdzeń organizmu językowego: stracił on pierwiastkową czułość słowiańskiego pochodzenia, czego dowodem upadek form syntetycznych w konjugacyach i deklinacyach, pojawienie się partykuły (na wzór greckiego, germańskich i romańskich języków), urobionéj z zaimka wskazującego, formowanie spadków nie przez deklinacyę jeno za pomocą prepozycyi; w konjugacyach zaginęło infinitivum i nastąpiła zupełna utrata dźwięków nosowych, które przed siedmiu wiekami były tylko nadwątlonemi. Koléj, w jakiéj następowały te zmiany, wskazuje, iż one dokonały się pod wpływem późniejszym rumuńszczyzny, greczyzny i turecczyzny, a pierwotny wpływ uralo-altajski jeśli był, to skamienieć musiał, już w pierwszych pomnikach mowy i jeśli to on po kilku wiekach wynurzył się, to tylko pod ponowném działaniem żywiołów wschodnich, a zwłaszcza tureckiego. W ten sposób uwzględnićby należało i wręcz przeciwną Peschlom i Hellwaldom teoryą Geitlera, który twierdzi, że z warstwy wołgańsko-bulgarskiéj nic nie pozostało w języku Słowian bałkańskich (p. Poetick. Tradic. Thrak. i Bulhar.).

mnicha atoskiego Paysija i pisemek następcy jego, biskupa Sofroniusza z Wraca,—nikt nie widział książki bulgarskiéj, a taki mnich Paweł z Konikowa (pod Wodenem) już w 1852 r. jeśli odważył się na napisanie swego dzieła (przekład bulgarski Ewangelii), to je wydrukował czcionkami greckiemi (1); kto nareszcie uprzytomni sobie, że ówcześni księża bulgarscy, jedyni nauczyciele ludu swego byli przez biskupów fanariockich przynaglani do posług kuchennych i stajennych, ten tylko oceni w zupełności znaczenie i doniosłość szkoły gabrowskiéj jako faktu niezwykłego.

A cóż powiedziéć o następstwach jego? W dziesięć lat po założeniu jéj istniało już 53 szkoły ludowe bulgarskie. Od téj pory sprawa wykształcenia ludowego uczyniła dziwny, niezwykły, powiedziałbym nawet anormalny postęp, jeśli go mierzyć będziemy miarą stosunków Europy, gdzie niejedno państwo, uzbrojone wszelkiemi środkami ministeryum oświecenia i rozrządzające corocznie milionowemi na ten cel funduszami, podobnym rezultatem wykazać się nie może. „Przejeżdżając przez wioskę bulgarską przed ostatnią wojną, podróżnik nie potrzebował się pytać mieszkańców: czy macie szkołę, czy uczniowie uczęszczają do niéj, lecz wiele macie szkół, ilu uczniów uczęszcza do nich, bo po drodze waszéj prawie nie spotkacie wioszczyny, któraby była pozbawiona szkoły; niech się ona składa bodaj z 50 chat, budynek szkolny jest już koniecznym. Jeśli liczba chat dosięga liczby 300—z pewnością znajdziecie dwie szkoły, powyżéj 400—macie już 2 męskie i jednę żeńską“ i t. d. (tak powiada jeden z podróżników), a liczbie szkół odpowiada ilość uczących się i nauczycieli: można przecięciowo przyjąć za normę, że na każdą setkę chat wypada po jednym nauczycielu, jednéj nauczycielce i po 100 uczniów, tak, że zdanie moje wypowiedziane na pierwszéj stronicy wcale nie jest dalekiém od rzeczywistości i jeśli ja nie spotkałem w Bulgaryi nieumiejących czytać i pisać, to w ciągu jednego pokolenia, w rzeczywistości ich nie będzie i nikt ich nie znajdzie, choćby szukał umyślnie, jeśli oczywiście rzeczy pójdą tym samym torem, jak szły do roku 1877 i jeśli nieszczęścia ostatniéj wojny rychło złagodzone zostaną.

Dziwniejszém się jeszcze wyda to zjawisko, ten postęp, jeśli zważymy, że pierwszy promień światła szkolnego zaczerpnięto od Rumunów i za ich dopiero pośrednictwem oparto pierwsze szkolnictwo bulgarskie na metodzie Lankastra (2).

---

(1) Ευαγγελιε να γοσποδα μπογα η σπασα νασεγο etc. (w Soluniu).

(2) Na organizatora i kierownika szkoły gabrowskiéj powołany został Neofyt, mnich klasztoru rylskiego, znanego z przechowywania tradycyj narodowych. Neofyt

Prawda, że gorliwość pierwszych kierowników szkół bulgarskich bywała nie małą i nie ograniczała się na chwilowym zapale, który rychło ostyga: często płynęła z przekonania i potrzeby wyrozumowanéj. Jakim duchem mogli być ożywieni ci ludzie, służyć może za przykład pierwszy kierownik szkoły gabrowskiéj Neofyt, który w przedmowie do gramatyki bulgarskiéj, wydanéj przez siebie (Kragujewacz 1835) (1) powiada, że należy najpierw mieć szkoły, a późniéj kościoły i klasztory; wpierw książki szkolne, a po nich dopiero dzieła religijne, bo inaczéj ludzie czytać je będą oczami tylko ale nie rozumiéć.

I pomyśléć, że mówi tak człowiek w kraju, uważanym za barbarzyński, człowiek, który sam był mnichem wielkiéj żarliwości religijnéj! Ile w tych słowach jędrnéj prawdy, ile trzeźwego na umysł ludzki poglądu, a ile zarazem naturalnéj prostoty, mogącéj zaszczyt przynieść najpierwszym reformatorom krajów cywilizowanych

By jednak dzieło oświaty narodowéj mogło się przejawić tak szybko i rozplenić tak bujnie, potrzeba było mieć grunt odpowiedni, materyał ludowy, nadający się do tego. Sama gorliwość, rozsądek i usiłowanie takich Neofytów nie na wiele by się przydały, choćby ich cała setka pojawiła się (a wiemy, że tylu nie było), bo zawsze były to tylko jednostki, a wszelka indywidualna działalność, choćby najszerzéj obmyślana i z największém natężeniem prowadzona, pozostaje bezpłodną, jeśli nie znajduje w masie poparcia, albo przynajmniéj podstawy, odpowiedniéj potrzebom ogółu, jeśli nie jest choćby bezwiednie ocenioną przezeń. Musiało więc i społeczeństwo bulgarskie przedstawiać odpowiedni materyał i być należycie przygotowaném do przejęcia się dziełem tak niełatwém dla innych, dziełem oświaty ludowo-narodowéj.

Ale skądże—zapytacie—mógł się znaleźć taki materyał w bezwiednéj i ciemnéj masie rajasów, przybitéj i przygnębionéj podwójném, kilko-wiekowém jarzmem Greków i Turków? Zkąd przygotowanie u ludzi, którym władztwo obce zdołało nawet wynaturzyć

---

udał się do Bukaresztu i tam się zapoznał z metodą Lankastra. Rychło przyswoiwszy sobie zasady t. z. wzajemnego nauczania i przetłómaczywszy różne książki szkolne na język bulgarski, począł sam wykładać w Gabrowéj najróżnorodniejsze przedmioty: zarówno rachunki jak katechizm, historyą i geografią, czytanie i pisanie.

(1) Co do wielu szczegółów, tyczących się szkolnictwa i dziennikarstwa bulg. porównaj: Jirecka *Hist. Bulg.*, Pypina i Spasowicza *Hist. liter. słow.*; Utina, Pypina i innych prace zamieszczone w *Wiest. Jewrop.* za 1878 i 1879.

i zepsuć rdzenną podstawę takiego organu, jakim bywa język rodzimy? Gdzie grunt odpowiedni u ludu, który — jak sami powiedzieliśmy—wstydził się przyznać do własnego pochodzenia?

A jednak tak było. I tajemnica odpowiedzi spoczywa w tém samém władztwie obcem, w charakterze wschodnich zdobywców.

Kto choć powierzchowną zwrócił uwagę na żydów naszych, tego nie mogła ujść uwagi okoliczność, że między nimi trudno, prawie niepodobna znaleść człowieka, nie umiejącego pisać, albo przynajmniéj czytać, choćby on był najbardziéj zacofanym pod innemi względami i najkonserwatywniejszy chałat nosił na grzbiecie swoim; owszem im bardziéj jest ortodoksalnym, im więcéj starozakonnym, z tém większą pewnością musi być piśmiennym; możecie powiedzieć, że tém gwałtowniejszą wówczas uczuwa on potrzebę czytania talmudu. Być może, jest-to jedna z najważniejszych przyczyn ilustrujących to zjawisko. Fakt jednak pozostaje faktem, o tyle donioślejszym, że się nie ogranicza tylko sferą żydowską, lecz się rozciąga na większość ludów wschodnich, a raczéj na cały ich ten ogół, który bądź-to w obecnym ustroju społecznym, bądź w pierwotnéj idei bytu dziejowego zabarwił się mniéj lub więcéj żywiołem teokratycznym.

Turcy nie są wyjęci z pod tego prawa, owszem przejawia się ono u nich dobitniéj niż u spółwierców ich, w całéj sile koczowniczego bytu żyjących np. Kurdów lub Arabów. W ciasnych i odległych przedmieściach Stambułu, dostępnych i znanych tylko uboższéj ludności, spotyka się rzędem obok siebie stojące kawiarnie, gdzie za 10 par miedzianych (niespełna 1½ grajcara) dostać można filiżankę tureckiéj kawy czarnéj. O każdéj porze dnia widać tam tłoczących się wyrobników muzułmańskich, ale po skończonéj robocie dziennéj liczba ich zwiększa się w dwójnasób: każdy spiesząc do własnego ogniska domowego, wpierw zajść musi do kawiarni. Po co? Przecież w domu dostanie taką samę kawę i taką samę wykurzy fajkę lub nargilę, bez wydawania par i piastrów. Bo mu się chce dowiedzieć, co się w świecie bożym dzieje. Dowiaduje się więc przez czytanie dzienników. Często się trafia tam na grupę słuchaczy, którym jeden opowiada rzecz słyszaną lub czytaną, ale nie mniéj często widać jak hamał (tragarz) lub wyrobnik sam czyta i nie zadawalniając się jedną, żąda drugiéj i trzeciéj gazety i tylko w braku jéj przez wzgląd na ubóstwo kawiarni, zmuszony bywa przyłączyć się do kółka w tém samém położeniu będących towarzyszy i słuchać czytania jednego z nich.

Nauczył się on czytania w dzieciństwie, bo jak u nas żydzi tak tam muzułmanie wcześnie posyłają do szkoły swe dzieci, choćby

byli najuboższymi, bo szkoła jest bezpłatną i istnieje przy meczecie, a meczetów tak dużo w każdém mieście!

Muzułmanom dzielnie dotrzymują kroku Ormianie i Grecy. Mieliżby pozostać w tyle Bulgarowie? Wszak to także ludność wschodnia, częścią pochodzeniem, częścią nawyknieniami i instytucyami powziętemi od zwycięzców wschodnich, nie pozbawiona ani żywiołów teokratycznych, ani téż wielu innych właściwości, cechujących naturę wschodnią. Zamiłowanie więc do szkoły, do czytania, do piśmiennictwa mają wielkie i kto wie, czy nie przynieśli go w zaczątkach z tą krwią, która spłynęła w ich żyły za pośrednictwem turanów nadwołżańskich. Kto wie, czy zarodek taki nie istniał już wówczas, kiedy *czernoryziec Chrabr* podawał im wiadomość o skreśleniu pierwszych „pismien“ słowiańskich? Ale to pewna, że pod wpływem tureckim ochota taka tylko mogła się wzmódz i rozwinąć. I dziś jak tureckiego nędzarza w kawiarni, tak samo bulgarskiego wieśniaka widzieć można wracającego konno z targu carogrodzkiego z książką lub dziennikiem w ręku, czytającego ciekawie.

Jeśli tak, więc i przed założeniem szkoły gabrowskiéj musiała ta ochota, ta właściwość istnieć? Zapewne, ale nie miała możności przejawić się w swéj naturalnéj formie. Nauczanie i oświata była grecką w kierunku myśli i w języku obcym ludowi bulgarskiemu. Jeśli więc wierny potrzebom i właściwościom intelektualnym natury wschodniéj, pragnął i przyjmował on nauczanie, czynił to z musu, krępując się wstrętem lub niechęcią łatwo zrozumianą. A wszelki mus wstrzymuje rozwój sił naturalnych i ogranicza w ludzie działalność czynników oświaty do rozmiarów minimalnych. Gdy mu raz jednak pokazano możność pozbycia się musu i dano sposobność użycia własnego słowa i własnéj nieskutéj obcemi więzami myśli, pierwotną zdolność rozwinął i zastosował ją w całéj pełni tych samych objawów, jakie dostrzegamy u sąsiadów jego—muzułmanów.

Istniały więc żywioły oświaty ludowéj, teraz stawała się ona ludowo-narodową. I trzeba przyznać, że Turcy zgoła nie okazywali najmniejszéj nieprzyjaźni dla nowego prądu, w niczém nie tamując rozwoju szkolnictwa a poczęści i piśmiennictwa. Ludność turecka postępowała tak z zasady, uznając oświatę elementarną za naturalną, niemal wrodzoną własność każdego człowieka: muzułmanin nie mógłby zrozumiéć jéj zaprzeczenia, choćby był zdolny targnąć się na wszystkie inne prawa giaura. Rząd zaś turecki kierował się w tym razie eklektyzmem i obojętnością. Co prawda, sam szkół nie zakładał, tém bardziéj dla rajów, opieki ściśle zorganizowanéj nad oświatą i szkolnictwem nie prowadził, ale pozostawił ją wolnej woli

swych poddanych. *Laissez-faire*, *laissez passer*— stało się choć nieświadomą, ale wierną jego dewizą w téj dziedzinie, która w państwach europejskich zorganizowaną zwykle bywa, w ministeryach wyznań i oświecenia. W gminach bulgarskich panowała w skutek tego najzupełniejsza autonomia. Każdy kto miał pieniądze i chęć—zakładał szkołę i urządzał ją stosownie do życzeń i pojęć swoich lub potrzeb miejscowych. Jeśli była złą, lub nieodpowiadala miejscowym warunkom—przestawała istnieć, w przeciwnym razie—rozwijała się i prosperowała. Ale nikt ze strony rządu nie wglądał ani w jéj zewnętrzny ani wewnętrzny ustrój, nie narzucał swego systemu, nie pytał nawet czego i jak nauczają (1).

Bywały wypadki, że Porta Ottomańska nie ograniczała się samym tylko eklektyzmem, lecz w kierunku dodatnim wychodziła i po za szranki onego, jak to miało miejsce w sprawie egzarchatu bulgarskiego, w któréj skwapliwie stanęła po stronie Bulgarów przeciwko patryarchatowi greckiemu. Wiadome są przyczyny i przebieg téj sprawy, niepozbawionéj charakteru politycznego (2).

Gdy żądaniom Bulgarów patryarchat wzdragał się zadość uczynić, zasłaniając się w końcu przeszkodami kanonicznemi, W. Porta zwołała w r. 1858 zbór powszechny, złożony z patryarchy, 7 bisku-

---

(1) W czwartym dziesiątku bieżącego stulecia pojawił się i coraz się zwiększał zastęp młodych bulgarów, którzy szukali wykształcenia za granicą: w Wiedniu, Paryżu, Kijowie, Odessie, w Belgradzie, w Zagrzebiu i przedewszystkiém w Pradze. Z Wiednia, Pragi, Moskwy i Paryża przynieśli z sobą wykształcenie wyższe, uniwersyteckie, lecz znaczna ilość poprzestawała na wykształceniu gimnazialném, pobieraném najczęściéj w Kiszyniewie, Odessie, w szkołach rumuńskich i serbskich i z tych to rekrutowali się nauczyciele dla szkół bulgarskich. Byli to najczęściéj synowie kupców, którzy w interesach handlowych przebywali w pomienionych miastach. Z południowo-wschodnich ludów europejskich, Bulgarowie obok Ormian zajęli bardzo poważne stanowisko w handlu pośredniczącym między Europą i Azyą i jak Ormianie, odznaczają się tym samym duchem kolonizacyjnym, niełatwo wynarodowiającym się i tą samą ofiarnością patryotyczną dla instytucyj narodowych, zakładanych i utrzymywanych przez nich tak w kraju jak za granicą. Oni też łożyli koszta na zakładanie i utrzymywanie szkół w Bulgaryi. Do téj sfery należeli obadwaj założyciele szkoły gabrowskiéj, znaczna większość z tych, którzy w reszcie kraju poszli za ich przykładem. Nie rzadko też spotkać się można w rocznikach szkolnych bulgarskich z imionami ofiarodawców, którzy łożyli na ten cel po kilka, kilkanaście i kilkadziesiąt tysięcy guldenów; bywały i krociowe ofiary.

(2) Pomijamy tu jéj szczegóły, bo chociaż literatura polska bardzo skromne posiada materyały do poznania Bulgaryi, to jednak sprawa egzarchatu była tak głośną w swoim czasie, że w ogólnych zarysach poznano ją przez dzienniki, zwłaszcza ze strony politycznéj. Kościelny i społeczny jéj rozwój zaznaczony został przez Br. Grabowskiego na podstawie dzieł spółczesnych—w *Ateneum* za rok 1876.

pów i 38 delegatów z okręgów, będących przedmiotem spornym w jurysdykcyi patryarchatu między greckiém a bulgarskiém duchowieństwem. Ponieważ biskupi wschodni, będący w innych państwach lub po za obrębem władzy patryarchatu carogrodzkiego, przybyć nie mogli, piśmiennie więc zażądano opinii od nich. Synod petersburski wstrzymał się od wyjawienia stanowczego sądu na czyjąkolwiekbądź stronę, a synod serbski otwarcie nawet stanął po stronie życzeń bulgarskich. Delegaci bulgarscy stanowili w zborze niezwykłą mniejszość: było ich z początku czterech, a gdy trzej opuścili z protestem salę posiedzeń, pozostał jeden tylko, którego też przegłosowano i sprawa pozostała nierozstrzygniętą. Wówczas W. Porta pozostawiła ją dalszemu naturalnemu rozwojowi, a gdy rzecz doszła do otwartego zerwania między obiema stronami, gdy za przykładem biskupa Hilariona duchowieństwo bulgarskie pod naciskiem ludu wypuszcza podczas publicznego nabożeństwa z modlitw imię patryarchy, kładąc natomiast imię sułtana, gdy parafie bulgarskie wzbraniając się płacić na utrzymanie kleru fanaryockiego, który tu i owdzie poturbowany, opuszcza swe stanowisko, sułtan Abdul-Azis wydaje w r. 1870 firman, opiewający: „Cesarską wolą moją jest, aby wszyscy mieszkańcy państwa mojego i wierni moi poddani mogli korzystać z cesarskich usiłowań, które łożę dla celów wyższéj oświaty i pomyślności w cesarstwie. Ubolewając nad rosterkami i niesnaskami, powstałemi od pewnego czasu między prawosławnymi Bulgarami, a patryarchatem stambulskim, po zbadaniu sprawy, uważam za stosowne powziąć decyzyą..." ustanowienia oddzielnego zarządu duchownego pod mianem „egzarchat bulgarski."

Wykonanie firmanu w zupełności odpowiedziało osnowie jego i w téj mierze więcéj praktycznego, bezpośredniego miało znaczenia, aniżeli rozgłośne w swoim czasie reskrypty giulhańskie i hatti-hu-majum z r. 1856, zapowiadające obszerne reformy polityczne, nie mówiąc już nic o późniejszéj konstytucyi midhatowskiéj, z któréj dziś śladu nie pozostało. Jeżeli tamte wydane były bardziéj pod naciskiem Europy, firman 1870 r. był raczéj aktem dobrowolnym sułtana, mającym na celu nie pozorną lecz istotną zmianę stosunków. Jakoż rychło potém Hilarion, a następnie Antym został mianowanym egzarchą i samorząd kościoła bulgarskiego począł istnieć prawnie i faktycznie.

W całéj téj sprawie godném uwagi było zachowanie się samych Bulgarów. Jeszcze w zeszłym wieku mnich chilendarski Pajsij (autor dzieła: Istorya słowenobłgarska o narodach i cariech i świątych błgarskich i o wsiech diejanijach błgarskich) występował przeciw fanariockiemu duchowieństwu i Grekom wogóle. Za jego przy-

kładem poszli inni w pierwszéj połowie bieżącego stulecia. Były to jednak głosy sporadyczne, nie znajdujące oddźwięku w masach, a tak nieśmiałe, tak skromne wypowiadające żądania, że się pisać na nie mogli najzawziętsi nawet bulgarożercy, jeśli tylko nie byli fanariotami, mającymi interes materyalny w utrzymaniu *status quo*. Tym pierwszym pionierom praw bulgarskich ani się śniło nawet stawiać a tém mniéj spodziewać się uwzględnienia postulatów, które w kilkadziesiąt lat późniéj zakończyły się inauguracyą samoistnego egzarchatu. Jeszcze w 1852 r. Nataniel Stojanowicz (późniejszy biskup Ochrydy) wydając w Pradze pod pseudonimem Bogdana pierwszą śmielszą broszurę o sporze kościelnym, dalekim był od jawnego zerwania z Grekami i usiłował względem nich utrzymać się na pewnym stopniu kompromisu przyjacielskiego (Prijatelskoe pismo ot Blgarina k Gr'ku). A przecież działo się to w czasie, kiedy jeszcze żywo tkwić mogły w pamięci skarżącego się owe niepowetowane szkody, wyrządzone przez Greków literaturze i odrodzeniu się Bulgarów przez niszczenie ich manuskryptów; wszakże nie tak wiele czasu upłynęło od owego fatalnego 1825 roku, kiedy fanariocki metropolita w Tyrnawie wykrytą tam bibliotekę byłych patryarchów bulgarskich spalił własnoręcznie ze szczętem. Dziś wiadomość o takim omarowskim wandalizmie rozniosłaby się lotem blyskawicy po całym świecie, wywołując zgrozę i żądzę pomsty dla sprawców onego, wówczas zaledwo wzmiankę znalazła we wspomnieniach kilku podróżników i badaczy słowiańskich, przebrzmiawszy bez echa tak w Europie, jak w saméj Bulgaryi, gdzie jéj wcale nie podjęto za hasło walki, ani zużytkowano dla celów propagandy narodowéj.

Dla czego?

Bo naród był podupadły na duchu i przygnębiony. w pierwszéj chwili nie mającym świadomości własnych praw, a późniéj nie śmiejący głosu podnieść za sobą, gdy wiedział, że głos ten nie znajdzie posłuchu, gdy widział że inni głosu za nim nie podnoszą. Kwestya bulgarska była nie na czasie. A jednak miano już własną prasę peryodyczną, która mogła tę kwestyą podnieść publicznie i prowadzić ją drogą jawnéj dyskusyi. W 1839 r. powstała pierwsza drukarnia bulgarska, założona przez archimandrytę Teodora w Soluniu; a w 1840 r.—w małéj Azyi, mianowicie w Smyrnie, gdzie istniała kolonia kupców bulgarskich. O założeniu drukarni w saméj Bulgaryi myśléć niepodobna było, bo stosunki na to nie pozwalały, a i w samym Carogrodzie było na nią trudno uzyskać koncesyą nawet przy staraniach takiego księcia Bogorydesa, który posiadał znakomite wpływy. Nareszcie jednak i tu w r. 1843 udało się dopiąć celu za pośrednictwem i na imię serba Ognianowicza.

Pierwsze czasopismo bulgarskie również pojawiło się nie w samym kraju, lecz w tejże Smyrnie, gdzie Fotinow założywszy gazetę *Lubosłowje* (wydawał ją w 1844—1846 r.) (1), słusznie może być nazwany ojcem dziennikarstwa bulgarskiego. We dwa lata po nim zakłada Bogorew w Lipsku czasopismo polityczne p. t. *Błgarskij Orel* (późniéj *Błg. narod. izwiestnik*). Tenże sam zakłada w r. 1849 pierwszy polityczno-literacki dziennik w Carogrodzie p. t. *Caregradskij Wiestnik* (goniec carogrodzki), który się trzymał do r. 1861 i podczas sporu kościelnego walczył przeciw propagandzie katolickiéj, w obronie któréj stawał znów D. Canków w założonym przez siebie dzienniku „*Błgarja.*"

Gdy wydany w 1856 r. przez Turków hati-humajum przyrzekał wszelkiego rodzaju reformy polityczne i równouprawnienie religijne, Bulgarowie spostrzegli, że pora właśnie nadeszła do skorzystania z sytuacyi i wprost zwrócili się do Wysokiéj Porty z pośbą nadania praktycznego wyrazu zapowiedzianéj obietnicy: zażądali przywrócenia samorządu kościołowi bulgarskiemu. Otwarło się obszerne pole działalności publicystycznéj. Do 1870 r. t. j. do czasu nim wydany został firman, inaugurujący instytucyą egzarchatu, liczba czasopism w dwójnasób się zwiększyła. Poczęły więc wychodzić: *Błgarsky knižici* w Konstantynopolu (1858—1861) pod redakcyą D. Mutjewa, J. Bogojewa-Bogorowa, G. Krstjowicza i Stojanowa-Burmowa. Tamże N. Genowicz (1862) wydawać począł organ „*Turcya*," szukający bliższych stosunków z rządem tureckim i przeto uważany za półurzędowy. W 1860 r. młodzież bulgarska kształcąca się na uniwersytecie moskiewskim założyła pismo zbiorowe p. t. *Bratski Trud*;" w Belgradzie (1860—1862) *Dunawski Lebed* przez Rakowskiego. Tenże od 1864 r. wydawał w Bukareszcie *Budusłnoszć*, w Bukareszcie też J. Kasabow założył dziennik *Narodnost*, konserwatywny dziennik „*Oteczestwo*" (1869—1871) obok moralno-religijnéj „*Zornicy*" wydawanéj staraniem amerykańskiego towarzystwa biblijnego (od 1865). W tymże samym czasie poeta P. R. Sławejkow wydając przez lat parę (1857—1861) satyryczne kalendarze, zdobył się najpierw (w 1864 r.) na satyryczne czasopismo „*Makedonja*," redagowany z niepospolitym talentem i w znacznéj mierze poświęcony sprawie bulgarów macedońskich (2); w tym téż celu redakcya stosu-

---

(1) Do tego czasu odnieść należy wydanie mapy Bulgaryi w języku bulgarskim, o czém pewien slawista (prof. Grigorowicz w swoich „Podróżach" 1844 r.) wspomina jako o fakcie niezwykłym i nader ciekawym.

(1) Przy téj sposobności wspomniéć wypada o tych dziennikach i w ogóle czasopismach, które założono późniéj, a których znaczną część zastała wojna 1877/78 r.

jąc się do nawyknień tamtejszéj ludności zamieszczała artykuły nawet w języku greckim lub w narzeczu macedońskiem czcionkami greckiemi (idąc w tym celu za przykładem mnicha Pawła z Kunikowa, a to gwoli konieczności zostania zrozumianą przez ludność macedońską, która jeszcze nieznała alfabetu słowiańskiego, chociaż była słowiańską i mówiła po bulgarsku).

Ilość czasopism przewyższała liczba oddzielnych książek i broszur, wyszłych w tymże czasie z druku, a poświęconych sprawie sporu kościelnego i to zarówno w języku bulgarskim, jak w obcych (w tureckim, greckim, rosyjskim, francuskim etc.) pisanych przez Bulgarów. Tak wzmożonéj liczbie wydawnictw odpowiadała podniesiona téż skala tonu, śmiałego i w wysokim stopniu nieprzyjaznego dla Greków. Już tu śladu nie było z owych łagodnych, kompromisowych dróg „prijatelska pisma k Grku.“ Ten ostatni występował tu jako „szatański czarownik“, „Kaifasz“, „Judasz“, „Belzebub“ itp. mianem chrzczony nawet przez autora „*Mati Bîgarija*“ (Neofita Bozwelego w czasopiśmie „Periodiczesko Spisanie“) w 1876 r. a więc w sześć lat po umorzeniu kwestyi spornéj. Jakoż jednomyślność po stronie bulgarskiéj była niezwykłą i zadziwiającą i z różnorodnych ich sfer inteligencyi, kupiectwa i ludu rolniczego, tak w kraju, jak na emigracyi ani jeden głos nie odezwał się w obronie Greków, jeśli oczywiście nie bierze się w rachubę postępowania t. z. *czorbadżych* i paru nieśmiałych w obronie patryarchatu fanariockiego głosów, podstawionych za granicą dla omylenia czujności ogółu. Każda sfera po swojemu wyrażała swe niezadowolenie i swoję nienawiść: duchowieństwo i inteligencya w gwałtownych filipikach ustnych i prasowych, kupiectwo i lud—w sposób praktyczny, odmawiając poparcia materyalnego klerowi fanariockiemu. Walka ta wpłynęła nawet na sposób zamanifestowania uczuć rodosnych z powodu nominacyi egzarchy. Kiedy takową otrzymał Antym biskup widdyński Bulgarowie nie skłonni do demonstracyj, przygotowali mu przyjęcie, pełne owacyj i tryumfów wzdłuż całéj drogi z Widdynia do Konstantynopola. Im bardziéj wynurzały się zamiary Greków kontrdemonstrowania faktowi, zresztą już dokonanemu,—tém objawy nie-

---

Tak—w Carogrodzie wydawano: „Napriedk“ (Najdenowa), „Wiek,“ „Dień“ Bałabanowa; „Istoczno Wremia“ (za inicyatywą Anglików); w Adrianopolu „Odryn,“ w Ruszczuku „Dunaw,“ w Bukareszcie „Znanie,“ organ Karawełowa, który redagował dzienniki „Nezawisimost“ i „Swoboda,“ a podczas wojny wrócił do Bulgarii i tu po niejakim czasie zamierzał wydawać gazetę,—na co jednak nie pozwoliły władze rosyjskie (p. *Wiestnik Europy* zeszyt czerwcowy 1878 art. Utina). Pomijamy tu pomniejsze pisma, wydawane w Belgradzie, Braile i t. d.

przyjaźni wzmagały się ze strony przeciwnéj, a klątwa przez patryarchę rzucona w 1872 r. na duchowieństwo bulgarskie i jego zwolenników, rozjątrzyła tych ostatnich do najwyższego stopnia: kościół grecki stał się dla nich synonimem odszczepieństwa, a uosobieniem Antychrysta—kapłan fanariocki, którego téż bezpieczeństwo osobiste mocno stawało się zakwestionowaném.

Dziwnie od téj zaciętości odbija tolerancya, z jaką zachowują się Bulgarowie względem obcych wyznań i religij. Mniejszą się ona wydaje w klasach inteligentnych, a zwłaszcza w publicystyce, gdzie widoczną bywa dążność do użycia obrządku wschodniego dla celów politycznych lub jako motor idei narodowéj, któréj odrębność w ten sposób silniéj zamarkować pragną. Z książek więc i publikacyi bulgarskich nie można nabrać właściwego wyobrażenia o usposobieniu narodowém, bo bywa ono przedstawione nie przedmiotowo, lecz tendencyjnie. Przy zetknięciu się jednak z ludem rys ten rzuca się odrazu w oczy i dla badacza przyzwyczajonego do wyłączności greckiéj wydaje się nawet indeferentyzmem religijnym, zwłaszcza jeśli się zechce bezpośrednią przeprowadzić pod tym względem paralelę między usposobieniem Bulgarów a ich najbliższych sąsiadów—Serbów. W tém ostatniem plemieniu, a zwłaszcza w odłamach jego wschodnich i południowych tolerancya daleką jest od ideału: mimo całéj słowiańskiéj gościnności nie rzadko Czarnogórzec odmówi wody ze źródeł swoich wędrowcowi, jeśli ten nie jest prawosławnym. Podobnych objawów nie napotykać w Bulgaryi. Bulgar przywiązany jest do swojéj wiary, do swego obrządku, bo jakżeby mogło być inaczéj, skoro on jemu w znacznéj mierze zawdzięcza zachowanie swojéj narodowości od zupełnéj zagłady? ale dalekim jest od fanatyzmu i nienawiści dla ludzi innych wyznań; owszem wspólne pod jednym dachem pożycie jego z różnowiercą nie należy do wyjątków w sferze ludowéj tak samo jak przyjaźń z osobistościami muzułmańskiemi, jeśli nawet pominiemy milczeniem objawy z epoki ruchów kirdżalskich (na początku bieżącego stulecia), kiedy zażyła koleżeńskość łączyła w zbrojną drużynę zarówno bulgarskich wyznawców Chrystusa, jak tureckich Mahometa.

Ta-to tolerancya służyć może poniekąd ilustracyą owéj łatwości, z jaką szerzył się w Bulgaryi prozelityzm innych wyznań, innych obrządków. Ani OO. Zmartwychstańcy, ani też w ogóle ci wszyscy kapłani, których misya znajdowała poparcie u ks. A. Czartoryskiego lub hr. Wł. Zamojskiego, uskarżać się nie mogą na zbytnie trudy apostolskie lub nadzwyczajne przeszkody w ufundowaniu kościoła unickiego w Bulgaryi lub téż w przeprowadzeniu tam propagandy katolickiéj w początkach drugiéj połowy XIX w. A łatwość wyrazi-

ła się nie tylko przez to, że się znaleźli publicyści, broniący dzieła Unii, lecz w gotowości napotykanéj wśród ludu. Niektórzy upatrują przyczynę jéj w niezadowoleniu Bulgarów z hierarchii fanariockiej, w tym ucisku, wywieranym z Carogrodu, przed którym spodziewano się znaleść ulgi w związkach z Rzymem. Nie przeczę, iż to mogło być nie poślednim motywem, powodem bezpośrednim dla wielu jednostek, lecz zanadto lekkomyślną wydałaby się społeczność, któréj ogół, a choćby część tylko jego dała by się kierować pobudkami ujemnéj natury. Ogólny charakter więcéj poważny, myślący Bulgarów nie upoważnia do takiego sądu. Dla czego raczéj nie widziéć głębszéj przyczyny, nie szukać ilustracyi tego zjawiska w tych samych właściwościach ducha bulgarskiego, które przed wiekami zrodziły *bogomilizm*? Związki z Rzymem bardzo wcześnie przejawiają się w dziejach tego narodu, ale biorąc je w oderwaniu od innych objawów, a tylko wśród okoliczności politycznych, bezpośrednio im towarzyszących, można byłoby je odnieść na karb takiegoż samego niezadowolenia z hierarchii bizantyjskiéj, które i wówczas istniało już tak samo jak dziś. Ale wszak bogomilizm pojawia się w Bulgaryi, nie tylko spółcześnie z temi związkami z Rzymem, ale je wyprzedza, bo go widać razem z pierwszém słowem ewangieliczném kiełkującego w Bulgaryi chrześciaństwa. A mocne zakorzenienie się jego w masach, przemawia za tém, że znalazł on tam grunt i podstawę dla siebie. Czy jednak uważać go będziemy za płód specyficznie bulgarski i narodowy, czy mu będziemy nadawać, lub go pozbawiać doniosłości ogólno-ludzkich idei reformistycznych, jako takich, które bezpośrednio wywołały sektę np. albigensów, czy nareszcie poczytywać go będziemy za pierwszego zwiastuna husytyzmu, zawsze przyznać musimy, że działanie jego nie było przypadkowe, a sam bogomilizm—mimo nawet własnych odmian jego—wcale zjawiskiem nie sporadycznem ni e odosobnionem, lecz powtarzającém się przez cały ciąg dziejów bulgarskich, tak samoistnych jak pod jarzmem bizantyjskiém i tureckiém, nawet w téj chwili—mniejsza o formę—zarówno w katolicyzmie Zmartwychstańców, jak w muzułmanizmie rodopskim. Prawda, dzisiejsi Bulgarowie nie są tymi samymi, jakimi byli za carów Symeona i Samuela, ale to tylko dowodzi, że pewne właściwości umysłowe, sprzyjające produkcyi teozoficznéj, pozostają nawet wówczas, gdy się odmieni charakter narodu i że ten ostatni bardziéj od tamtych zależny jest od wpływów zewnętrznych i politycznych.

W podróży mojéj po Małéj Azyi spotykałem kupców bulgarskich, namiętnie zaciekających się w świat abstrakcyjnych pojęć kosmogonii z takim głębokim spokojem i z taką niezawisłością sądu,

jaką zrodzić jest w stanie samodzielna, długa kontemplacya,—co dziwnie licowało z ruchliwością i praktycznością zawodu kupieckiego. Jedno i drugie—produkt życia wschodniego, ale oboje złączone w jednéj osobie jest rzadkiem zjawiskiem nawet w Azyi, a cóż dopiéro w Europie! A jednak zdarzało mi się widzieć takie osobistości wśród pomniejszych bulgarskich kramarzy Carogrodu, których stopa nie dotknęła z pewnością nigdy azyatyckich wybrzeży morza Czarnego. U takiego domorosłego filozofa z gminu własny jego dogmat religijny był mocno zakorzenionym, nie trzymał się go jednak ślepo, lecz był poddawany chętnie krytyce i dyskusyi,—co oczywiście nie zamykało drogi tolerancyi.

Bulgar bywa rozmiłowany w dyskusyi i sporach religijno-politycznych, w czém trudno nie dostrzedz śladów tradycyi bizantyjskiéj, która wsiąkła w organizm duchowy wszystkich ludów półwyspu bałkańskiego. U Bulgara szorstkość jéj łagodzi i miarkuje skłonność jego do ustępstw i tolerancyi, ale rzekłbym—dopóty tylko, dopóki pozostaje w domu i nie wychyli się po za obręb swego rodzinnego otoczenia. Raz odeń oderwany, im bardziéj oddala się od Wschodu i Dunaju, zamiast jeszcze bardziéj łagodzić ową szorstkość pod wpływem pojęć mniéj lub więcéj europejskich, wzmaga ją do rozmiarów nieznośnych, staje się doktrynerem powziętéj z góry idei, szowinistą w polityce, fanatykiem w religii. I częściéj to się zdarza widzieć w niższych ludowych warstwach społeczeństwa, aniżeli w t. z. inteligencyi, gdzie polor wykształcenia i wymagania towarzyskie gładzą surowość natury, wówczas gdy w kraju, na miejscu wręcz przeciwny zachodzi stosunek.

Przed 12 laty wracając podczas feryi uniwersyteckich z Kaukazu zrobiłem wycieczkę z Kerczu do Taganrogu, do jednego z dalekich krewnych. Statek „Towarzystwa żeglugi parowéj i handlu,“ płynąc wzdłuż północnych wybrzeży morza Azowskiego, zatrzymywał się w każdéj najmniejszéj przystani dla zabierania lub wyładowywania towarów, przeznaczonych do przewozu *via* Odessa lub Konstantynopol. Z paru takich przystani pomiędzy innymi pasażerami wsiadło téż kilkunastu handlarzy bulgarskich, pochodzących z osad nadazowskich, gdzie byli zakolonizowani od pewnego czasu. Na statku znajdowało się téż kilku słuchaczy z uniwersytetu odeskiego i charkowskiego, paru Włochów z Taganrogu i Rumun z Odessy. Wśród ogólnéj rozmowy o zwyczajach ludów wschodnich i południowych, powstał między studentami i bulgarami spór o stanowisko i charakter Słowian; gdy drudzy utrzymywali, że wszyscy Słowianie powinni być prawosławnymi, pierwsi twierdzili, że przerabiać przekonań, będących rezultatem życia hi-

storycznego—niepodobna. Spór przeszedł rychło w sprzeczkę, a następnie w kłótnię. Mówca Bulgarów dał się słyszéć z tém, że Czesi będąc katolikami, muszą być uważani za zdrajców sprawy słowiańskiéj. Na nieszczęście między studentami znajdował się Słowak, który stanął w obronie Czechów, za Słowakiem ujęli się koledzy. Wiadomość, że między pasażerami znajduje się Słowak, który się odważył przyznać do protestantyzmu i stanąć w obronie katolickich Czechów, wprawiło Bulgarów w taki ferwor nieprzyjazny, że rzucili się do nożów i uderzyli na studentów. Byłoby przyszło do ofiar krwawych, gdyby nie szybka interwencya reszty pasażerów i majtków z załogi okrętowéj.

Zapewne, że przejawianie w téj formie usposobień nie da się podciągnąć pod strychulec ogólny i raczéj nazwać się może ekscesem przypadkowym, sama jednak istota usposobienia, przesycona fanatyzmem i szukająca form polemicznych, jest zjawiskiem pospolitém w niższych sferach *wychodźtwa* bulgarskiego. Inaczéj rzecz się ma z duchowieństwem i ludnością miejscową z téj i tamtéj strony Bałkanów. Zanim jednak dotkniemy tego przedmiotu,—słówko jeszcze o wychodźtwie (przedewszystkiém inteligentnéj jego części), które dość ważną odegrało rolę w dziele odrodzenia Bulgaryi, a którego wpływ długo jeszcze da się uczuwać w tym kraju.

W ośm lat po owym wypadku na morzu Azowskiém przejeżdżałem przez Bukareszt. Było to na kilka miesięcy przed ostatnią wojną rosyjsko-turecką 1877/78 r. Po bezowocnéj konferencyi stambulskiéj i wyjeździe ambasadorów z Konstantynopola, w powietrzu panowała ciężka atmosfera zbliżającéj się wojny i będący w pogotowiu do działania komitet rewolucyjny bulgarski stale rezydował w stolicy rumuńskiéj. W okół nagromadziły się palne żywioły agitacyi i ruchu zbrojnego dla Bulgaryi. Starsza i młodsza emigracya „*Młoda Bulgarya*“ tłumnie zalegała Bukareszt, który wyglądał jakby na poły słowiańskie miasto. Przebywający tam Polacy mało się łączyli i obcowali z Bulgarami, niektórzy jednak z rodaków naszych, interesując się żywiéj ich sprawami, zostawali z nimi w bliższych stosunkach. Za pośrednictwem jednego z nich p. M. zostałem wprowadzony do najbardziéj uczęszczanego klubu bulgarskiego, gdzie Bulgarzy radzi byli w osobie mojéj powitać bodaj w przejeździe jedynego podówczas na Wschodzie przedstawiciela prasy polskiéj, a ja téż chciałem nawzajem skorzystać ze sposobności poznania „*Bulgarskiéj Omładiny*“ i kierowników ruchu umysłowego i zbrojnego przyszłéj Bulgaryi. Jakoż byli tam obecni podówczas panowie: Enczew, Stambołow, Bałabanów, Zankow, Iwanow i wielu innych już znanych z dotychczasowéj działalności publicystycz-

néj, literackiéj i agitatorskiéj, jako téż tych, którzy póżniéj w Carogrodzie i pod księciem Aleksandrem wystąpili na szerszą widownię polityczną.

Zbyt jeszcze żywo tkwiła mi w pamięci scena z morza Azowskiego. Z góry więc byłem przygotowany do spotkania się w klubie z zaciekłą doktrynieryą, nietolerancyą i fanatyzmem. Przez poły doznałem przyjemnego zawodu. Obok zaciekłości i doktrynerstwa znalazłem szczerość przekonań i serdeczność, które nietylko złagodziły szorstkość tamtych objawów, ale je zmieniły w zwykły entuzyazm patryotów, propagujących swe nadzieje w przeddzień stanowczych dla nich wypadków. Sprzeczność tę wyjaśnić może tylko właściwość natury bulgarskiéj, charakter téj emigracyi i okoliczności, wśród których ocknęliśmy się.

Ogół biesiadników bulgarskich składał się z młodych lub w pierwszym rozkwicie siły męzkiéj ludzi, niedawnych słuchaczy najrozmaitszych uniwersytetów w Europie—rosyjskich, austryackich, niemieckich i francuskich, kwiatu inteligencyi i wykształcenia, które mimo, że czerpane z tak rozmaitych źródeł, miało w osnowie swojéj dwa żywioły, wygładzające możliwe różnice i sprowadzały je do wspólnego mianownika: tożsamość celu i otwartość natury słowiańskiéj. Ten ostatni żywioł, chociaż przytłumiony przez ogół Bulgarów,—wśród emigracyi uniwersyteckiéj pozostał i wyrobił się pod wpływem koleżeńskości szkolnéj, swobody za granicą i ciągłego stykania się z innemi narodowościami słowiańskiemi.

Ta tedy otwartość biesiadników ujawniała się z całą swobodą, gdy się dowiedzieli, że pragnąć mogę tylko prostéj i szczeréj wymiany uczuć, myśli i przekonań, wymiany dobrowolnéj, jawnéj i otwartéj, jaka powstaje między dwoma pokrewnemi ludami, nie związanemi sąsiedztwem i interesem egoistycznym. Gdy dodam, że znalazłem tam dwóch własnych kolegów uniwersyteckich, których zażyłość udzieliła się rychło całemu zgromadzeniu, że pomiędzy nami z wyjątkiem M. (człowiek, mimo pięciu krzyżyków, młodzieńczego zapału) nie było ani jednego, któryby dosięgnął czterdziestki, a mało który przekroczył trzydziestkę, to zrozumiemy, jaka musiała wkrótce zapanować poufałość form obok bezwzględności wypowiadanych przekonań, gorącość dyskusyi obok niekrępowanéj niczém swobody w wynurzaniu własnych poglądów i krytyce przeciwników.

Gładki, ugrzeczniony, z zakrojem dyplomaty Zankow najdłużéj potrafił się utrzymać w roli oględnego i powściągliwego w słowach biesiadnika. Ale i on w końcu uledz musiał ogólnemu prądowi *bezwzględnéj otwartości*. Podnoszę to dlatego, aby zaznaczyć różnicę,

jaka pod względem usposobień zachodzi między wychodźtwem a ludem bulgarskim, a zarazem stwierdzić, że to, co wyniosłem ztamtąd o opiniach, uczuciach i pragnieniu wychodztwa, nie opierało się na przypuszczeniach lub mylnéj informacyi, lecz na zeznaniu serc i myśli prawdziwych, nie skrępowanych żadnemi ubocznemi względami. Pięciogodzinna gorąca dyskusya, w ciągu któréj nie szczędziliśmy wzajemnie słów prawdy i usiłowań pogodzenia sprzecznych poglądów, skończyła się pozostaniem przy swoich przekonaniach, ale jednocześnie serdecznemi toastami za pomyślność ludów, dobijających się wolności. Wyniosłem z niéj głębokie przedświadczenie, że większość tych ludzi działała w *dobréj wierze*, a *nie była zaślepioną.*

W dowód zaufania i życzliwości członkowie klubu zamienili ze mną karty wizytowe i wręczyli mi odezwę do narodu bulgarskiego i regulamin organizacyi powstańczéj.

Tyle co do uczuć.

Co do poglądów politycznych, te się ujawniły w klubie w dwóch kierunkach, co do których właśnie pragnąłem uzyskać wyjaśnienie w stosunku do konstytucyi Midhata i do Rosyi.

Midhat basza nie zostawił po sobie wdzięcznéj pamięci u Bulgarów. Surowe jego rządy z czasów kiedy był jeneralnym gubernatorem tamtejszego wilajetu pozostawiły u ludu wspomnienie zgrozy, a u wykształconéj emigracyi—nienawiści. Pod wpływem takiego uczucia sąd o nim i o dziele jego nie mógł w klubie wypaść korzystnie. „Choćby nawet konstytucya midatowska była dobrowolną i szczerym wyrazem przekonań Porty o potrzebach państwa i ludów je składających — tak brzmiało jednozgodne zdanie członków klubu — to my dla kraju naszego nie możemy niczego spodziewać się po człowieku, który rządy swoje w tym kraju znaczył szubienicami patryotów. Konstytucyi więc jego nie uznajemy i uznać nie możemy za podstawę do pogodzenia się z rządami sułtana. Ale pomijając Midhata, my zanadto dobrze znamy Turcyą, abyśmy się łudzić mogli nadzieją, że wogóle w systemie rządzenia jéj ludami nastąpi jakakolwiek zmiana. Konstytucya ta, poczęta pod naciskiem Europy, wydaną została dla niéj, nie zaś dla Turcyi. Pozostanie ona taką samą martwą literą, jak większość hattiszeryfów, hattihumajumów i t. p. reform dawniejszych.“ „Zresztą tak głęboka rozwarła się między nami a Turcyą przepaść, że jéj nie zapełni już żadne ustępstwo. Szowiniści tureccy rzucili nam groźną rękawicę z takiém hasłem: — Dopóki Turków pozostanie w Europie tylu, ilu ich się przeprawiło po raz pierwszy przez Bosfor przed pięciu wiekami, dopóty nie ustąpią z Europy. Chętnie podejmiemy rzuconą

rękawicę, przynajmniej o tyle o ile ona leży na ziemi bulgarskiéj, i gotowi jesteśmy odpowiedzićć: albo my, albo oni zostaną panami Bałkanów.

— A jeśli ani wy, ani oni? — zapytałem.

— „Pytanie to może dotyczyć albo Europy albo Rosyi. O ewentualności zastąpienia tureckiego władztwa innéın, oprócz bulgarskiego, nie mówimy. Bo jeśli nastąpi przemoc, to oczywiście będziemy musieli jéj uledz i ulegniemy z tym samym fatalizmem, jakiego nas nauczyły dzieje i Turcya i czekać będziemy dalszéj przyszłości. *Bakałym*... (1). Lecz jeśli tylko cokolwiek uwzględniać nas będą, jeśli tylko okazaną nam zostanie pomoc, przyjmiemy ją, skądkolwiekbądź takowa przybędzie. Małodusznością bowiem i co najmniéj lekkomyślnością byłoby z naszéj strony, gdybyśmy ją odrzucali dla tego tylko, że po za nią być może jakaś myśl ukryta.— Część prasy polskiéj, a zwłaszcza dziennikarstwa galicyjskiego, łącznie z częścią wychodźtwa polskiego ostrzegają nas zawczasu o niebezpieczeństwie, z téj strony i radzą nam niedowierzać szczerości ofiarowywanéj pomocy. Dziękujemy za życzliwą radę, umiemy jéj pobudki ocenić, ale saméj rady usłuchać nie możemy, bo działać chcemy i kierować się faktami, nie zaś motywami, które je dyktują. Wszak w Galicyi niedawno powiedziano, że zawartoby sojusz z szatanem, gdyby on pomógł do odzyskania bytu. Otóż my tę radę możemy przyjąć; co zaś do obawy, że sojusznicy nasi pomagają nam do wyjarzmienia się dla tego tylko, aby sami z kolei mogli na nas włożyć obrożę, odpowiemy, że gdybyśmy się dostali pod to nowe jarzmo, to dobrze, bo nas wtenczas razem więcéj będzie, a więc łacniéj potrafimy się uwolnić z jarzma."

Bezstronność nakazuje nam wyznać, że z pomiędzy licznego grona biesiadników, obecnych podówczas w klubie i biorących udział w biesiadzie, znalazł się jeden tylko (S-w, redaktor jednego z czasopism bulgarskich, wydawanych podówczas w Rumunii), który bronił programu panslawistycznego tak ze strony politycznéj jak literackiéj i uznawał potrzebę jednego wspólnego dla wszystkich Słowian języka (2).

---

(1) „*Obaczymy*" — klasyczne i często używane wyrażenie tureckie.

(2) Pewna część prasy rosyjskiéj ganiła nieufność, z jaką rząd rosyjski występował względem bulgarskiéj „Omładiny", którą ścigał rząd turecki za jéj patryotyzm. Nagana ta była wywołana postępowaniem wojskowych, a jeszcze więcéj cywilnych urzędów tymczasowego podczas wojny rządu, a głównie instrukcyą, wydaną dla personelu konsularnego, a polecającą mieć na baczności członków „Omładiny." Instrukcya ta była zamieszczona w „Zbiorze urzędowych rozporządzeń i dokumentów dla kraju bulgarskiego" (p. *Wiestnik Jewropy* za rok 1878, zeszyt marcowy).

Pesymistyczne przewidywania klubistów bulgarskich o losie konstytucyi tureckiéj ziściły się, niestety, daleko wcześniéj, niż się spodziewać tego mogli nieprzyjaciele Turcyi. Biesiada w klubie bukaresckim miała miejsce ostatnich dni stycznia (1877 r.), a gdy 5 lutego przybyłem do Konstantynopola, już twórca konstytucyi tureckiéj wszechwładny wielki wezyr Midhat basza od kilku godzin jechał parowcem na wygnanie! We dwa miesiące wprawdzie po jego upadku zgromadził się pierwszy *parlament ottomański*, ale pono—ostatni. Grubo Turcy zażartowali z entuzyazmu Europy dla ich konstytucyonalizmu! Po kilkotygodniowéj sesyi parlament rozwiązano, śmielszych opozycyonistów wysłano na wygnanie, a o nim samym wraz z konstytucyą ani śladu, ani słychu dotychczas!

* * *

W duchowieństwie *miejscowém* tolerancya zawisłą była od wykształcenia i stanowiska, zajmowanego przezeń wśród kleru greckiego, jako téż od pozycyi osobistéj w hierarchii kościelnéj. Sama zaś hierarchia nie dawała żadnéj dyrektywy i w téj mierze różną była od hierarchii patryarchatu greckiego, który nadając ton i kierunek całemu duchowieństwu, za pośrednictwem jego przeważny wpływ wywierał na cały naród; w Fanarze (1) często zbiegały się wszystkie nici kościelnych i politycznych spraw Greków tureckich; tam je plątano lub rozcinano z mniejszym lub większym spółudziałem osobistym samego patryarchy. Jeśli ten był niedogodny komunie i prałatom fanaryockim, z łatwością był usuwany z tronu choćby sznurkiem jedwabnym, ale potęga Fanaru była jego potęgą, któréj lekceważyć nie tak łatwo było Wysokiéj Porcie. Podobnéj pozycyi nie widzimy w Ortakaj (2), a to nie tylko dla tego, że egzarchatowi brakowało długiéj wiekami wyrobionéj tradycyi zwierzchników Fanaru, ale i przez wzgląd na stosunki polityczne i usposobienie ogółu bulgarskiego. Egzarchat nie zajął takiego dominującego w życiu narodowém stanowiska, jakby się po nim można było spodziewać, sądząc z hałaśliwości walki podjętéj dla inaugurowania onego.

Każda nie-muzułmańska narodowość w Turcyi ma wobec Porty urzędowe prawno-polityczne zastępstwo w zwierzchnictwie własnéj

---

(1) Dzielnica Konstantynopola z téj strony zatoki bosforskiéj, gdzie się znajdowało stare Byzancyum; w Fanor znajduje się pałac i siedlisko patryarchatu; od téj dzielnicy przezwane zostało duchowieństwo greckie fanariockiém, fenariockiém.

(2) Dzielnica Konstantynopola nad Bosforem w kierunku bliższym ku morzu Czarnemu: rezydencya egzarchatu bulgarskiego.

gminy wyznaniowéj. W ten sposób naczelną władzą żydów jest rabinat, Ormian gregoryańskich i unickich—odnośne patryarchaty, Greków—patryarcha ekumeniczny w Fanarze, katolików lewantyńskich oprócz właściwych zarządów kościelnych, nadto t. z. kancelarya łacińska (pod zawiadowstwem któréj zostają teraz częściowo i Polacy), Bulgarów—egzarchat w Ortakaj. Od nich zależy wydanie ostatecznéj opinii o członkach własnéj narodowości w sprawach nie tylko wyznaniowych, ale policyjnych, ekonomicznych i politycznych. Na ich informacyach polega Porta i ambasady zagraniczne, przez co władza ich, z saméj natury teokratyzmu wschodniego dość rozległa, staje się jeszcze rozleglejszą i decyduje często w losach odnośnéj narodowości. W powrocie z wycieczki do Egiptu przybyłem do Konstantynopola w chwili, kiedy po podpisaniu preliminaryów pokojowych w San-Stefano wychodzić poczęły na jaw pretensye greckie; w Rumelii i Macedonii rozpoczęły się agitacye obu żywiołów: greckiego i bulgarskiego w obronie właściwości narodowych. Otwarło się szerokie pole dla publikacyi etnograficznych i statystycznych, a każda z obu stron starała się wystąpić przed Europą z zapasem argumentów liczbowych, mających ujawnić gęstość zaludnienia téj lub owéj narodowości w spornych wilajetach. Obznajmiony z zapatrywaniami i głosami greckiemi, zapragnąłem téż posłyszéć w téj sprawie zdanie poważne ze strony bulgarskiéj. Czyjeż mogło być poważniejszém od zdania samego egzarchy, a że znając już Fanar, żywiłem dawno chęć poznania najwyższego podówczas zwierzchnika bulgarskiego, udałem się więc wprost do Ortakaj.

Przyznać należy, że podróżnik europejski udający się na Wschód, znajduje tu wszelkiego rodzaju ułatwienia wśród ludności i władz miejscowych, choćby szło tylko o małą informacyą lub proste zaspokojenie ciekawości. Uprzejmość pod tym względem Greków i Bulgarów godna pochwały. Gdy się jest nadto publicystą lub literatem, otworem dlań stoją podwoje tak prywatnych jak urzędowych przybytków najniższych i najwyższych dostojników. W takich razach okazuje się nawet zbytecznem polecenie znajomych sfer lub osób. Zwiedziwszy zakład naukowy Roberts College (1) w Rumelii Hissar, dzięki uprzejmości tamtejszego dyrektora, zosta-

---

(1) Collegium to, założone nad Bosforem z prywatnych funduszów amerykańskich, jest rodzajem wyższego konwiktu, gdzie paręset młodzieży lewantyńskiéj znajduje pomieszczenie i naukę licealną. Przedmioty wykładają się w różnych językach, a najwięcéj w angielskim. W liczbie uczniów zawsze się znajduje kilkunastu, kilkudziesięciu Bulgarów; paru profesorów jest również pochodzenia bulgarskiego.

łem wprowadzony do egzarchatu, znajdującego się niedaleko ztamtąd w Ortakaj. Uderzyła mię na wstępie skromność i prostota zewnętrzna budynku egzarchackiego: zwykły piętrowy konak turecki, jakiego używa świeżo kreowany basza, nie mogący się jeszcze zdobyć na pałac wygodniejszy i wytworniejszy. Wewnętrzne akcesorya i urządzenia odpowiadały zewnętrznéj skromności: jeden szwajcar, czyli po prostu kawas galonowany u drzwi wchodowych, paru służących w sieni i ksiądz bulgarski jako sekretarz jego świątobliwości — to całe jego otoczenie. Egzarcha mimo, iż od dwóch tygodni był cierpiącym i nigdzie nie wychylał się po za obręb komnat wewnętrznych, zezwolił na posłuchanie i uprzejmie przyjął w swoim gabinecie prywatnym, przylegającym do sypialnego pokoju. Mężczyzna lat czterdziestu, brunet, szczupły, średniego wzrostu, z silnym, czarnym zarostem twarzy, typu bardziéj greckiego niż bulgarskiego — takim się przedstawił naczelnik kościoła bulgarskiego. Łagodny, cierpiący wyraz twarzy nosił ślady przebytéj choroby, po któréj i chód wydawał się chwiejnym a głos przytłumionym.

Rozmowa toczyła się kolejno w języku bulgarskim i włoskim. Po zwykłém w takich razach złożeniu wyrazów szacunku i adoracyi, należnéj stanowisku i jego osobie, potrąciłem o przedmiot wizyty audiencyonalnéj. Jego świątobliwość kazał natychmiast przywołać syndyka egzarchatu, który oprócz zajęć z urzędu, odznaczać się miał zamiłowaniem w studyach etnograficznych. Syndyka nie było w domu. W oczekiwaniu jego przybycia, egzarcha wypytywał o stosunki polityczne i literackie zachodniéj Europy, zdradzając znajomość literatury własnéj i obcéj. Mimo że sekretarz przepraszał z góry za możliwą jego małomówność (bo z powodu choroby gardłowéj lekarze zalecili mu spokój i milczenie), jego świątobliwość nie mógł się oprzéć uprzejmości i chęci podtrzymania rozmowy, sam takową co chwila nawiązując. Potrzeba go było kilkakrotnie prosić, aby oszczędzał siebie i pozwolił skrócić audiencyą.

— Znajdziesz pan—rzekł—w syndyku naszym człowieka oczytanego i skwapliwego do usług, chociaż praca jego nie wchodzi w zakres urzędowych czynności.

— Tembardziéj spodziewam się go znaleść zamiłowanym w tego rodzaju pracy, że do gorliwości amatora przybywa chęć zadośćuczynienia zleceniom i żądaniu waszéj świątobliwości.

— Powiedz pan raczéj i wewnętrznym moim życzeniom, ale nie zleceniu, którego mu dać nie możemy, bo zostawiam tego rodzaju prace osobistéj inicyatywie i staraniom narodu. Choćbyśmy chcieli, nie możemy—*non possiamo.*

I wskazał ręką na okno zasłonięte podług zwyczaju wschodniego, żaluzyą kratowaną, z po za której widać było z jednéj strony pałac sułtański, z drugiéj Bosfor.

— Widziałeś pan więźnia watykańskiego?—zapytał po chwili nie odwracając wzroku od okna, a nie czekając odpowiedzi, dodał: — Teraz widzisz pan carogrodzkiego, a o ile różném jest Ortakaj od Watykanu, o tyle nasze *non possumus* mniéj ma pontyfikatu, a więcéj cierpkiéj ironii.

— Wasza świątobliwość pozwoli mi wyrazić nadzieję pogodniejszej przyszłości. Chcę wierzyć, że niedaleką ta chwila, w któréj wasza świątobliwość rozpocznie szereg najwyższych pasterzy kościoła bulgarskiego w téj saméj godności i tak chlubnie, jak go zakończył przed tysiącem lat Eutymiusz.

— To chyba ostatnie najprawdopodobniéj mię spotka: skończyć mogę w rzeczy saméj tak jak ostatni patryarcha bulgarski, ale rozpocząć jak on już nie mogę.... Eutymiusz miał tę pociechę, że go na wygnaniu otaczała aureola miłości ludu własnego: w ręce, którą pożegnalne udzielał błogosławieństwo, trzymał on serce narodu. Czy taka łaska może być udziałem każdego?

Po chwili zamyślenia, w którém się pogrążył egzarcha, rzekł daléj jakby ocknąwszy się ze snu marzeń:

— Wspomnieniem Eutymiusza tyle sprzecznych myśli obudziłeś pan w duszy mojéj! na przykre radbym rzucić zasłonę niepamięci, bo miło mi przypomnieć w téj chwili, że tenże czcigodny nasz mąż przeszłości, jeśli nie sam, to za pośrednictwem najlepszego ucznia swojego był łącznikiem między naszym a waszym krajem.....

— A nawet i Serbią jednocześnie, bo wszak Cambłak, wychowany w Bulgaryi, był rodem Serb i pono o tém sam nie zapominał, rządząc niezależnie metropolją kijowską.

— Dziwne, dziwne bywają momenta w dziejach ludów! Ta sama biedna, poniewierana dziś Bulgarya, zaledwo wystąpiła przed tysiącem lat na widownię dziejową, dzika, odstrychnięta od reszty wykształconéj Europy barbarzyńskim azyatyzmem jednéj części swych turańskich protoplastów, daje Słowianom naraz Cyryla z Metodym i Czernorizca Chrabra, księgi święte i alfabet narodowy, chrystyanizm i piśmiennictwo, słowo boże i narodowe. Na połowie drogi swego żywota dziejowego, w pięćset lat późniéj, w upadku i agonii ostatniéj, układając się do grobu politycznego, przekazuje testamentem ostatniego patryarchy pochodnię narodowego kościoła słowiańskiego wychowańcowi swemu Cambłakowi i szle go na czoło powstającego u braci naddnieprzańskiéj tegoż samego kościoła. Czyż budząca się samowiedza narodowa Rusi witołdowéj nie była

podówczas spadkobierczynią słowa i myśli słowiańskiéj téj saméj, któréj umierająca Bulgarya piastować daléj nie mogła? I zważ pan, że posłannikiem stał się nie bulgar lecz serb, jak słusznie mi przypomnieliście, serb wszakże z wykształceniem i wychowaniem bulgarskiém. Inaczéj być nie mogło, jeśli się miało stać zadość i potrzebie odradzającéj się Rusi i skromności upadającéj Bulgaryi.

— A jeśli znów jest prawdą, że w dziejach nic marnie nie ginie, a posłannictwo idei przechodzi od narodu do narodu, jeśli naród uczuwać może i to posłannictwo i to przejście, — to zaprawdę Ukraina nie była tak daleką od Bulgaryi, jak wskazywać się zdaje odległość przestrzeni między niemi i jakby sądzić należało z milczenia dziejów zewnętrznych obu krajów; wymowniéj od nich biegły wciąż za Dunaj myśli jéj ludu i tęskne pienia jéj poetów.

Poprzednik teraźniejszego egzarchy, nie zdając się dość lojalnym dla padyszacha, został przez tegoż posłany na wygnanie, co go w oczach rodaków otoczyło pewnego rodzaju aureolą męczeńską, właściwą ludziom słusznie lub niesłusznie prześladowanym. Ten, który zajął jego miejsce, musiał być do pewnego stopnia uważany za antagonistę i uosobienie przeciwnych poprzednikowi dążności, choćby dla tego tylko, że Porta rada była w nim widziéć coś odmiennego od zachowania się poprzednika. Takie pragnienie rządu w niewygodném go stawiało położeniu względem własnych rodaków; toć między nimi znajdowali się tacy, którzy gotowi byli niemal poczytywać go za uzupartora, bez uwzględnienia téj ważnéj konieczności, że przecież egzarchat nie mógł pozostać nieobsadzonym i nie ten, to ów musiał prędzéj lub późniéj objąć ster władzy kościelnej. Jest-to jeden z nieprawidłowych i niesłusznych wyroków opinii publicznéj potępiać, lub co najmniéj z nieufnością spoglądać na tych, którzy przyjmują ofiarowane im stanowisko poprzedników prześladowanych przez ofiarodawcę.

Skutki téj niesłuszności musiał rychło uczuć i doznać na sobie nowy egzarcha, ujrzawszy obojętność na okół siebie i bliższe sfery rodaków rzedniejące i rozsuwające się przed nim coraz bardziéj, a zostawiające przy nim pustki i samotność nie miłą i bolącą dla człowieka, który potrzebuje i ma prawo wymagać poparcia. Z drugiéj strony każdy krok naprzód uczyniony przezeń w celu zbliżenia się do narodu i przekonania go o dobrych chęciach—uważany był przez Portę za przeniewierzenie się programowi politycznemu, w imię którego powołała go na egzarchat i przejmowało ją tą samą nieufnością względem niego, jaką żywiła względem poprzednika, którego los i jemu musiał być prędzéj lub późniéj zgotowany. Jakoż wiadomo, że egzarcha ten skończył karyerę czasową postradaniem go-

dności egzarchatu, ale wskutek wypadków, które stanęły wbrew jego własnym i Porty oczekiwaniom. Wskutek odrębności przyznanéj Bulgaryi na kongresie berlińskim, przypomniano strąconego przez Portę poprzednika i uznawszy jego prawowitość przywołano go do zajęcia egzarchatu już w stolicy księstwa bulgarskiego. Joachim więc samą siłą wypadków zmuszony był usunąć się. Ale w chwili opowiadania naszego czuł on całą niezawisłą odeń dwuznaczność i przykrość własnego położenia. Ztąd to gorycz i rozczarowanie przebijające się w powyższéj rozmowie.

Gdyśmy się syndyka doczekać nie mogli, a wizyta u egzarchy wbrew etykiecie zanadto się przeciągnęła, pożegnałem go i wziąwszy jednego ze służby cerkiewnéj, zacząłem przy jego pomocy szukać owego dostojnika świeckiego, będącego obrońcą spraw cywilnych egzarchatu. Dom jego położony na wzgórzu w jednéj z oddalonych od Bosforu a wązkich uliczek Ortakaja, niczém się nie różnił od innych drewnianych piętrowych konaków, zamieszkałych tu gęsto przez urzędników lub kupców tureckich, greckich, ormiańskich i bulgarskich: ta sama struktura drewniana piąter ustawionych jedno na drugiém z gęstemi w oknach kratami i żaluzyami; ta sama brama okuta żelazem i mosiądzem z tradycyonalnie wiszącym młotem, zastępującym dzwonek europejski; to samo wejście z przedsienia kamiennego wysłanego matami lub plecionkami ryżowemi, po których się wchodziło do izb mieszkalnych na dole i górze, wysłanych po wschodniemu dywanami; te same stojące po środku komnat żółte, mosiężne mangały (fajerki), zastępujące nasze piece do ogrzewania, a nawet ten sam wewnętrzny podział domu na dwie połowy—męską (selamlik) i żeńską—babiniec (harem) z tą różnicą, że między niémi znajdował się rodzaj wspólnego saloniku, ozdobionego małém pianinem, którego zdala już dochodziły dźwięki poruszanych ręką niewieścią klawiszów. Na odgłos kroków wchodzącego obcego mężczyzny urwały się bojaźliwą ręką brane akordy, a kilkonastoletnia pianistka frunęła z okrzykiem do babińca, wywołując ojca na moje spotkanie.

Pan syndyk więc był w domu, wbrew informacyom sekretarza egzarchy, ale był nie sam, bo w towarzystwie biskupa z Macedonii i jakiegoś kupca z dzielnicy bulgarskiéj w Stambule. Panowie ci zajęci byli ożywioną dysputą, a raczéj układaniem i porządkowaniem materyału etnograficznego o stosunkach ludności słowiańskiéj wogóle, a bulgarskiéj w szczególności na półwyspie bałkańskim. Materyał ten miał posłużyć za podstawę do memoryału, który zamierzano opublikować dla Europy, na wzór wysłanéj przed wojną politycznéj broszury Zankowa i Bałabanowa.

Za przybyciem mojém dysputa o tym przedmiocie musiała jeszcze się bardziéj ożywić. Biskup składał informacye z miejscowości macedońskich, kupiec zaś z okolic nadbosforskich, a pan adwokat zajął stanowisko pośrednie i sprowadzał obie relacye do wspólnego mianownika, usiłując z nich wyprowadzić pogląd ogólny i wyższy na całą sprawę. Nie posiadał jednak dość polotu dedukcyjnego, ani odwagi politycznéj do wywiązania się z téj roli: zanadto był rozgorączkowany dokonywającemi się wypadkami, a z drugiéj strony nie umiał ani zapanować nad niémi, jak kupiec gość jego i wyprowadzić z nich praktyczne wnioski polityczne, ani też dość miał fantazyi i zapału, aby porwany wirem gorącéj atmosfery politycznéj, śmiałe jak emigracya w Bukareszcie stawiać plany odbudowania niezależnéj Bulgaryi. Biskup tak z własnych przejażdżek po dyecezyi, jako też ze studyów teoretycznych dokładnie był obeznany ze stosunkami ludności bulgarskiéj, znając stan każdéj parafii i każdéj osady z drobiazgowością, opowiadając stosunki między ludnością grecką a bulgarską i z lubością stwierdzając istnienie żywiołu słowiańskiego z jednéj strony w okolicach Solunia (Saloniki), a z drugiéj sięgając aż gór Rodopskich. Znajomość ta jednak jego obecnych stosunków wcale go nie natchnęła jakąś polityczną inicyatywą. Gdy mnie na wspomnienie Solunia stanęły w wyobraźni wspaniałe apostolskie postacie braci soluńskich Cyryla i Metodego i cała ich działalność cywilizacyjna w Słowiańszczyźnie przed dziewięciuset laty, gdy ciekaw byłem jak dalece sięga świadomość polityczna dzisiejszych macedończyków i czy zachowały się tam wspomnienia świetnéj tradycyi soluńskiéj, — ks. biskup opowiadał, jak Grecy bili jego dyecezyan i wiele w któréj parafii odmówiono dziesięciny fanariotom!

Do tego mąciły jego pojęcia niewyjaśnione stosunki w górach Rodopskich i niemożność zdania sobie z nich sprawy. Była to właśnie chwila kulminacyjnego punktu ruchów powstańczych w Rodopie; chwila kiedy chybiony zamach Ali-Suavi effendiego na sułtana Abdul Hamida skończył się śmiercią spiskowca w pałacu Czeragańskim w oczach eks-sułtana Murada, którego chciano wprowadzić ponownie na tron; chwila kiedy garstka wprowadzonych do Czeraganu wychodźców rodopskich przypłaciła swoję śmiałość również śmiercią, a nieudany ich spisek rozjątrzył jeszcze bardziéj ich współbraci w górach i rozniecił szerzéj powstanie przeciw sułtanowi, przeciw Rosyi i przeciw traktatowi san-stefańskiemu. Biskup utrzymywał, że Rodop zaludniony jest Bulgarami macedońskimi, a kiedym go zapytał, dlaczego powstańcy rodopscy, walcząc przeciw obecnemu sułtanowi Abdul-Hamidowi, chcą tylko w miejsce jego suł-

tana Murada i wcale nie myślą występować z organizmu politycznego Turcyi, lecz tylko powstają przeciw obecnemu porządkowi rzeczy; dla czego niektórzy z nich mówiąc po słowiańsku i będąc muzułmanami, zachowują nawet w chatach swoich obrazy Matki Boskiéj i Chrystusa, lecz mimo to jeśli nie wyrzucają popów zarówno greckich jak bulgarskich, to okazują dla nich taką obojętność jak dla chodżów muzułmańskich, — nie umiał tych zagadnień rozwikłać i otworzył szeroko oczy, gdym mu zaczął opowiadać wypadki i okoliczności, stwierdzać się zdające mniemanie, że znaczna część butnych i zachowujących tradycye języka i religii słowiańskiéj Pomaków składa się z poturczeńców, zbisurmanionych potomków Polaków i Rusinów, uprowadzonych w jasyr przez Turków i Tatarów w XV, XVI i XVII wiekach.

— A wy, effendi, jesteście polak czy rusin? — zagadnął mię z nienacka gospodarz domu.

— Polak — odrzekłem.

— I katolik?

— Katolik.

W oczach pytającego wyczytałem wyrok potępienia dla siebie i utratę téj szczypty sympatyi, jaką zdawałem się mieć u niego przez wzgląd na zainteresowanie się sprawami bulgarskiemi.

— Dla czego wy, polacy — pytał mię daléj z nachmurzoném czołem i odwróconém odemnie wzrokiem—buntujecie się?....

— A dla czego wy, bulgarzy, buntujecie się przeciwko Turcyi? — odciąłem się również rezolutném i bez ceremonii postawioném pytaniem, chcąc go w ten sposób sprowadzić z drogi namiętnéj, doktrynerskiéj dyskusyi, na którą zdawał się wchodzić z wielką ochotą.

Pragnący teraz uchodzić za legalnego raję w oczach podejrzanego cudzoziemca bulgar zmieszał się i nie wiedział jak wybrnąć z dwuznacznéj sytuacyi.

— Ja, az, Boga-ta klanu, w Carogrodzie nie imała żadnego buntu — odrzekł wymijająco.

— Ale, nad Dunajem,—a dla czego?—Bo Turcya jest bisurmańska!—powiesz pan.

— A tak!

— Bardzo dobrze! — Z tego wynika, że Bulgarowie nie są bisurmanami?

— A jużci!

— I Serbowie także nie?

— A zapewne!

Biskup i kupiec z wyczekującém zdziwieniem czekali końca téj rozmowy.

— Jeśli tak jest — ciągnąłem daléj — to dla czegóż Serbowie buntowali się i buntują się przeciw Bulgarom, a Bulgarowie przeciw Serbom, a to zarówno przed XIV i XV wiekiem, jak i w XIX-tym? Dla czego przy końcu IX i na początku X wieku kiedy Samuel bulgarski podbijał Serbią, aby z nią razem uderzyć na Bizancyum, Serbowie buntowali się i zapragnęli mieć własne rządy? Dla czego przy końcu X wieku kiedy inny Samuel bulgarski podbijał w Dalmacyi kraje potomków wielkiego żupana serbskiego Przedrzymira, aby znów wspólnemi siłami uderzyć na Greków,—król Włodzimierz buntował się i stawiał mu opór? Dla czego w XIV wieku Bulgarya odpadła od państwa Duszana silnego serbskiego i w ten sposób osłabiwszy siłę oporu Nemaniczów przeciw Turkom, ułatwiła tym ostatnim podbicie Bałkańskiego półwyspu? Dla czego Szyszman bulgarski zbuntował się przeciw Serbii, opuścił cara Łazarza, zawarł oddzielną umowę z Turkami i ułatwił w ten sposób głośny ów pogrom chrześcijaństwa w 1389 r. na Kosowém polu? Dla czego teraz kiedy jeszcze nie podzielono się łupem tureckim i spadek po *chorym człowieku* niewiadomo komu i jak dostanie się w udziale, Serbowie i Bulgarowie kłócą się i buntują wzajemnie nad Tymokiem i u zachodnich granic Bulgaryi o władztwo nad temi okolicami?

— Aferim, gospodine, smutnie, ale dobrze mówicie.

— Pomyślcie kiedy w wolnéj chwili, panie — ciągnąłem daléj, zwracając się do gospodarza domu — nad odpowiedzią na to pytanie, a ja wiedząc o niechęci pewnéj części Bulgarów do Polaków, opowiem wam tymczasem za to inną historyą.

„Gdy my tu rozprawiamy o tém jaką jest i jaką będzie Bulgarya, wspólny nasz pobratymiec kroat, dr. Petar Matkowić, wydaje podług zachowanych w Wenecyi włoskich i serbskich źródeł opis jak wyglądała Bulgarya przed półtysiącem (bez paru dziesiątków) lat i o jeden wiek późniéj? Z opisu tego, jak wyjdzie na świat boży (1)

---

(1) P. Putovanja po Balkanskom poluotoku XVI wieku (napisao Dr. P. Matković) zawierające: Feliks Petančic i niegov opis puteva u Tursku. U Zagrebu 1879; tudzież: Dva Talijanska putopisa po Balkanskom Poluotoku iz XVI wieka (priobcio Dr. Petar Matković u Zagrebu 1878), zawierające: 1) Descrizione del viazo de Constantinopoli 1550 de Ser Catharin Zen, ambassador straordinario a Sultan Soliman, e suo ritorno; 2) bezimiennego: Descrizione del viaggio per terra di Constantinopoli e delle cose principali del paese. Patrz též wiadomość podaną przez nas o tych zajmujących publikacyach D-ra Matkowicza w krak. czasopiśmie „Muzeum" z 1881 r.

dowiecie się, że w sto sześćdziesiąt lat po bitwie na Kosowém polu nietylko nie było już śladu państw serbskiego i bulgarskiego, ale nawet imiona ich i wspomnienia o nich zaginęły; podróżnik ówczesny, chociaż sam słowianin i to bardzo blisko spokrewniony z Bulgarami i Serbami, bo Kroat, przejeżdżając przez dzisiejszą Serbią i Bulgaryą, widział półksiężyc muzułmański i Turków, widział Greków i Wołochów nawet, ale Serbów i Bulgarów prawie nie widział i nie słyszał o nich. A jednak w ciągu tego półtora wieku zaszedł fakt historyczny wielkiéj dziejowéj doniosłości, który powinien był żywszy obudzić ruch wśród narodu bulgarskiego i zostawić u niego po sobie bodaj wspomnienie, bodaj tradycyą, która dla ludów ujarzmionych bywa ożywczym zdrojem, podtrzymującym na długo wewnętrzne siły narodu. Faktem tym był pochód Polaków łącznie z Węgrami pod wodzą ich króla Władysława, przez ziemie bulgarskie, walka ich z władczynią Bulgaryi—Turcyą i śmierć wśród téj walki szlachetnego Władysława Warneńczyka w obronie chrześcijaństwa i Bulgaryi. Polacy nie pytali was wtenczas: czy się kłócicie z Serbami, czy jesteście katolikami lub prawosławnymi—dość dla nich było poczucie tego obowiązku, że się idzie walczyć w obronie chrześcijan i pobratymców,—więc walczono i obficie zroszono krwią polską pola bulgarskie, chociaż ostatecznie miano powody zapewne słuszne utyskiwać na tych pobratymców. Gdy bowiem armia chrześcijańska pod wodzą króla polskiego posuwała się ku Warnie na spotkanie muzułmanów, Bulgarowie nie tylko nie powstali zbrojnie z pomocą, lecz zostawiali kraj swój ogołocony ze wszystkiego, niegościnny i bezludny, pozbawiony zapasów dla idących za nich walczyć żołnierzy; a serbski car Brankowicz, chociaż miał własną armię, nie tylko nie przyłączył się do wspólnego z armią Władysława działania, ale nawet połączyć się z nią przeszkodził sławnemu Skander-begowi, obrońcy albańskiemu. Przy takich warunkach nastąpiła pamiętna klęska pod Warną w 1444 r., po której, jak powiedziałem śladu Bulgaryi nie zostało.

— Naród w upadku i pod obcem jarzmem traci poczucie swych obowiązków i staje się nieporadnym, a często nawet spodlonym— odezwał się biskup, z zajęciem słuchający tego opowiadania. — Ale dla czegóż Polacy, mając podówczas siłę i władzę zorganizowaną, nie zorganizowali powstania ogólnego chrześcian na Bałkańskim półwyspie i albo nie potrafiili zapałem natchnąć ich do wspólnéj walki z wrogiem, albo siłą i wbrew woli wcielić ich w swoje szeregi?

— Dajcie pokój, Władyko, tym zarzutom — wtrącił kupiec — dawne to dzieje i smutne. Zostawmy je w spokoju.

— Prawda że dawne, to powiem wam o nowszych, jeśli pozwolicie—mówiłem dalej rozgoryczony.—Wszakże znakomita część rodaków waszych z nad Dunaju nieobojętną była w przywołaniu pomocy rosyjskiéj, a nawet przywoływała Rosyan, a teraz sami skarżycie się na to, że was w ostre kluby wzięli i surowo z wami postępują; Rosyanie zaś utyskują na was, że nie jesteście chętni do służby obozowéj, że albo uchylacie się od współdziałania z nimi albo korzystacie z ich potrzeb i wyzyskujecie jak nieprzyjaciół (1). Posłuchajcie oficerów z San-Stefano (2). U nich to zwykła opowieść taka:—Przychodzi oddział wojska do wsi. Chaty pozamykane. Kapral pyta: jest mięso?—niema; a mleko?—niema; a chleb?—niema. A cóż jest?—„Niema niszto." Żołnierze otrzymują rozkaz przetrząśnięcia chałupy, i po pół godzinie wydobywają z piwnic barany, wieprzowinę, kukurydzę, ryż wino i t. p. Albo znużony marszem oddział rozbija obóz pod górą, za którą o parę kilometrów wioska. W pół godziny zjawiają się markietani bulgarscy z wódką. Za litr rakii (mastyki) płacą podróżni 3 piastry. — Po czemu litr? — pyta żołnierz Bulgara. — Dla was, bratuszki, po 15 piastrów — to za bezcen...

Amfitryon nasz składał to na *czorbadżych*, których usprawiedliwiał lojalizmem dla Turcyi i zaczął mówić o przywiązaniu Bulgarów do dynastyi Osmanów, a wymawiając imię panującego sułtana, pochylał za każdym razem głowę ze czcią. Patrzyłem na niego, zdumiony tym zwrotem, chciałem podziwiać tę oryentalną obłudę. Siła jednak przekonania, z jakiém wygłaszał zdania swoje i jednoczesne wycieczki przeciw muzułmanom i grekom tak ortodoksalnym jak zbisurmanionym, którym przypisywał ujemne wpływy na otoczenie sułtańskie i Wysokiéj Porty, przekonały mię rychło, że mniéj tam obłudy, a więcéj powikłania pojęć, nieporadności i dziwnego jakiegoś zaślepienia, przy którém niedostrzegał sprzeczności w wygłaszanych przez siebie przekonaniach. Wychowany w starym systemie tradycyi, bodaj może jeszcze janczarskiéj, przeciwnikiem był reform konstytucyjnych, uznawał sułtana za prawowiernego pana, którego władza od Boga pochodzi, a jednocześnie wy-

---

(1) Patrz *Wiestnik Jewropy* z 1878, 1879 i daléj, jak również i inne czasopisma rosyjskie z owego czasu: pełno tam korespondencyj i sprawozdań z obustronnych narzekań, utyskiwań, skarg i zawodów.

(2) Po podpisaniu preliminaryów pokojowych w San-Stefano, za pozwoleniem W. Ks. Mikołaja 2,000 oficerów i podoficerów z armii rosyjskiéj pojawili się na Pera i od téj pory prawie codziennie aż do wymarszu głównego sztabu ze San-Stefano, byli gośćmi w Konstantynopolu.

ciągał ramiona do Białego Cara i Rosyan nazywał bratuszkami swoimi. Jakaś martwota wiała z tych sprzecznych poglądów jego, a on sam przedstawiał się jakby zasuszona mumia z innego świata, przypominająca żywcem rusińskich w Galicyi Świętojurców.

Takich jak on wielu spotkać można w Turcyi. Są to w najbliższéj konsekwencyi krewniacy po duchu Czorbadżych, jeno mniéj radykalni, ale najbliżsi tego prototypu bulgarskiéj lojalności.

(d. c. n.) *Jan Grzegorzewski.*

PAMIĘTNIKI HUSARZA

Z PIERWSZYCH LAT XVII WIEKU.

(SAMUEL MASZKIEWICZ).

(*Dokończenie*).

V.

Życie wojskowe w wieku XVII przy bliższem poznaniu okazuje się nam prawdziwą szkołą demoralizacyi obyczajowéj i politycznéj. Zaciągając się pod chorągiew młodzieniec wyzwalał się z zależności od wszystkich powag mogących hamować zapędy jego namiętności. Ani rodzice, ani kościół, ani opinia publiczna, ani prawo nie mogły go tu dosięgnąć. Umysł i serce były za słabo rozwinięte, zbyt ubogo zaopatrzone, by mogły służyć za tarczę przeciw szkodliwym wpływom i stanowić przeciwwagę ślepym popędom i sile przykładu. Trudno żądać od ludzi rzucających siebie samych jako stawkę na loteryi, w któréj wygranę stanowiły pieniądze i wesołe życie obozowe, by zachowywali jakieś wyższe pojęcia i uczucia. Kto dłużéj pobył w towarzystwie takich zuchwałych awanturników, niepohamowanych niczém hulaków, ten musiał, jeśli je posiadał, przytępić uczucia rodzinne, obywatelskie i religijne. Maszkiewicz nie lepszy, umiarkowańszy może i roztropniejszy od swych kolegów kreśli nam z humorem, bez oburzenia obrazki życia husarskiego. Najjaskrawszą z ujemnych stron tego życia stanowi pijaństwo. Typem husarza-pijaka jest taki Brzezicki z chorągwi Skuminy, lublinianin. „Był on straszny hulaka, pił gorzałkę z każdym, z kim się spotkał nigdy się nie wychmielił, nie wiedział kiedy dzień a kiedy noc, nie zmieniał nawet bielizny i w jednéj opończy tylko hulał po ulicy chodząc. W przystępie obłędu pijackiego miał widzenie, iż dyabli chcieli go porwać do piekła, przestraszony tém wytrzeźwiał, udał się do klasztoru i tam przez dwa tygodnie odda-

wał się praktykom religijnym. Pomimo to halucynacye nie przestawały go dręczyć „zawsze mu dyabeł przed oczyma w rozmaitych postaciach to psem się przerzuci to kotem“. Egzorcyzmy nic nie pomagały i zaledwie w pół roku spokój odzyskał. „Od tego czasu przestał pić wódkę ale za to ciągnął małmazyą lepiéj niż dawniéj“ dodaje od siebie Maszkiewicz.

Ci nawet co nie byli nałogowymi pijakami nie znali miary gdy pili w kompanii. Okazyi do pijatyki nie brakowało nigdy w obozie. Brat Maszkiewicza Daniel, gdy stał w Borysowie pod Możajskiem, budował sobie szałas. „Na zakładziny téj budowli przyszło do niego kilku towarzyszów a że nie miał ich czém inném ugościć, oprócz gorzałki tedy brat posłał po nią. Z początku goście i gospodarz pili kieliszkami a potém całymi sztofami, jednym duszkiem. Już wszyscy z nóg się zwalili oprócz brata i jakiegoś Niedzwieckiego także z roty Kalinowskiego. Ten Niedzwiecki podał hasło pić we dwu, z tą umową że gdy jeden osłabnie drugi mocniejszy o nim mieć będzie staranie i wezwie księdza z cyrulikiem. I tak pili oni obadwa do tyla iż tamten padł martwym... Brat stał na nogach i pamiętając o umowie posłał po mnie chłopca w skok i po cyrulika. Natychmiast go wysłałem ale już za zapóźno. Niedzwiecki wyzionął ducha. Brat go pochował i był zdrowym ale taka straszna poczestka nie mogła mu niezaszkodzić.“ Częste powtarzanie choć nie w takich rozmiarach wybryków hulackich zrujnowało zdrowie p. Danielowi tak, iż zaraz po powrocie z wyprawy wpadł w chroniczną jakąś niemoc, która wkrótce przyprawiła go o śmierć.

Ludzie z podobnemi obyczajami nie robili różnicy między krajem nieprzyjacielskim a własnym; każdy kto nie należał do związku, był im obcym i musiał pokornie ulegać wymaganiom i kaprysom tych buńczucznych żołdaków. Chorągiew ks. Poryckiego, w któréj służył Maszkiewicz, miała wyznaczone sobie od władzy związkowéj stanowisko w Samborze wraz z trzema innemi. Na zebraném w tém celu kole rozdzielono pomiędzy towarzyszów „przystawstwa“ tj. wsic obowiązane dostarczać w naturze żywność dla ludzi i koni. Maszkiewicz na 12 swych koni dostał 48 łanów w górskich karpackich wsiach, a ponieważ rodził się tam tylko owies, a przewóz dla braku dróg był uciążliwy, przeto zamieniono dostawy na pieniądze; za trzy ćwierci wziął po 32 zł. z łanu, a więc przeszło 1,500 zł. sumę wysoką wielce na owe czasy. „Oprócz działu, przyznaje się poufnie Maszkiewicz,—dał mi był pan Pawłowski co u nas w rocie przystawstwa rozdawał, wieś pode Lwowem, na samém przedmieściu, łanów 6 a p. Grabiance drugą taką. I ty cyt i ja cyt. Potrzebną mi była bardzo

dla przyjechania do Lwowa bom z niéj wszystkiego jak z folwarku miał dostatek.“

Ponieważ z kolei wyznaczano pułkom coraz inne przystawstwa, przy następnym rozdziale dostały się pułkowi ks. Poryckiego grody Rusi Czerwonéj: Lwów, Chełm, Bełz, Krasnystaw, Lublin. Dla porozumienia się z miastami i obliczenia przypadających na nie sum pieniężnych wyprawiono z każdéj roty po dwóch deputatów, którzy zebrali się we Lwowie i ztamtąd rozjechali do wyznaczonych dla każdéj roty miejsc. Maszkiewicz, odgrywający widocznie wydatną rolę w pułku i umiejący chodzić koło swych interesów, zachował dla siebie najbogatsze z miast Lwów. Został się tu więc z nieodstępnym Grabianką. Lwowianie jednak opierając się na swych dawnych przywilejach oświadczyli, że stacyi nie dadzą, bo nie są obowiązani jej dawać nawet samemu królowi. Nie zważając na to Maszkiewicz z towarzyszem biorą się do rozpisywania gospód dla wojska i dla postrachu zapisują dwa razy więcéj niż było potrzeba.

Gdy na noc udali się panowie kwatermistrze do swéj gospody na przedmieściu, zwierzchność miejska poleciła zamknąć bramy i nikogo obcego nie wpuszczać. Nie mogąc się dostać do miasta Maszkiewicz obstawił bramy swymi pachołkami polecając im by nie puszczali dowożonéj żywności. Po trzech dniach takiego oblężenia brak świeżych zapasów i drzewa rozjątrzył niezmiernie liczną i zamożną ludność Lwowa na zuchwalstwo kwatermistrzów, którzy przekpiwali z jéj kłopotów przechadzając się po ulicach. Gdy jednego wieczoru wracali do gospody, tuż przy saméj furcie zostali otoczeni przez gromadę zbrojnych mieszczan, która zaczęła bić idącego za nimi pachołka. Rzecz naturalna, iż pośpieszyli mu z pomocą a mieli ze sobą wszystkiego dwóch czeladników i jednego chłopca, który szedł z latarnią. „Nie był w stolicy (tj. w Moskwie) w zmianę (zdradę) taki strach na nas jako tam“ powiada p. Samuel, pachołka nam jednego zabito zaraz, drugiego raniono, p. Grabiankę téż okrutnie pobito cepami żelaznemi i goleń mu potrącono, który od tychże razów umarł.“ Zdaje się że p. Samuel ratował się ucieczką pod osłoną ciemnéj nocy i schował się u znajomego mu krawca, nie przyznaje się naturalnie do tego i powiada tylko że go „ratował prędko gospodarz, u któregośmy byli, Mościcki krawiec,“

Pomścili wprawdzie mieszczanie swę zniewagę, lecz musieli tę satysfakcyą okupić pieniędzmi. Powiada Maszkiewicz że kosztowało to ich z 15,000 zł., z tych większą część wydali na pozyskanie sobie senatorów, powkrzywdzonym dostało się tylko 3,000 zł. (było to przed śmiercią Grabianki) z których p. Samuel bierze tylko 100

zł. „bo nie było za co“ ale za to korzysta sobie bezkarnie z folwarków miejskich. „A co się téż im folwarków nadskubło, tymeśmy się i za stacyą kontentowali od nich.“

Bezczynne życie zachęcało do zawiązywania stosunków towarzyskich z okoliczną szlachtą. Związkowi w liczbie siedmiu tysięcy byli przeważnie litwinami i litewskimi rusinami (1) na których pojęcia, mowę i obyczaje wielki wpływ wywierać musiał długi pobyt w mało i wielkopolskich prowincyach. Uroda, lepsze wychowanie i obyczaje polek pociągały ku sobie wrażliwe na wdzięki niewieście serca husarskie. Małopolska i wielkopolska szlachta szukała żon na Rusi dla wielkich posagów, tamtejsi zaś i litewscy panowie szukali w polkach urody, ogłady i wewnętrznych przymiotów. Towarzyskość szlachty polskiéj, przymioty kobiét, i cicha praca u pługa były najważniejszemi czynnikami w dziele pokojowéj a trwałéj polonizacyi prowincyj wchodzących w skład rzeczypospolitéj, w dziele które mimo anarchii i bezsilności rządu, a nawet może dzięki tym warunkom, odbywało się siłą swobodnego oddziaływania wyższéj kultury na niższą.

P. Samuel miał sposobność bliżéj poznać najwybitniejszych ludzi pośród szlachty małopolskiéj: Zebrzydowskiego z którym, jak widzieliśmy, traktował o przyjęcie służby w chorągwiach rokoszan i Szczęsnego Herburta, z którym zaznajomił się stojąc z chorągwią w Przemyślu, oddalonym tylko trzy mile do Dobromila. Stosunek ten pochlebiał wielce Maszkiewiczowi, gdyż z widoczną dumą i zadowoleniem opowiada, jak Herburt „człowiek wielkiéj prezumcyi o sobie, nikomu pod słońcem świata przed sobą i w urodzeniu niedający, żonaty z księżną Zasławską Zofią.... często bywał u mnie (w Przemyślu), wielką przyjaźń mi ofiarował, siła niekiedy ze mną o rzeczach wielkich mówił bom i pułkownikiem po ożenieniu Poniatowskiego został i cośkolwiek w wojskiem mógł“. Herburt, niezmordowany w swych rokoszowych zabiegach, usiłował zużytkować na korzyść opozycyi szlacheckiéj niechęci związkowych i starał się pozyskać dla swych planów Maszkiewicza jako pułkownika i człowieka wpływowego. „Zaciągał aby my z chorągwiami pod Warszawę szli, pod sejm blizki przyszły; a potężnie królowi staniecie, mówi, i zasług dojdziecie i powetujecie wszystkiego i jeśli co pod rokosz

---

(1) Hermogenes patryarcha moskiewski w odezwie swéj wzywał lud do powstania „protiwu Litwy,“ współcześni kronikarze duchowni zowią zwykle Litwinami rycerstwo zajmujące Moskwę. „Bezbożnaja Litwa“, „ot wragow wsiego prawosławnago krestianstwa litowskich ludiej“ (Ustryałów: Skazania sowremienników—T. V. 201, 209. 223).

opuścić się mogło, snadnie teraz poprzecie, mając i szlachty nie mało przy sobie a pojedziem, mówi, wszyscy z wami.“ Obojętny na niezrozumiałe mu dążenia opozycyi szlacheckiéj Maszkiewicz, nie umiejąc odeprzeć wymownych dowodzeń Herburta, zwracał uwagę tylko na „skwirk ubogich ludzi i krzywdę nieznośną od skupienia wojska,“ na co egzaltowany rokoszanin odpowiadał: „święteż to jałowice, święteż to kokoszki, które pokój i pierwszy wiek złoty wolności ojczyznie przywrócą.“ Nic jednak nie wskórał swemi wywodami i podżeganiami, bo praktyczny pułkownik widział przed sobą jeden tylko na teraz cel do osiągnięcia: odebranie zaległych oznaczonych zasług, przyczém spodziewał się sam jeszcze osięgnąć dodatkowe korzyści z tytułu swego stanowiska. Poruszenie kwestyi politycznych zawikłało by tylko i utrudniło sprawę; kierownicy związku wpadli na trafny i skuteczny pomysł, postanowili mianowicie nałożyć sekwestr na dochody starostw, królewszczyzn, biskupstw opactw; po obliczeniu bowiem okazało się, że połowa rocznego dochodu wystarczy na zapłatę żołdu, którego suma wynosiła 7,000,000 złp. Naznaczono już delegatów do odbioru wpływów. Duchowieństwo i senatorowie przerażeni tym postanowieniem wymogli na królu zwołanie sejmu, drugiego już w ciągu roku, jedynie w celu uchwalenia środków zapłaty żołdu, a jednocześnie prośbami skłoniono związkowych do powstrzymania sekwestru aż do czasu uchwały sejmowéj. „Jakożem ja miał listów trzy od p. Kaliskiego do siebie abyśmy do sejmu jeno wytrwali obiecując pewną i prędką zapłatę.“

W liczbie czterech delegatów wyprawionych na sejm od wojska był także i p. Samuel. Zarówno przez ostrożność jak dla braku wymowy nie chciał się podjąć oddawania królowi „instrukcyi, bo ostra bardzo była. Scibor ją odprawował przed królem. Ja insze zlecenia wojskowe łagodniejsze i *petita*.“ Miłe to były chwile dla p. Samuela, który odnosił teraz sowitą nagrodę za trudy wojskowe i korzystał w całéj pełni ze swego wysokiego stanowiska. Delegaci otrzymali po 300 zł. strawnego i gospodę na Mostowéj ulicy z pięciu izb złożoną. Ciasno tam im było, bo „towarzystwa nie mało co po swych potrzebach na sejm pojechali i tam z nami stali“—ale wobec rozlicznych rozrywek, jakie nastręczała Warszawa, nie wiele czasu poświęcano spoczynkowi w gospodzie. Senatorowie i posłowie czując, że na ich kieszenie spadnie ostatecznie ciężar zapłaty, przesadzali się w uprzejmościach dla delegatów związku, by ich ująć i wytargować lżejsze warunki. „Poszanowanie wielkie mieliśmy na tym sejmie, miejsca nam nie znaleźli, jeden przed drugim na bankiety się

uganiali tygodniem przedtem i daléj zapraszając nas na nie a drugi się i nie domieścił.“

W poufnych rozmowach dygnitarze koronni czynili najświetniejsze obietnice nagród i korzyści osobistych w zamian za ustępstwa w żądaniach. Nie chcąc w niczém drażnić wojska pozwalano na wszelkie wybryki bawiącym w stolicy towarzyszom. „Mieliśmy wielką wolność na tym sejmie; w nocy, o północy zbroić co, posiec, zabić wolno; żaden nie śmiał słowa rzec. Warty więc mimo idą a nasi co takowego robią, nie rzekną nic, jakby nie widzieli.... Gdzie którego obaczono z naszych idąc albo brojąc, to siedm tysięcy za nim chodzić, dać im pokój... Zabili nasi drabanta królewskiego, nie wykonywali *egzekucyi* choć pod sejm i pod bokiem królewskim, ale sami z ugodą nas szukali, aby się cokolwiek dało względem Boga; dano złotych 80.“ Ta swawola i bezkarność cieszy p. pułkownika tak jak w pół wieku późniéj radować będzie p. Jana Chryzostoma swawola szlachty zgromadzonéj na elekcyą pod Wolę; to jednak nie przeszkadza mu pełnić poważnych obowiązków deputata od wojska do komisyi rozpatrującéj i sądzącéj *excessa* popełnione przez związkowych; „których sądów dekreta takowéj wagi były jak sejmowe i infamia w ręku naszych była“—przechwala się p. Samuel. Upragniona wypłata nareszcie nastąpiła w przewodnią niedzielę 1614 r.; Maszkiewiczowi nie doszła w całości należna suma, bo musiał płacić za swe poprzednie sprawki, o których milczy naturalnie w pamiętniku. „Mnie aresztowano było zasługi o Szabłowskiego i musiałem płacić Mazurom (widocznie za pobicie lub poranienie w Warszawie) a Kossakowski także przy nich był się przywiązał.“ Na trzeci dzień, we wtorek 8 kwietnia spalono uroczyście akt konfederacyi w kościelę u Fary we Lwowie kładąc tym obrzędem koniec jéj istnieniu.

VI.

Z chwilą rozwiązania konfederacyi rozpoczyna się nowa epoka w życiu Maszkiewicza. W zawodzie wojskowym doszedł on najwyższego stopnia, jaki przy swych zdolnościach i stanowisku społeczném mógł osięgnąć. W ciągu służby, a nadewszystko w czasie związku wojskowego i pełnienia obowiązków delegata, pozawiązywał stosunki z dygnitarzami i senatorami, którzy nie szczędzili mu komplementów i świetnych obietnic. Po burzliwém i ruchliwém życiu wojskowém uśmiechała mu się wesoła lecz wygodna i zaszczytna egzystencya starosty lub kasztelana przy bogatém ożenieniu. Jeżeli bowiem taki Ludwik Poniatowski, także pułkownik husarski

i kolega p. Samuela, mógł ożenić się ze Stadnicką z Łańcuta, wdową po głośnym „Dyable“ Stadnickim; jeżeli ubogi towarzysz z jego chorągwi niejaki Ratowski, „chudzinka pachołeczek“ został mężem Ocieskiéj z domu Mieleckiéj starościny Olsztyńskiéj, właścicielki rozległych dóbr i 30,000 zł. rocznéj intraty: to dla czegóżby p. Maszkiewicz, którego brat żonaty z Chreptowiczowną, on sam zaś prócz pokrewieństwa z Wiszniowieckimi, posiadał urodę, zdrowie, stopień pułkownika, ogładę obyczajową i wreszcie skromną fortunę w ziemi, nie mógł sięgnąć po córkę dygnitarza i senatora. Dotychczasowe powodzenie u kobiét dodawało mu tém więcéj otuchy. Mickiewicz w stosunku Jacka Soplicy do Horeszki odtworzył epizod, który w przeszłości powtarzał się niezmiernie często. Jednać sobie wpływową szlachtę widokiem świetnego ożenienia i koligacyi z senatorem, był to częsty bardzo i zawsze się udający fortel magnatów. Niekażdy czuł doznany zawód tak silnie jak Jacek, niekażdy Horeszka życiem opłacał swą zdradę; świadczy o tém p. Jan Chryzostom Pasek wyzyskiwany téż w podobny sposób, ale na szczęście nie żywiący gorących uczuć dla obiecywanéj mu panny. I u pana Samuela raczéj ambicya niż serce musiało otrzymać ranę. Małomówny, jak zwykle, gdy mu przychodzi wspomnieć o stosunkach poufnych lub niepowodzeniach, mści się za doznany zawód przeklinając jego sprawcę. „P. Kanclerz Litewski, wielką téż chęć a osobliwie mnie, pokazał, (w czasie sejmu w Warszawie), już za swego mnie mając i gospodarstwo mi zlecał i łaskawym bardzo obiecał być“. Maszkiewicz ani słówkiem nie wspomina że chodziło tu zapewne o ukazaną mu perspektywę ożenienia się z blizką krewną kanclerza a może i córką wówczas jeszcze za młodą, wydaną w cztery lata późniéj za Radziwiłła, widoczne to jednak z powyższego ustępu. W całym pamiętniku zresztą swe sprawy sercowe i stosunki z kobiétami osłania tajemnicą i zbywa lekkiém, niejasném napomknieniem, jak to widzieliśmy przy wzmiankach o romansie z księżną Wiszniowiecką. Krótko jednak trwały te złudzenia: „Ten (kanclerz) jako i wszyscy, tak ci co teraz, jako inszy dawniéj (panowie naturalnie), jeśli cokolwiek uczynił kto dla którego z nas, więcéj z bojaźni, niżeli z chęci; bo prędko po spaleniu konfederacyi odmiana się we wszystkich pokazała, jako i mnie kanclerz Litewski potém, bodaj mu wszystkie ludzie na świecie i sam Bóg częściéj się okazał chętnym; nazbyt było obietnic a żaden nie dał, oprócz Gąsiewski atłasu łokci 8 dał mi.“ Prawda że zrealizowanie świetnych marzeń w ośmiu łokciach atłasu mogło goryczą napoić p. Samuela, ale nam dzisiaj naiwna forma jego żalu i złorzeczenia wydaje się wyjętą żywcem z ust naszego stróża lub małomiejskiéj kumoszki biadających na niewdzięczność ludzką.

Z tych samych ust zdaje się płynąć życzenie, jakie przesyła kanclerzowi. „Oby go podobnież kat poczęstował przy pręgierzu“ przy wzmiance o pobiciu jego czeladzi w drodze przez kanclerza. Musiało widocznie obustronne rozjątrzenie zajść bardzo daleko, gdy wy soki dygnitarz, znakomity i zasłużony mąż stanu w ten sposób okazywał szlachcicowi swą niechęć. P. Samuel ze swéj strony rozciąga na cały ród Sapiehów uczucia, jakie żywił dla kanclerza. Gdy Mikołaj Sapieha odprawia wjazd na województwo nowogrodzkie i zgromadza szlachtę do Nowogródka, Maszkiewicz jedzie umyślnie do Wilna na odbywający się tam jednocześnie pogrzeb poprzedniego wojewody Teodora Skuminy: „Wolałem raczéj pojechać do domu płaczu niż wesołości“ powiada lakonicznie nie objaśniając bliżéj pobudek czynu tak sprzecznego z hulaszczemi i towarzyskiemi upodobaniami p. pułkownika. Niepowodzenie jednak od pewnego czasu prześladuje go na każdym kroku. Przy działach majątkowych, jakie nastąpiły (1614 r.) w Serweczu, gdzie zebrali się trzéj bracia: Jan, Samuel i Gabryel i żyjąca jeszcze matka, najstarszy Jan nie zważając ani na „łzy matki ni na rady przyjacielskie“ nie szanując zwyczaju „że starszy dzieli a młodszy wybiera“ przywłaszczył sobie, niedając do działu, majątek rodzinny, który drogą procesu odebrał od nieprawego posiadacza, przytém sam sobie na własną część wyznaczył dwie wsie: Żabrzyce i Jatry. „My młodzi widząc dla siebie taką krzywdę, nie chcieliśmy się zgodzić; nasza niezgoda bardzo zasmuciła panią matkę i nadwyrężyła jéj zdrowie. Tylko dla jéj spokojności, Bóg temu świadkiem, skłoniłem pana Gabryela na czas ustąpić, daliśmy opisy i rozebraliśmy nasze części.“ Zapomina tylko dodać p. Samuel, co widoczne z podanych szczegółów układu, że i ów chciwy i twardy p. podsędek zmiękczył się łzami matki i zezwolił, żeby ów odebrany przezeń sądownie majątek (trzy wsie w Pińskim powiecie) stanowił wspólną własność pod dożywociem matki. Samuelowi dostał się Serwecz ze Skorowem.

Samotne życie na wsi nie uśmiechało się p. pułkownikowi nawykłemu do gwaru i ruchu życia obozowego i miejskiego i dla tego pragnie on gorąco się ożenić. Upatrzywszy sobie odpowiednią swym wymaganiom pannę, krewną p. Okonia, wyprawia jednego ze swych sąsiadów czy przyjaciół p. Jana Pryszczyckiego „dla zbadania myśli jego (tj. Okonia) krewnéj. Daje mu na drogę 20 zł. i konie swe z powozem. „Nie wczas przybył“ dodaje streszczając w dwóch słowach niepomyślny rezultat poselstwa.

Zniechęcony zawodem opuszcza Serwecz by w dalszym ciągu wieść wesołe kawalerskie życie. Sposobność ku temu podało mu

wezwanie Radziwiłła ordynata kleckiego (1), który znając zapewne dobrze p. Samuela jako współziemianina (Kleck leży w pow. nowogrodzkim, gdzie i Serwecz) a przynajmniéj słysząc o nim, zawezwał go na swój dwór, by okazałą figurą pułkownika husarskiego podnieść blask orszaku podczas uroczystości weselnych. Książę zaślubiał bowiem ks. Korecką. Wyjechawszy z domu 24 października (1614 r.), trzeciego dnia stanął p. Samuel w Klecku i ruszył z księciem na Kazańgrodek do Korca. Młoda para wyruszyła do swéj siedziby dopiero 30 listopada (9-go był ślub), a stanęła na miejscu 10 grudnia. Maszkiewicz opuścił dwór książęcy 16 grudnia i za odegranie roli figuranta otrzymał 300 złp. prócz 24 złp. strawnego na tydzień, co wyniosło drugie 300 złp. Wynagrodzenie to bardzo świetne, gdyż ówczesne złote były dukatami. Roczna intrata Serwecza nie dochodziła może téj sumy.

Nie mając po co śpieszyć do domu, podróżuje p. Samuel „rzemiennym dyszlem“ według staropolskiego wyrażenia. Najpierwéj odwiedza brata Jana, z którym się widocznie pogodził, nie zastaje go jednak w domu tylko bratową. Po czterech dniach jedzie ztamtąd do p. Jeśmana (w Obrowiu). „Był on mnie rad i żona jego przyjęła mnie grzecznie. Tańczyliśmy za północ; na świtaniu urodziła pani Jeśmanowa syna.“ Przez luty i marzec odbywa Maszkiewicz w dalszym ciągu objazd swéj rodziny i sąsiadów dalszych. W roli swata wiezie Michała Chreptowicza do swéj stryjecznéj siostry pani Owsianowéj, wdowy widocznie, z pomyślnym rezultatem. Konkurent przywozi w darze marcypany. Przez trzy tygodnie siedzi p. Samuel w Namejkach u szwagra swego Łopateckiego. Kobiece towarzystwo stanowi nieodzowną potrzebę jego życia, wyćwiczony w sztuce zdobywania względów niewieścich, korzysta z każdéj okoliczności nie zważając na żadne względy. Dowiedziawszy się o śmierci Filipa Sopočki w Dzięciołowiczach śpieszy tam, by zająć się przygotowaniami pogrzebowemi a jednocześnie pocieszać młodą widocznie wdowę. Sam myje i ubiera nieboszczyka. „Wdowa bardzo dla mnie była grzeczna, a daléj co dyabeł każe“ — powiada ze swą zwykłą zwięzłością, zostawiając szerokie pole domysłom. W tymże roku w podróży spotyka szlachcica jadącego z córką na odpust, zabiera z nimi znajomość, a umizgi do córki prowadzi tak energicznie, że „zamiast odpustu o mało nie była rozpusta. Już to kobiety lgnęły do urodziwego husarza, wdowy szczególnie. Owa pani Charlińska, w któréj domu za życia męża był gościem, owdo-

(1) Był to Jan VIII, Jerzy Radziwiłł, kasztelan trocki, syn Mikołaja Sierotki, urodzony 1588 roku, figura blada bez znaczenia.

wiawszy sądziła, iż łatwo pozyska sobie p. pułkownika, co się do niéj umizgał jeszcze jako prosty towarzysz przed dziesięciu laty. „Proszono mnie przyjechać lecz rozmyślałem się z powodu dalekiéj drogi“ — powiada dyskretnie Maszkiewicz. Wdzięczny jednak za doznane względy, ułatwia jakiś interes wdówce przez swego znajomego, któremu daje 25 złotych strawnego na podróż. Galanterya ta dla kobiet nie wyłączała przecie rubaszności w obyczajach, zwłaszcza przy powszechném przebieraniu miary w piciu. Wino wówczas na Litwie było mało używane; miód i wódka stanowiły szlacheckie napoje. „Wypiliśmy miód, złamaliśmy nogę siostrze (tylko nie ja lecz p. podsędek) i wszyscy razem pojechaliśmy do Białowicz do p. Michalskiego“ — powiada Maszkiewicz o swych odwiedzinach u szwagra.

Podróże, obchody, zebrania publiczne i zabawy wypełniają teraz życie Maszkiewicza. Zamiłowanie w swobodzie kawalerskiéj ostudza pragnienia rodzinnego życia. „Wtenczas łatwo mogłem się ożenić“ — powiada o wyborach marszałka trybunału w Mińsku w 1617 r. „lecz niepoczciwe towarzystwo odciągnęło mnie. I tak czas upłynął przyjazny.“ Życie dworskie, choć narzeka ciągle na „niewdzięczność“ panów i wielkie wydatki, staje się niezbędném dla p. Samuela. Przylgnął on do rodu Radziwiłłów i z małemi przerwami ciągle przebywa na ich dworach. Gospodarstwo w Serweczu cierpi na tém bardzo. Wyjeżdżając do Krakowa dla asystowania ordynatowi Kleckiemu w czasie pobytu w tém mieście, przyjmuje do służby niemca stolarza i ogrodnika i zapłaciwszy im z góry, wyznacza robotę na czas swéj nieobecności. „Niemiec bezemnie uciekł natychmiast a ogrodnik nic prawie nie zrobił“ — powiada o rezultacie swych starań Maszkiewicz. Sam tymczasem wesoło się zabawiał w dalekiéj podróży. Na drogę dostał od księcia trzysta złotych. Wyjeżdża z Serwecza 20 września a dopiero 7 października staje w Krakowie. Ztamtąd wraz z księciem wyjeżdża 17-go a 29 przybywa do Warszawy. Księżna nie zatrzymując się jedzie daléj do Klecka a młody jéj małżonek używa w stolicy swobody kawalerskiéj. Mieszka książę w domu Kosickiego w rynku; Maszkiewicz stoi razem ze swym panem i służy mu za przewodnika i obrońcę w nocnych awanturach. Według swego zwyczaju, napomyka tylko lekko p. Samuel o jednéj takiéj przygodzie. „30 novembra Wereszczaka i Grabowski napadli w nocy na mnie z zasadzki i lekko ranili; za to i im się dostało.“ Nazwiska napastników świadczą, iż nie byli to uliczni rabusie lecz bracia szlachta, litwini zaczepieni lub pokrzywdzeni poprzednio. Że i sam książę miał w tém udział i sprawa cała była nieczystą, świadczy nagła ucieczka ze stolicy. „Na

drugi dzień 1 decembra my z księciem wyjechać musieliśmy z Warszawy.“ Zaledwie stanęli w Klecku (18 grudnia) książę postanawia jechać do Słucka na wesele p. podczaszego (także Radziwiłła). Maszkiewicz wyrywa się tylko na kilka dni, by odwiedzić starą matkę mieszkającą w Jatrach przy najstarszym synu i 27 grudnia wyrusza z księciem w drogę nie na ślub jednakże, lecz w tajemnicy ku Wilnu dla leczenia się z choroby nabytéj w Warszawie przy dworze. Tajemnica jednak nie mogła być utrzymaną z powodu niemiłego wypadku w podróży. O kilka mil od Klecka pod Koreliczami lód na jeziorze serweckim załamał się i kareta książęca wpadła w wodę. „Trzeba było ludzi spędzić kijami, iżby wydobyli księcia z wody“—powiada spokojnie Maszkiewicz, na którym ten zwyczajny sposób otrzymywania pomocy od ludu wiejskiego nie robił żadnego wrażenia.

Posiadłszy zaufanie księcia, załatwia p. Samuel jego sprawy w sądach, występuje jako przedstawiciel na pogrzebie Mikołaja Krysztofa Radziwiłła, wojewody wileńskiego, księcia na Ołyce i Nieświeżu i daje się poznać całéj rodzinie książęcéj, od któréj otrzymuje korzystne propozycye. Książę Podczaszy ze Słucka proponuje mu aż 500 złotych płacy rocznéj ale na oblig; „nie dałem się oszukać“—powiada obeznany ze stanem interesów téj rodziny dworak. Za to przypada mu do gustu propozycya p. Kawalera. Pod tém mianem znany był Zygmunt Radziwiłł, syn Mikołaja Sierotki i Eufemii Wiszniowieckiéj, urodzony w 1591 r. w Nieświeżu. Od 1611 do 1616 r. przebywał on na Malcie i tam pozyskał stopień kawalera. Z tego powodu ojciec ustanowił na Litwie komandoryą zakonu maltańskiego z dóbr Stołowicze i Pociejki, by uzyskać dla syna godność komandora (1).

Młody, bo dwudziestopięcioletni komandor pragnął szukać dalszéj karyery na dworze królewskim, na który utorowała mu wstęp otrzymana na początek godność krajczego królowéj Konstancyi. Maszkiewicz nadawał się wybornie na mentora młodzieńcowi nieobeznanemu z obyczajami i warunkami życia dworu polskiego i stolicy, pobyt w Warszawie uśmiechał mu się więcéj niż w Klecku lub Słucku. Przyjmuje przeto służbę na 400 złp. płacy, odzienie i stół i przybywa wraz z księciem do Warszawy około Zielonych Świątek. Wkrótce potém p. Kawaler, na prośbę swego brata Albrechta, je-

---

(1) Wierny religijno-rycerskim zasadom zaszczepianym w domu i na Malcie, walczy on na czele zwerbowanego przez siebie w Niemczech oddziału z Czechami pod Białą górą, bierze udział w wyprawie Chocimskiéj, dowodzi lisowczykami w służbie cesarza Ferdynanda.

dzie jako swat do panny Plenińskiéj (?), pasierbicy Niemojewskiego, starosty starogrodzkiego, mieszkającéj pod Toruniem. „Wjechaliśmy (do Torunia) z przepyszną ceremonią. Przemieszkawszy tu półtory niedzieli i nic nie wskórawszy, musieliśmy z niczém powrócić, straciwszy na podróż około 14,000.“ Ojczym niechcąc wydać panny za Radziwiłła wyjechał z nią do Gdańska.

Po powrocie do Warszawy stosunki p. Samuela z księciem stały się coraz trudniejszemi, gdyż obie strony czego innego od siebie oczekiwały a co innego znalazły. Maszkiewicz sądził, iż będzie odgrywał rolę opiekuna i przewodnika młodego księcia i by godnie przedstawić się w téj roli, świetny sobie sformował poczet; młody komandor zaś dumny swą godnością, znajomością świata, tytułem, widział w p. Samuelu jedynie dworzanina a co najwyżéj niższego pod każdym względem towarzysza. Zaraz po przybyciu do Warszawy, gdy dla sprawy sądowéj wypadło Maszkiewiczowi jechać na Litwę, „książę uwolnił mnie z tą umową, abym prędko powrócił jego końmi a swoje abym zostawił z czeladzią w Kroszynie; życzył, abym przy nim mieszkał *jak najskromniéj*.“ Lubiąc hulanki i awanturki dobierał sobie p. pułkownik odpowiednią czeladź, co drażniło nawykłego do innych obyczajów i zabaw młodzieńca. Zdybawszy pewnego razu w swoim pokoju pachołka Maszkiewicza, grającego w kości z drugim kompanem, złajał książę pana za zasługę i to było powodem rozerwania umowy.

Jeśli można wierzyć p. Samuelowi, to on pierwszy miał podziękować za służbę. „Uprzykrzyło mi się służyć u księcia; wydatki były wielkie, spraw moc nieskończona a wdzięczności żadnéj.“ Pomimo więc że książę przysłał swego kuchmistrza z oświadczeniem, iż przebacza pachołkowi p. pułkownik „nie nawykłszy słuchać łajania“ nie chciał pozostać. Książę okazał się wspaniałomyślnym, gdyż za półroczną służbę zapłacił 300 złp., dał rysie futro i kawał aksamitu na dołman.

Powróciwszy na Litwę, jeździ Maszkiewicz po zabawach i weselach, chętnie widziany wszędzie jako bywalec i domownik wielkich panów, mający do opowiadania mnóstwo szczegółów o swych wyprawach, podróżach, stosunkach. W dowód uznania i sympatyi obywatelstwo powiatu nowogrodzkiego wybiera go deputatem do sądu kryminalnego w Nowogródku. Radziwiłłowie nie zapominają także o p. pułkowniku i wzywają go, ilekroć który z nich potrzebuje wystąpić publicznie lub urządzić jakiś obchód. Gdy królewicz Władysław wybrawszy się zbyt późno do Moskwy, zamierzył po drodze wstąpić do Nieświeża. Książę Albrecht Radziwiłł przyzywa

p. Samuela i wraz z nim wyjeżdża do Kroszyna naprzeciw dostojnego gościa.

Na przyjęciu w Nieświeżu „książęta mieli z sobą 300 przyjaciół i sług na koniach ozdobnie ubranych.“ Choć siebie naturalnie zaliczał do rzędu „przyjaciół“ nie zaś „sług,“ nie wzdragał się przecie brać pieniędzy i darów za figurowanie w książęcych obchodach. Prawda jednak, że Maszkiewicz utrzymuje w tym celu liczny poczet służby; wiemy z pamiętnika, iż kupił świeżo dla niéj w Wilnie dwa postawy angielskiego sukna po 28 złp. i dwa postawy prostego po 8 złp. Prócz odzienia płaci im zasługi i daje życie. Ciągłe wyjazdy żrządzają wielkie szkody w gospodarstwie. Ilekroć zajrzy na chwilę do Serwecza, zastaje zawsze rozmaite nadużycia i straty, z pobieranych zaś zasług przy hulaszczém usposobieniu nic z pewnością nie zaoszczędził. „Tyle mego co użyję“ — powtarzał sobie zapewne w duszy p. Samuel, zwłaszcza gdy z latami tracił coraz więcéj nadzieję ożenienia się i zamiłowanie do cichego życia. Wierny domowi Radziwiłłów, służy po kolei coraz to nowemu członkowi téj licznéj podówczas rodziny. W jesieni 1619 roku przyjmuje służbę u jednego z najznakomitszych przedstawicieli tego rodu, ks. Krzysztofa, hetmana polnego w. ks. Litewskiego za „500 złp. rocznéj płacy i bławatu na parę szat.“ Dobrze płacąc nie dawał p. hetman próżnować swemu „przyjacielowi.“ To wyprawia go do Dokudowa i Berezy dla zaciągów wojskowych, to bierze z sobą na sejm do Warszawy (1620 r.), ztamtąd wyprawia do Dubna „abym zmiarkował, czy nie można zająć tego miasta, gdzie on miał tajemne stosunki.“ Dubno stanowiło ordynacyą ks. Ostrogskich, która po wygaśnięciu téj rodziny przejść miała na ks. Zasławskich a następnie dopiero na Radziwiłłów. W 1619 r. umiera ostatni ordynat z rodu ks. Ostrogskich, otóż widocznie p. hetman chciał zmienić koléj i przyśpieszyć przejście ordynacyi do swéj rodziny. Maszkiewicz otrzymawszy 500 złp. na drogę, jedzie z dwoma tylko towarzyszami w ścisłéj tajemnicy, gdyż czeladź i powozy zwraca z drogi do domu. „Przyjechaliśmy nie w porę i powróciliśmy z niczém, konnica nas uprzedziła“ — powiada krótko i węzłowato p. Samuel, dotrzymując wiernie tajemnicy swego chlebodawcy.

Na krótkiéj wzmiance o sejmie z 1621 r. (o którym obiecuje szerzéj w przyszłości opowiedzieć) kończy się dyaryusz Maszkiewicza. O dalszych jego losach nie mamy wiadomości; możemy tylko wnioskować z dość znacznéin prawdopodobieństwem, że brał udział w wojnie, jaką wytrwale i o własnych tylko siłach prowadził ks. Krzysztof ze Szwedami od 1621 do 1623 r. Zarówno niełaska w jakiéj p. hetman litewski pozostawał na dworze z powodu roli,

jaką rodzony brat Janusz odgrywał w rokoszu Zebrzydowskiego, jak i skupienie wszystkich sił na walkę z Turkami pod Chocimem wstrzymywały króla od wyprawiania posiłków na Litwę. Mimo to energiczny hetman spełniał wytrwale trudne obowiązki i odnosił nad Szwedami zwycięstwa w licznych choć drobnych walkach. W jednéj z nich prawdopodobnie znalazł zgon dzielny pułkownik i śmiercią na polu walki chlubnie zakończył swój junacki żywot.

VII.

Posiadany przez nas pamiętnik w téj formie, w jakiéj się przedstawia, został skreślony około 1620 r. Drobiazgowe oznaczenie dat i szczegółów podróży pozwala przypuszczać, iż powszechnym obyczajem prowadził p. Samuel dyaryusz swych czynności, w którym krótko i sucho notował daty i fakty jedynie. W późniejszym dopiero czasie, może dla skrócenia nudów zimowego pobytu w Serweczu po opuszczeniu służby u p. Kawalera, a może téż zniewolony siedzieć w domu dla jakiéj dolegliwości nabytéj przy hulankach w stolicy, w każdym razie w melancholijnym nastroju ducha zabrał się nasz husarz do przerabiania i rozszerzania swego dyaryusza w pamiętnik. Zawiedziony w oczekiwaniu świetnéj przyszłości, zniechęcony do ludzi za ich „niewdzięczność," szukał w rozpamiętywaniu swéj przeszłości pociechy, a przytém i zaspokojenia ambitnych pragnień przez zostawienie potomności historyi swego życia. „Sam śpiewam sobie, sam pocieszam siebie"—wypisał na czele swego rękopisu, ale mimo to nie wyrzekał się nadziei, iż praca jego znajdzie czytelników i krytyków. „Komu co się nie zlubi w mojém opowiadaniu, niechaj mnie nie wini"—dodaje jako ostrzeżenie.

Rzecz naturalna, iż przy tém odświeżaniu swych wspomnień, unikał p. Samuel starannie wszystkiego, coby go mogło w niekorzystnym świetle przedstawić. Pasek pisząc w późnéj starości, gadatliwy i szczerszy, rozwodzi się szerzéj o swych prywatnych sprawach, stosunkach, a jednakże milczy także i półsłówkami zbywa, gdy wypadnie mu potrącić o nieczyste sprawki; nic dziwnego że Maszkiewicz, jeszcze w saméj sile wieku, nieskory wcale z natury do zwierzeń, jak dotąd wszyscy litwini, nie chce czytelnika wtajemniczać w swe liczne miłostki z mężatkami lub przygody hulaszczego życia we Lwowie i Warszawie. Pragnie on, by potomność wiedziała, w jakich wyprawach i bitwach brał udział, jakich obchodów, zjazdów, sądów, sejmów był uczestnikiem lub widzem, z jakimi panami i dygnitarzami łączyły go stosunki, jak lubionym i cenionym

był przez towarzyszów służby, jak pożądanym gościem na wszystkich weselach, chrzcinach i zabawach, jak dobrym był synem i bratem bezinteresownym, jak wreszcie „niewdzięcznymi“ byli względem niego ludzie za tyle usług, jakie im wyświadczał. Dotknięty do żywego tą niewdzięcznością szukał pociechy w odwołaniu się do sądu przyszłych pokoleń.

Jakie czynniki złożyły się na wywołanie w duszy p. Samuela, tego pierwszego zapewne w życiu momentu refleksyi, nie dowiemy się nigdy zapewne. Kto wie czy kalwińska atmosfera, panująca na dworze ks. Krzysztofa, nie miała wpływu na pojęcia i uczucia religijne słabo rozwinięte u Maszkiewicza. W całym pamiętniku nie znajdujemy wzmianki o jakichkolwiek praktykach religijnych, uczestniczeniu w obchodach i nabożeństwach, stosunkach z księżmi. Śmieje się z zabobonnéj czci, jaką lud wielko-rosyjski oddaje obrazom świętym, stosuje raz tylko i to w żartobliwy sposób ustęp z Psalmów; jeżeli nie był kalwinem, to nie był téż i gorliwym katolikiem i dla tego łatwo mógł uledz wpływowi pojęć kalwińskich.

Ten moment refleksyi, któremu zawdzięczamy powstanie pamiętnika, przypadł około 1620 r. Opowiadając przygody młodego Wojny, syna Gabryela, podkanclerzego litewskiego, pisze pod 1613 r.: „Wielki z niego kiep teraz. Po śmierci ojcowskiéj z domu ludziom się nie ukaże choć to pierwéj uciekał.“ Otóż Gabryel Wojno, jak świadczy o tém Niesiecki, zmarł w 1615 r. co przekonywa iż ustęp ten pomieszczony w opisie wypadków 1613 r. skreślony był już po 1615 r., że więc pamiętnik nie był pisany współcześnie z wypadkami. Współczesność tę czuć dopiero w notatkach z 1621 r. Mówi tu o pogłoskach i wypadkach jako rzeczach współczesnych. „Nowiny z Turek słychać nie dobre, armują się przeciwko nam, wołają po wszystkiéj ziemi już w głos na lato wojnę do Polski.... Wojnę uchwaliwszy na sejmie w roku przeszłym....“ (1620). Ostatni ustęp pamiętnika wygląda na początek opisu wyprawy chocimskiéj, pisany już po jéj ukończeniu szczęśliwym w październiku 1621 roku. Wojna ta mogła żywo interesować p. Samuela bo brał w niéj udział ks. Zygmunt Radziwiłł, ów kawaler maltański, a inni Radziwiłłowie wyprawili także pod Chocim swe chorągwie. Okoliczność ta umacnia jeszcze więcéj prawdopodobieństwo mego przypuszczenia, iż p. Samuel znalazł wkrótce po spisaniu swego pamiętnika zgon na polu bitwy. Jako wierny sługa Radziwiłłów pośpieszył on niezawodnie jeżeli nie pod Chocim to do Inflant przy boku ks. Krzysztofa. Pozostały rękopis pamiętnika w dwóch różnych redakcyach przechował się do dni naszych; poprawniejszy i zupełniejszy egzemplarz posłużył rosyjskiemu historykowi Ustrjałowowi do

ogłoszenia go w przekładzie rosyjskim w zbiorze p. t. „Skazania sowremiennikow o Dymitrii Samozwańce“ (Petersburg, 1834, tom V); drugi znajdujący się w Szczorsach na Litwie w bogatéj bibliotece hr. Chreptowicza, wydany został przez p. Jana Zakrzewskiego, prof. gimn. wileńskiego w 1838 r. w Wilnie. Pomimo włączenia ze zbioru Ustrjałowa brakujących rękopisowi szczorszowskiemu ustępów, wydanie to obfituje w błędy bardzo rażące nawet. Powtórne ogłoszenie drukiem tych pamiętników na podstawie starannego porównania obu rękopisów byłoby wielce pożądaném, gdyż zaznajomiłoby ogół z pisarzem, który w zakresie literatury pamiętnikowéj XVII w. idzie zaraz po Pasku pod względem naratorskiego uzdolnienia.

Nietylko pokrewieństwo talentu pisarskiego ale uderzające podobieństwo temperamentu, pojęć, obyczajów, postępków nawet i kolei życia poniekąd, zbliża ze sobą te dwie postacie oddzielone przecie półwiekowym przeciągiem czasu, stumilową przestrzenią, wreszcie odrębnością plemiennych warunków i kultury w jakiéj wyrośli — jeden na południowym krańcu piaszczystego Mazowsza, wychowaniec szkół jezuickich i towarzysz z pod komendy Czarnieckiego, wreszcie ziemianin krakowski; drugi syn błotnych lasów litewskich z okolic Nowogródka, uczestnik kondotierskiéj wyprawy do Moskwy, dworzanin Radziwiłłów. Podobieństwo to, które uderzało także Darowskiego, jest wymownym świadectwem szybkości i powodzenia z jakim się odbywał proces swobodnéj asymilacyj różnorodnych pochodzeniem, obyczajami, cywilizacyą, warunkami ekonomicznemi plemion wchodzących w skład Rzeczypospolitéj. Cudzoziemscy historycy traktujący z lekceważeniem dzieje nasze w XVII wieku, gdyby zechcieli rozpatrzéć się w życiu wewnętrzném, przekonaliby się że obok anarchii, obok bezsilności rządu na zewnątrz i na wewnątrz, rażących tak w porównaniu z postępami jakie w życiu politycznem i państwowéj organizacyi osiągnęła zachodnia Europa, wielki i trudny proces narodowéj jedności odbywał się tu inaczéj i lepiéj zarazem niż w innych krajach, żadne bowiem sztuczne nakazy i zakazy nie krępowały swobodnego oddziaływania obyczajowego i umysłowego między jednostkami zespolonemi tylko przez tak luźne węzły organizacyi państwowéj. Pamiętniki Maszkiewicza jakkolwiek pisane wtedy gdy proces polonizacyi ich autora był już ukończonym, gdy przyswoił on sobie zwyczaje, upodobania, pojęcia i język szlachty małopolskiéj, pozwalają nam pochwycić ważniejsze momenta i czynniki tego wewnętrznego procesu.

O wychowaniu szkolném p. Samuela nic nie wiemy, być może iż go wcale nie pobierał i w domu tylko od jakiegoś wędrownego bakałarza nabył elementarnych wiadomości. Potwierdza to ponie-

kąd bardzo słaba znajomość łaciny widoczna w „Pamiętnikach“ gdzie, naśladując makaroniczną mowę szlachty małopolskiéj, przyozdabia swą opowieść rzadko rozsianemi wyrazami i zdaniami łacińskiemi jak: *resolute*, *insperate*, *sic volo* itp. Ażeby zrozumiéć i właściwie użyć ze dwa tuziny co najwyżéj podobnych wyrazów i wyrażeń, nie trzeba było uczęszczać do szkół, wystarczało tu samo przestawanie ze szlachtą małopolską któréj polszczyznę przyjmuje p. Samuel z taką starannością, iż rzadko bardzo wysunie mu się z pod pióra ruski zwrot lub wyraz powszechne wówczas i dziś jeszcze na Litwie. Przebywając często i przez dłuższy czas ze swą chorągwią w koronie, bywając w Krakowie i Warszawie, przestawając z wykształconymi małopolanami (jak Herburt z Dobromila) nabywał stopniowo ogłady umysłowéj, obyczajowéj i wymowy czysto polskiéj. Ta cywilizacya z dalszych źródeł czerpana nie sięgała do głębi téj litewsko-ruskiéj duszy, tłumiła ona wrodzone przywiązanie do rodzinnéj ziemi tak ubogiéj, ciemnéj, dzikiéj w porównaniu z zamożną i ucywilizowaną małopolską, nie budząc w to miejsce innych uczuć dla obszerniejszéj ojczyzny. Nowa cywilizacya była z początku strojem odświętnym, przybieranym od występów między ludźmi, w domu u siebie strój ten okazywał się zbyt krępującym i chętnie wracano do swojskiego kożucha. Życie ówczesne jednakże wciągało najskromniejsze nawet jednostki ze stanu szlacheckiego do udziału w sprawach publicznych, w licznych obchodach, wyborach, sejmikach, sądach, wyprawach wojennych. Rad nie rad człowiek musiał zrzucać domowy kożuszek i występować świątecznie, udowadniać wymową, strojem, giestami i całém zachowaniem się że jest takim dobrym szlachcicem jak każdy małopolanin lub wielkopolanin. Powoli przywykał i do ubioru i do mowy i do obyczaju, które zrastały się z jego temperamentem, pojęciami i uczuciami.

Jednym z silniejszych bodźców, jakie przyśpieszyły i utrwaliły zarówno u p. Samuela jak i u wielu jego współrodaków przebieg tego procesu, była niewątpliwie wyprawa do Moskwy. Zwykle wtedy oceniamy należycie wartość kultury i cywilizacyi, śród któréj żyjemy, gdy się znajdziemy śród odrębnéj a nadewszystko niższéj pod tym względem społeczności. Kraków i Moskwa w początkach 17-go wieku były to dwa światy niemające nic wspólnego między sobą. Wstępując na obcą ziemię pod chorągwią króla polskiego, musiał p. Samuel i jego współziemianie czuć się i przedstawiać polakami reprezentantami cywilizacyi i kultury, którą mogli się poszczycić przed wschodnimi sąsiadami i która stanowiła dla nich najważniejsze znamię odrębności dwóch narodów. Religia i język nie wielkie miały wtedy znaczenie, jako cecha wyróżniająca, dla litwinów i ru-

sinów nawykłych do ruskiéj mowy i wschodniego obrządku—Maszkiewicz z pewnością równie dobrze mówił po rusku jak i po polsku, naturalnie biało-czy téż małoruskim narzeczem—co do pojęć religijnych to odgrywały one w życiu jego małoznaczącą rolę a choć z kilku wzmianek pamiętnika widać że był katolikiem, w niektórych miejscach czuć powiew pojęć protestanckich; żarliwego katolika nie raziłaby tak, zabobonna cześć dla świętych i obrazów jaką uważa za ujemną stronę ludu wielkoruskiego.

Skreślone w pamiętniku obrazy życia bojarów i ludu, wynik spostrzeżeń z dwuletniego niemal pobytu w Moskwie i poblizkich prowincyach—wskazują nam co ówczesnego Litwina przywiązywało do nowéj cywilizacyi i zachęcało do przyswojenia sobie języka i obyczajów a stopniowo i uczuć polskich. Przedewszystkiém występuje tu kultura obyczajowa—życie domowe i towarzyskie, które przy wprowadzeniu zachodnio-europejskich form i zwyczajów, zastosowano zdawna w Polsce do miejscowych warunków klimatu, gleby, temperamentu i stosunków ekonomiczno-społecznych. Zapoznawszy się z przyjemnościami i wygodami urządzenia domów szlacheckich i mieszczańskich w Małopolsce, zasmakowawszy w starannie przyrządzanych potrawach, różnorodnego smaku przyprawach i napojach, poznawszy całą przyjemność wygodnego i wykwintnego ubioru, wprowadzali nowi obywatele chętnie i skwapliwie wszystkie te ulepszenia, do własnego życia domowego. Powoli zaczęły się wznosić na Litwie i Rusi dwory i pałace zarówno swą architekturą jak i urządzeniem kopiowane ze wzorów polskich. Prędzéj jeszcze i łatwiéj aklimatyzowały się wina, potrawy polskie i ubiory polskim krojem sporządzone.

Formy życia towarzyskiego, tańce, zabawy, galanterya dla kobiét nie tak łatwo już dały się przyswoić, gdyż wymagały udziału wyższéj uprawy umysłowéj, na którą trzeba było pracy paru pokoleń—to jednak nie przeszkadzało zaniemeńskim i zabużańskim obywatelom oceniać wartość i wyższość tych form, zwyczajów i życia umysłowego polskiego. Udział w sprawach publicznych i złotą wolność cenili z tego głównie względu, iż zapewniały im tak pożądaną zarówno niedorostkom jak i młodzieńczym społeczeństwom swobodę działania i swawoli, dawały przytém patent na dojrzałość i równały z wyżéj rozwiniętymi obywatelami korony. To téż Maszkiewicza najwięcéj w Moskwie razi to wszystko, co było sprzecznem z pożądanemi nabytkami nowéj cywilizacyi. Zaprzyjaźniwszy się z bojarem Gołowinem „ugaszczał go obiadami po polsku zgotowanemi, ku wielkiemu podziwieniu bojara, który pierwéj nie jadał naszych potraw i niewidywał ich nawet.“ Ten drobny szczegół mie-

ści ciekawą dla historyka wskazówkę. Wyższość kuchni polskiéj, która dla litwinów była jedną z silniejszych pobudek przyswojenia polskiego obyczaju, służy teraz Maszkiewiczowi do zaimponowania Gołowinowi świeżo nabytą kulturą. Wyłączenie kobiét od udziału w życiu towarzyskiém i utrzymywanie ich w oddzielnych zamkniętych pokojach nie podobało się naturalnie p. Samuelowi, który tyle miłych chwil spędził na wesołych rozmowach i zalecankach do panien i mężatek; w Moskwie tymczasem był pozbawiony podobnéj rozrywki. To téż zebrania towarzyskie bez kobiét, muzyki i tańców, mające za jedyną rozrywkę figle i piosenki błaznów, żarty i śpiewki rozpustne wprowadzanych na to umyślnie kobiét ze służby domowéj—nie mogły się podobać, niewybrednemu zresztą w swych upodobaniach, Maszkiewiczowi. „Niech to im będzie na zdrowie! niech zostaną sobie ze swemi rozrywkami nie znając lepszych"—powiada z dumą p. Samuel.

Bliższe zapoznanie się ze sposobami wymiaru sprawiedliwości, z ostrymi karami na pijaków, nie mogło zjednać sympatyi naszego husarza dla urządzeń krępujących swobodę jednostki nawet w wyrobie i używaniu trunków. Rzecz naturalna iż nawykli do zupełnéj swobody towarzysze pancerni „zalecali im (bojarom) wolność aby się z nami spoiwszy tejże nabyli" argumentacya nie musiała być przekonywującą, gdyż odpowiadano im: „wasza wolność wam dobra, nasza niewola nam; wolność wasza swawolą jest... możniejszy chudszego gnębi" itp. Zachowywanie się nadewszystko obrońców téj złotéj wolności w czasie pobytu w Moskwie nie przemawiało wcale na jéj korzyść. Sam Maszkiewicz z uczciwą bezstronnością wspomina o nadużyciach i czynach swawoli, które, pomimo surowéj w kilku razach represyi władzy wojskowéj, nie mogły zjednać serc ludności dla sprawy popieranéj przez hufce polskie.

Brak wyższéj oświaty śród bojarów nie zwróciłby uwagi Maszkiewicza, gdyby nie posłyszana anegdota o skonfiskowaniu i zniszczeniu z rozkazu rządu transportu kalendarzy, przywiezionych przez kupca polskiego a uznanych za niebezpieczny towar. Naczytawszy się, w czasie rokoszu Zebrzydowskiego zwłaszcza, pisemek zjadliwie i bez ogródek szkalujących króla i roztrząsających jego postępowanie, znając może niejedną z licznych broszur polemicznych w sprawach religijnych, śmieje się naturalnie p. Samuel z rozporządzeń tamujących ze względów politycznych najskromniejsze objawy życia umysłowego tak, iż chcący się uczyć łaciny i obcych języków osłaniać musieli swe studya największą tajemnicą, a ów bojar Gołowin przechowywał zakazany kalendarz jako wielką osobliwość.

Sam przecie Maszkiewicz nie żywi żadnych umysłowych upodobań i pod tym względem stoi niżéj od Paska, który nie zaniedbuje uzdolnień oratorskich i rymotwórczych, których nabył w szkole, i szuka nawet sławy ze swych publicznych przemówień i krążących w odpisach wierszy. Choć nie ustępuje Paskowi odwagą na placu boju; choć zdobywa sobie wyższe stanowisko w hierarchii wojskowéj, a urodzeniem, mieniem, stosunkami również wznosi się po nad skromną fortuną i ubogim rodem p. Jana Chryzostoma: mimo to, nie nawykłszy w szkołach i w życiu do publicznego przemawiania, nie ma p. Samuel ani odwagi ani łatwości mówczéj a wreszcie nieodzownego wówczas zasobu formuł, cytacyj, sentencyj.

Przykry ten niedostatek usuwa go na drugi plan przy wystąpieniach publicznych i zniewala do odgrywania roli niemego figuranta. Gdy chudy-pachołek Pasek, potęgą swéj płynnéj dosadnéj pełnéj werwy i humoru wymowy, toruje sobie drogę do samego króla, rozbraja przeciwników, jedna względy wodzów i magnatów, miłość braci szlachty i wreszcie sympatye późnych pokoleń; to okazały i dobrze się mający pułkownik husarski, mimo swéj waleczności, sprytu, układności i szerokich stosunków, nie zdobył sobie ani za życia stanowiska odpowiedniego swym uzdolnieniom ani téż u czytelników pamiętnika uznania i zajęcia, jakie budzić winien bogatą treścią i żywą, dosadną formą opowieści. Nieśmiały w publicznych zgromadzeniach odzyskiwał p. Samuel łatwość słowa w poufnéj dopiéro gawędzie przy kielichu w nielicznêm gronie towarzyszów. W scenach wojennych, obrazach i spostrzeżeniach z pobytu w Moskwie, lub hulaszczego życia w czasie związku wojskowego czuć wygładzenie i potoczystość, jaką wyrobił sobie wielokrotnêm powtarzaniem tych ustępów. Nie pozyskał on przecie swemi pamiętnikami ani części téj popularności jaką cieszy się Pasek, gdyż zbywa mu na humorze, który jak śnieżna piana na puharze napoju pociąga nas ku opowieściom p. Jana Chryzostoma. Humor to produkt fermentacyi duchowéj, która w należytych odbyta warunkach powinna była spłynąć potokiem świadoméj siebie literatury, lecz nie znalazłszy tych warunków wyszumiała w pianie wesołości i panegiryczno-dewocyjnych wytworów, pozostawiając stosunkowo mało prawdziwego napoju. Gdy u małopolskich i wielkopolskich pisarzów XVI i XVII wieku pianka humoru łączy się z goryczką zdrowéj satyry, to u Paska występuje tylko sama piana odbijając w swych bańkach bez wyboru i planu postacie, obrazy i szczegóły życia współczesnego.

Pod względem moralnym za to stoi Maszkiewicz na jednym poziomie z Paskiem. I mazur przy swéj dość żarliwéj dewocyi i litwin

przy swym indyferentyzmie religijnym, okazują jednakowy stopień moralnéj nieczułości w stosunkach społecznych i sprawach publicznych. Dobro ogółu, prawa innych jednostek nie mają dla nich znaczenia, gdy stoją w kolizyi z ich interesami i dążeniami.

Obaj służą w chorągwiach królewskich, lecz bez wahania się Maszkiewicz przeszedłby do obozu Zebrzydowskiego a Pasek stanął pod sztandarem Lubomirskiego, gdyby spodziewali się tam większych korzyści materyalnych. To jedynie łagodzi ich dwuznaczne i chwiejne zachowanie się, że obaj nie rozumieją i nie zdolni zrozumiéć istoty i doniosłości walki toczącéj się między królami z domu Wazów a opozycyą szlachecką, nie mającą jasno sformułowanego programu i ogólnéj doniosłości celów. Obaj również należą do związków wojskowych, ale Maszkiewicz gdyby nie był pułkownikiem i deputatem od wojska na sejm, postąpiłby tak samo jak Pasek i sprzedał drogo swe usługi królowi. Nie kryje on się z tém, że dał się pozyskać dla sprawy króla i rządu świetnemi obietnicami, jakie mu czynił Lew Sapieha. Jak Pasek wyzyskuje stanowisko „przystawa“ przy posłach Carskich dla zapełnienia własnéj kieszeni, tak Maszkiewicz wybierając opłaty nałożone przez konfederacyą na utrzymanie wojska, „skubie“ bez miłosierdzia bogate folwarki mieszczan lwowskich i z władzami miejskiemi postępuje sobie równie arbitralnie i brutalnie jak p. Jan w Nowogródku. Przy podobnéj chciwości na pieniądze Maszkiewicz nie umie jednak utrzymać grosza; dla dogodzenia swéj ambicyi i hulaszczym upodobaniom rozprasza szybko to co zebrał, Pasek zaś poprzestaje na zadowoleniu swéj próżności samochwalstwem, a hulaszcze upodobania stara się zaspokajać kosztem innych uważając, że humor nieporównany, zasoby facecyi i opowieści, jakie z sobą przynosił, opłacały dostatecznie wino przez towarzyszów stawione. Obaj przeceniają swe zasługi i wyrzekają na niewdzięczność króla i społeczeństwa nie ziszczających ich ambitnych marzeń, obaj złorzeczą panom a cisną się do nich skwapliwie. Pasek gdyby się nie ożenił, byłby z pewnością został tak jak Maszkiewicz dworakiem jakiego magnata.

Starałem się szerzéj nieco uwydatnić uderzające powinowactwo wewnętrzne Maszkiewicza z Paskiem, by poprzéć postawione na początku niniejszéj pracy twierdzenie, iż Maszkiewicz może być uważany za typ husarza, że jednoczy on w swéj postaci zalety i wady charakterystyczne tego polskiego rycerstwa.

Porównanie uwydatnionych w tym zarysie szczegółów z idealnemi rysami jakie mimowolnie prawie wyobraźnia nasuwa nam, gdy tylko zwrócimy się myślą ku ubiegłym wiekom przekonywa, jak dalekiém jest rzeczywiste życie przeszłości od obrazu stanowiącego su-

mę kolejnych załamań pierwotnych promieni tego życia w pryzmatach uczuć i sądów wszystkich następnych pokoleń.

Załamywanie to powtarza się zawsze i wszędzie, w różnym stopniu jedynie gdyż ściśle się wiąże z jedném uporczywie czepiającém się umysłu ludzkiego złudzeniem, jakiém jest przekonanie o moralnéj przewadze przeszłości nad chwilą obecną. Rozkwit nauki i literatury nowożytnéj zwyciężył stanowczo utrzymujące się przez wiele wieków przeświadczenie o niedoścignionéj doskonałości umysłowéj ludów starożytnych. Dziś zarówno uczeni jak literaci i artyści przestali upatrywać w Grekach i Rzymianach swych nieomylnych mistrzów. Ten kult, religijny niemal, którego przedmiotem była przez długi czas starożytność klasyczna, opierał się jednak na istotnéj wyższości nauki i sztuki grecko-rzymskiéj nad ubogiemi zasobami budzących się do życia umysłowego ludów średniowiecznéj Europy. Inaczéj rzecz się ma z przekonaniami o moralnéj wyższości przeszłych pokoleń narodu nad współczesnemi. Jestto złudzenie wspólne wszystkim wiekom i ludom, złudzenie popierane powagą opinii starców i zapałem zacnych a wrażliwych dusz, oburzonych widokiem złego w otaczającym ich świecie. Wielka odległość czasowa zbliża i zlewa z sobą minione stulecia w jednę niemal epokę i skupia wielkich ludzi całéj przeszłości w jeden wspaniały zastęp, wobec którego obecna chwila wydawać się musi tym uboższą, im trudniéj w zamęcie życia pochwycić i uwydatnić postacie przysłonięte kurzawą walki i oplątane siecią krępujących je warunków i stosunków.

Spoglądając w przeszłość nie dostrzegamy w dalekich jéj widnokręgach przebytych walk i przewrotów, widzimy tylko gładką, spokojną powierzchnią ponad którą unoszą się cienie wielkich dusz i sterczą pomniki wielkich wypadków. Nie dolatują nas stamtąd ni jęki cierpiących, ni skargi pokrzywdzonych, ni okrzyki zemsty lub tryumfu. Znużeni zgiełkiem chwili obecnéj, oburzeni jéj zbrodniami i niesprawiedliwością; rozkoszujemy się podniosłą ciszą przeszłości, tęsknimy za tym zastępem wielkich mężów imponujących nam energią i powagą, cnotą i mądrością. To złudzenie moralnego wzroku, jak niegdyś dało początek podaniom o złotym wieku, tak utrzymuje dotąd w umysłach przeświadczenie o moralnéj niższości obecnéj chwili w stosunku do przeszłości.

Może i powinna być przeszłość mistrzynią teraźniejszości ale nie jako przedmiot czci, nie jako doskonalsza moralnie epoka, lecz tylko jako doświadczalna lekcya życia, materyał analizy, muzeum szaleństw i bohaterstw, zboczeń i szczęśliwych pomysłów naszych poprzedników. Spadek odebrany po przeszłości obowiązuje nas

tylko do wdzięcznéj pamięci dla nielicznego grona jednostek które żyły i działały z myślą o dobru przyszłych pokoleń. Stopień szacunku jaki winniśmy dla ubiegłych wieków opierać się musi na rezultatach ścisłéj analizy życia każdéj epoki; uwydatnieniu i ocenie rezultatów jéj pracy i moralnéj wartości przewodniczących w niéj jednostek.

Blask idealny w jakim się nam przedstawiają rycerskie postacie naszéj przeszłości ma swe źródło w naszych uczuciach dla téj przeszłości. Ludzie którym w życiu nie przyświecała żadna wyższa idea nie mogli być idealnymi; piękno tych postaci polega na czysto fizycznych zaletach: wzroście, postawie, zręczności, sile i męstwie płynącemi z gorącéj krwi i pewności własnéj ręki nie zaś z duchowéj energii. Nie wymagajmy od przeszłości tego czego wydać nie mogła, szanujmy taką jaką była a ziszczenie naszych ideałów zostawmy przyszłości.

Bronisław Chlebowski.

SIŁY PRODUKCYJNE

WIELKICH I MAŁYCH GOSPODARSTW.

Kiedy społeczeństwo pod wpływem nienormalnych stosunków wewnętrznych, skomplikowanych i wykolejonych naciskiem zewnętrznym, odbywa metamorfozę chociażby częściową w społecznym i ekonomicznym względzie, popada ono niezawodnie w pewien stan gorączkowy, który jego organizm osłabia i wycieńcza. Przy takiém przeobrażeniu dawne główne czynniki częściowo ustępują miejsca nowym, dopóki wszystko się nie ułoży do nowéj właściwéj równowagi, co musi koniecznie nastąpić jeśli chory organizm ma jeszcze w sobie dostateczne siły żywotne. Społeczność, która historycznie wyrobiła w sobie pewne składowe pierwiastki, nie może dobrowolnie decydować się na amputowanie któregokolwiek z nich bez narażenia się na wielkie niebezpieczeństwo. Może więc iść co najwyżéj o przesunięcie punktu ciężkości i zdobycie nowéj odpowiedniejszéj do sił życiowych równowagi. Żadne *pia desideria* w tę lub ową stronę skierowane nic tu nie pomogą, — nowe warunki muszą się ułożyć drogą naturalnego rozwoju sił organicznych społeczeństwa.

Do podobnego rodzaju zjawisk należy bezwątpienia pojawiająca się w obecnym czasie, sporadycznie jeszcze, ale już dosyć często, parcelacya większych posiadłości ziemskich. Jest-to bezwątpienia naturalny proces drobienia się własności ziemskiéj wobec dzisiejszego jéj zgrupowania nie zupełnie stosownego do sił produkcyjnych odnośnych właścicieli. Przemawiać za procesem naturalnym lub przeciwko niemu byłoby próżném usiłowaniem; zjawiska z przyczyn wyższych pochodzące nie dają się fantazyjnie rozszerzać ani téż zacieśniać do ostateczności, można tylko i należy badać je przedmiotowo i dochodzić skutków jakie ztąd spadną na

społeczeństwo. Pomimo téj prawdy—zapewne w braku innego politecznego pokarmu—pojawiają się u nas stronnictwa polityko-ekonomiczne, które wojują za lub przeciw parcelacyi. Jedne—niby echa głosów dochodzących od strony wschodniéj—radeby widziéć kraj posiekany jak najprędzéj na same drobne tylko gospodarstwa, z wyłączeniem nawet możności dojścia do większych kmiecych posiadłości, nie chcą bowiem widziéć chłopów arystokratów, drugie chciałyby widzieć inteligencyą wiejską czyli właściwie właścicieli większych w posiadaniu wszystkich i to nietkniętych dotychczasowych środków ich wpływu i znaczenia.

Spór ten dotąd stoi wyłącznie na gruncie teoretycznym, spisywane przy biurku argumenta, rzadko bardzo opierają się na obserwacyi żywych faktów. Znający rzecz gruntowniéj wieśniacy nie zabierają w téj materyi głosu, z prowincyi dochodzą jedynie korespondencye do gazet pisane przez amatorów, którzy zwykle lubią rzeczy w jaskrawych przedstawiać kolorach.

Kwestyą zgoła nierozstrzygniętą, jak się obie strony przyznają, jest stosunek siły produkcyjnéj wielkich i małych gospodarstw. Pomimo to jednak stronnicy wielkiéj własności, na podstawie paru bardzo ograniczonych a zupełnie wątpliwéj wartości statystycznych danych, stanowczo są skłonni do twierdzenia o bardzo znacznéj przewadze produkcyjnéj własności wielkich, tembardziéj że i abstrakcyjne teoretyczne wywody silnie ich w tém mniemaniu utwierdzają.

Tę właśnie kwestyą wzięliśmy za główne zadanie niniejszéj pracy; postanowiwszy sprowadzić ją na drogę przedmiotowego i źródłowego badania. Nie mamy pretensyi uważać wypadków naszego badania za ostateczne rozstrzygnienie kwestyi, — sądzimy wszakże, że mogą one posłużyć za pewną podstawę do rachunku prawdopodobieństwa, a pewniejszą niezawodnie od cyfr arcy wątpliwych urzędowéj statystyki rolnéj.

Badanie to jeszcze może będzie miało wartość względną innego rodzaju, jeżeli dla ludzi sumiennych i dobréj woli, a dbałych o ekonomiczno-społeczne stosunki krajowe, stanie się pobudką do dalszych studyów porównawczych i zbierania faktów w różnych okolicach kraju, czego nie mogąc żadną miarą dokonać na własną rękę, byliśmy zmuszeni zamknąć się w granicach jednego powiatu i ograniczyć się do niewielkiéj liczby przykładów, zważywszy na trudności jakie się spotykają przy zbadaniu prawdziwéj sytuacyi tak wielkich jak i małych gospodarstw.

Jakkolwiek głównym obecnie zadaniem naszém jest kwestya sił produkcyjnych obu typów gospodarstw wielkich i małych, nie możemy wszakże pozostawić bez krytycznego rozbioru poglądów

i argumentów wypowiadanych przez stronników i obrońców téj lub owéj formy własności ziemskiéj, bez tego bowiem kwestya zajmująca nas nie miałaby jasno wytkniętego celu.

I.

Stronnicy bezwarunkowego rozdrobnienia własności ziemskiéj nie podają właściwie żadnych prawie argumentów czerpanych z obserwacyi prawdziwego stanu życia rolniczego u nas. Przedstawiają oni raczéj dowody czysto teoretyczne, zapożyczone u niektórych ekonomistów, po większéj zaś części sympatye do pewnych teoretycznych kierunków i doktryn społecznych.

„Przyjmując—jak się wyrażają—ostateczny ideał, który podaje nauka najnowsza“ (1), mianowicie system kooperacyjny, czyli mówiąc jaśniéj ustrój socyalistyczny w rolnictwie, słusznie mniemają, że doktryna kollektywistów, która w aglomeracyi kapitałów i własności widzi przejście do nowego systemu, w naszych stosunkach agrarnych nie daje się stosować; rzeczywiście bowiem własność ziemska w naszym kraju nie ku skupieniu lecz raczéj ku rozdrobnieniu dąży; sądzą więc że przejście do *nowego systemu uprawy roli*, lub reforma stosunku kapitału do pracy w rolnictwie, może być tylko aktem świadomym ze strony drobnych gospodarzy. Wobec takich widoków nie życzą sobie rozszerzenia obszaru własności chłopów i bez tego już lepiéj uposażonych, gdyż rezultat ten nie usunąłby złych stron systemu pracy najemnéj i na podział bogactw narodowych wpłynąłby tylko bardzo nieznacznie; pragną więc ażeby wzrost własności rolnéj ludowéj odbywał się równolegle z powiększeniem ilości niezależnych gospodarstw włościańskich.

Bezpośrednia jednak obserwacya stosunków włościańskich w naszym kraju prowadzi do wniosków przeciwnych powyższym życzeniom.

Usuwając na chwilę wzgląd na wzrastające przez parcelacyą uposażenie włościan w ziemię, sama dotychczasowa ich tabelowa własność, przy zupełnie indywidualnym jéj ustroju, musi w drodze naturalnéj ulegać przy przechodzeniu z rąk do rąk rozmaitym przeobrażeniom. Otóż, gdy z jednéj strony rodziny licznem obdarzone potomstwem dzielą osady, o ile można prawnie, o ile zaś prawo staje na przeszkodzie chociaż nieprawnie a jednak faktycznie, zkąd powstaje rozdrobnienie własności; z drugiéj strony bogatsi i zamo-

(1) „Przegląd Tygodniowy“ b. r. N. 5: *Mała własność rolna.*

żniejsi w wielu razach skupiają w swym ręku posiadanie kilku nieraz osad, o ile takowe idą na wyprzedaż, wskutek zubożenia niektórych właścicieli lub wskutek niemożliwości familijnego podziału.

Zapewne, gdy od czasu uwłaszczenia włościan upłynęło zaledwo lat niespełna 20, fakty te nie mogą być jeszcze bardzo zagęszczone, spotykają się jednak nie rzadkie przykłady takiego skupiania. Znamy włościanina, który dostawszy od ojca uposażenie, kupił najprzód osadę 3-morgową w gruntach dobrych, następnie za życia tegoż ojca doszedł już do posiadania jednéj 20-morgowéj i 2 trzymorgowych osad. Inny znowu tylko co się z bratem 18 morgami na połowę podzielił, zaraz potém w tejże wsi 9 morgów dokupił. Jest to powolne rozwijanie się faktu, który już się dokonał w innych ościennych z nami a dawno uwłaszczonych prowincyach, jak np. w Prusach wschodnich, gdzie powstały we wsiach, szczególniéj rozkolonizowanych, obszerne włościańskie ślicznie zabudowane kilku włókowe folwarki, a w ich sąsiedztwie drobne nieraz bardzo z podziałów powstałe osady.

Otóż parcelacya, gdzie się ona pojawia, powstrzymuje może skup i zlewanie się oddzielnych tabelowych osad, nie tamuje jednak rozszerzania się gruntowego uposażenia i bez tego już zamożniejszych włościan. Ci właśnie są kandydatami najchętniejszymi do kupowania cząstek z folwarków parcelowanych. Bezrolni, którzy uzbierali przy pomocy jakiego kunsztu lub wiejskiego przemysłu pewien zapas pieniędzy wystarczający na niewielkie jedynie gospodarstwo, kupują nachętniéj osady z budowlami już zagospodarowane, bo trudnoby im było stawić budynki nowe na ziemi od folwarcznych pól oddzielonéj. Wskutek podobnéj konkurencyi, mniejsze osady np. 3-morgowe, są daleko stosunkowo droższe od większych, np. 20-morgowych, w jednejże z niemi wsi położonych.

Obok silnéj dążności do rozszerzenia osobistego posiadania, włościanin nasz dalekim jest od wszelkiego popędu do stowarzyszeń, właściwego ludom wschodnim, jak np. współki robotników rosyjskich (tak zwana Artel), które zarobek przy pewnym zakładzie np. łaźni lub komorze celnéj zwykle nierównomierny, po złożeniu do ogólnéj kasy dzielą na równe części. Nie znanym jest naszym chłopom nawet niższy stopień owéj wspólności, który ma na celu wyłączenie jedynie szkodliwéj dla interesowanych konkurencyi, jaki jest praktykowanym przez wożących ciężary w Petersburgu, gdy na stacyi dla fur przeznaczonéj jeden wybrany przeprowadza umowę z interesantem, losowanie zaś rozstrzyga kto ma z umowy korzystać. Nasz rolnik jest pedantyczny w rozgraniczeniu swojéj własności od cudzéj, i sam tylko na własne siły rachuje. Nie lubi

on we wsi żadnych wspólnych przedsiębierstw, bo albo je uważa za ścieśnienie własnéj indywidualności, albo widzi w tém niebezpieczeństwo roztrwonienia składkowego grosza, bo nie ufa własnym współbraciom, którym nadaje miano urzędników.

Nie możemy pochwalić bynajmniéj tego anty-społecznego wstrętu; spodziewać się należy, że przy dłuższéj praktyce interesów gromadzkich i większem rozszerzeniu umiejętności pisma, wstręt ten zostanie przezwyciężonym; tymczasem jednak daje się on po części tłómaczyć wobec rzeczywistych malwersacyj, jakie się spotykają nawet w instytucyach zostających pod zarządem osób wyżéj w ukształceniu od włościan posuniętych.

Nie zapuszczając się w perspektywy dalekiéj przyszłości, któréj nikt nie jest w stanie dokładnie przewidzieć, możemy z powyższego dojść do wniosku, że przynajmniéj w zakresie możliwego przewidywania, parcelacya nie doprowadzi do cząstkowego choćby wcielenia „ostatecznego ideału w ustroju społecznym, który nam podaje nauka najnowsza.“

Dążący do tego ideału, który ma się jakoby urzeczywistnić za pomocą parcelacyi, oprócz tych przyszłych korzyści, upatrują również korzyści bezpośrednie z możliwego zwiększenia produkcyi przy drobniejszych podziałach własności ziemskiéj. Jakkolwiek nie są przekonani o większéj zdolności produkcyjnéj naszych gospodarstw włościańskich, posługują się wszakże przykładami innych państw europejskich, gdzie ze znacznym rozwojem własności drobnéj suma ogólnéj produkcyi wzrasta ciągle. Jakkolwiek nie mamy zamiaru wyszukiwać dowodów przeciwnych temu twierdzeniu, musimy wszakże zwrócić uwagę, że z logicznego stanowiska dowód ten nie jest stanowczym. Gdy rozdrobienie własności prawie zawsze idzie w parze ze wzrostem ludności i ogólnéj kultury ekonomicznéj, zwiększona przeto produkcya może być skutkiem wyższéj i bardziéj intensywnéj kultury jak wielkich i tak małych gospodarstw. Zwiększanie więc produkcyi jest tu niezaprzeczenie faktem równoległym z większą podzielnością ziemi, lecz niekoniecznie związanym z tą podzielnością stosunkiem przyczynowym; gdzie przy stosownych klimatycznych warunkach i dostatecznéj ludności, produkcya zajmuje się wytwarzaniem kosztowniejszych przedmiotów, jak np. wina, tytoniu, jedwabiu a choćby lnu, tam oczywiście ogólna jéj wartość musi być wyższa, a obszary jednostek gospodarczych muszą być mniejsze. Anglia np. tych resursów nie posiada, pewne zmniejszanie w tym kraju produkcyi zbożowéj, nie jest skutkiem wielkich własności lecz raczéj skutkiem amerykańskiéj konkurencyi zbożowéj, która zmusza rolników angielskich brać się do produkcyi pa-

stewnéj czyli mięsnéj. Rozmiar własności wielkiéj w Anglii bynajmniéj nie wpływa na rozmiar jednostek gospodarskich, skoro przeciętna wielkość dzierżaw (Fermy) wynosi 120—130 morgów polskich, co daje normę gospodarstw średnich, najbardziéj może sprzyjających produkcyi zbożowo-mięsnéj; są tam wszakże i fermy małe zawierające po 30 akrów czyli po 22 morgi polskie.

Statystyka wtedy jedynie mogłaby służyć za materyał do rozwiązania kwestyi produkcyjności większych i mniejszych warsztatów rolnych, jeśliby dane jéj były prawdziwe, a produkcyą tych warsztatów podawała oddzielnie. Dotąd jednak ta metoda do zbieranych wiadomości statystycznych nie została wprowadzoną, jednę tylko próbę w tym kierunku spotykamy w naszym kraju, w wykazach rolnych za rok 1871, z których się pokazuje mała różnica urodzajności na korzyść większych gospodarstw (1). Cyfry te jednak nie mają w naszych oczach większego znaczenia od wszelkich innych wykazów przez urzędy gminne dostarczanych.

Roszer (2) w ekonomii rolnictwa podaje wiadomość, że „*bardzo sławną jest*" tablica Raua w jego „Ansichten der Volkswirthschaft," w któréj zestawione są obok siebie: *A*) majętność pod Norymbergą 8 morg.; *B*) osada kolonisty w żuławach nad Odrą 18 mor.; *C*) dobra w Saksonii 108 morg. i *D*) dobra na żuławach Odrzańskich 1100 morg.; sądzi jednak i słusznie, że tylko *B* i *D* o ile należą do jednéj i téj saméj okolicy, mogą być pomiędzy sobą porównywane. Z tego się okazuje, że podobne badania, bezwątpienia ciekawe, nigdzie jeszcze obszerniéj i odpowiednio do celu nie były przeprowadzone, i że byłoby pożyteczném systematyczny ich szereg otworzyć, gdyż tylko większa liczba zestawień może nas doprowadzić do rezultatów pewniejszych.

II.

Gdy większa część tendencyi obozu, o którym mówiliśmy, opiera się wyłącznie prawie na sympatyach i odpowiednich do tego aspiracyach, przeciwnicy parcelacyi uzbrajają się w cały szereg argumentów tak teoretycznéj jak i praktycznéj natury. Jakkolwiek argumenty te i dowodzenia, wśród których dają się jeszcze wyróżnić moralne i ekonomiczne, nie są bez zaprzeczenia pozbawione pewnéj chociaż względnéj prawdy, trzeba jednak przyznać, że w wielu razach nacechowane są bezwzględnym optymizmem lub

(1) Załęski, Statystyka Tabl. N. 40.

(2) Ekonomia. T. II, str. 138.

pesymizmem, a chcąc je rzeczywiście w rachubę przyjmować, należy je sprowadzić do ich istotnéj wartości.

Jednym z najcenniejszych argumentów moralnego porządku, byłby wpływ dobroczynny klas wykształconych na mało jeszcze oświeconego wieśniaka, jeśliby wpływ ten był tak rzeczywiście powszechnym jakby tego życzyć należało. Nie trzeba jednak podnosić do apoteozy stanowiska niewyzyskanego, lecz wskazywać raczéj jak je wyzyskać należy.

Wprawdzie nie wiele mamy zamożnych właścicieli, którzy przepędzając przynajmniéj pewien czas na wsi, przykładaliby się do rozszerzenia chwały Bożéj, moralności i oświaty, zawiązując w ten sposób serdeczny między dworem i gromadą stosunek, wszystkie jednak te dwory, a nawet i te, które przy zamożności i niezależnym a kłopotliwym bycie, chociaż nie idą lecz mogą pójść jeszcze za przykładem przodujących, nie dadzą niezawodnie materyału do parcelacyi. Tacy będą kontentować się małym procentem jaki posiadanie własności ziemskiéj zapewnia, niosąc w przydatku przyjemności wysokiéj bardzo wartości natury moralnéj czyli raczéj psychicznéj.

Zdolność przyswajania postępu naukowego w rolnictwie, zaprowadzenie kosztownych melyoracyj rolniczych, oraz udoskonalonych machin i narzędzi—przyznają zwykle wyłącznie większym gospodarstwom, które swym przykładem mają drobnym sąsiadom drogę do ulepszeń wskazywać. Byłoby to wszystko niezawodną prawdą, jeżeliby istotnie dobra i produkcyjna kultura, jedynie tylko za pomocą melyoracyj silnie nakładowych i kosztownych maszyn i narzędzi dała się osiągać.

Nie zawsze wielkie nakłady i cenne maszyny do prawdziwie korzystnych rezultatów prowadzą. Dobra kultura, przy pomocy starannéj uprawy i odpowiedniéj sterkoryzacyi, da się wybornie osiągnąć, do czego ani kosztownych machin ani szczególnych nie potrzeba nakładów. Niezły pług, radło i brona, przy odpowiedniém gnojeniu dają możność dokonania choćby najwymyślniejszéj uprawy, szczególniéj jeśli się do tego przyłączy szpadel i motyka. Wszystkie tak nazwane udoskonalone maszyny i narzędzia mają za zadanie zastąpić pracę ręki człowieka i takową jedynie przyśpieszyć. Jeżeli maszyny w przemyśle, stojące na miejscu i mające do czynienia z podatnym wobec ich siły materyałem i zawsze równym jednakowym oporem, mogą przewyższać dokładnością robotę ręczną, w rolnictwie téj pretensyi nigdy mieć nie mogą, bo najwyższy rodzaj kultury, a mianowicie ogrodnictwo, redukuje się jedynie do szpadla i grabi.

Maszyny w rolnictwie, po największéj części mające do czynienia nie tylko z oporem najczęściéj nierównomiernym i przypadkowym, ale jeszcze i z przestrzenią oraz z czynnikami fizycznéj i atmosferycznéj natury, prędzéj się niż w każdym innym przemyśle zużywają—a nawet przy nieumiejętném obejściu, i utrzymaniu, nieraz późniéj jako szczątki kosztowne zalegają lamusy dworskie. Najlepsza np. maszyna żniwna, działająca z pewnym nawet przepychem na próbach, w ciągu jednéj krótkiéj żniwnéj kampanii bez reperacyi obejść się nie może, na drugą lub trzecią, z powodu zużycia części i ztąd niedokładnych ruchów, przeciąża inwentarz, po kilku zaś latach mniéj umiejętnych reperacyj zupełnie do użycia staje się niezdatną.

W jedném z lepszych gospodarstw, w którym właściciel jest wielkim stronnikiem i znawcą maszyn rolniczych, utrzymując je w rzadkim i wzorowym porządku, w ciągu przeszłego lata miał tak walne i wyrośnięte żyto że musiał je sprzątać na sierpy i kosy, żniwiarki bowiem takiemu zbożu nie mogły podołać i musiały się do sprzętu jarzyn ograniczyć. Rozpatrując wszelkie maszyny gospodarskie, nie wyłączając młockarni najbardziéj pospolitych, w praktyce i zastosowaniu dojdziemy do przekonania: że one nie tyle są zeletą gospodarstw wielkich ile raczéj złém koniecznéni bez którego większa uprawa w mało ludnym kraju byłaby nie możliwą. Elegancya, ruch i dokładność działania maszyn na wystawach rolniczych, entuzyazmują publiczność, z wyłączeniem może tych nielicznych spektatorów, którzy się przy dłuższéj praktyce już nad podobnemi maszynami biedzili.

Choć nie w zupełności to przynajmniéj w części daje się to stosować i do narzędzi rolniczych. Im bardziéj są one skomplikowane i trudne do użycia, tém kosztowniejsze i cięższe dla inwentarza, a tém samém bardziéj ten ostatni zużywają. Jeśli kto nie posiada umiejętności i nie umie sobie wynaleść czasu do należytego oczyszczenia i spulchnienia roli za pomocą pługa i brony, temu i kosztowne a ciężkie kultywatory oprócz znacznego wydatku mało co więcéj przyczynią. Takie narzędzie, idące z wysiłkiem 4 koni w zachwaszczonéj roli, a zatrzymywane i podnoszone co chwila dla oczyszczenia przez nieszczęśliwego fornala, obudzi chyba uśmiech niedowiarstwa w konserwatywnym chłopie, który swojém lekkiem radłem te same skutki bez wysiłku osięgnie.

Im prostszemi sposobami rolnictwo prowadzone i im mniéj wymaga pieniężnych nakładów,—jeśli jest przy tém w kulturze intensywne, tém większe bez żadnéj wątpliwości zapewnia finansowe re-

zultaty – i tem skuteczniejszy wpływ swym przykładem na sąsiednich drobnych właścicieli wywiera.

Jeszcze z większą ostrożnością odnosić się trzeba do kosztownych melyoracyj, które, nieumiejętnie i niewłaściwie przeprowadzone, jeśli magnatowi jakiemu sprawią tylko kosztowną zabawę, to niebogatego szlachcica przyprawią o ruinę, nie mówiąc już o wypadku jeśli owe melyoracye za pożyczone pieniądze przeprowadza. Nie każda rzecz dająca gdzieindziéj znakomite rezultaty, może u nas być równie skuteczną, jeśli mniéj się np. stosuje do warunków gleby i klimatu.

Jako przykład może nam posłużyć najbardziéj zalecane i chwalone drenowanie; w kraju naszym, gdzie zasiewy szczególniéj wiosenne bardziéj na posuchę niż na wilgoć bywają narażane, (1) są wprawdzie wyjątkowe miejsca w których ta melyoracya byłaby pomocną, ale zważywszy cenę ziemi gorszéj, wielkie jeszcze w kraju przestrzenie nieuprawne i małą stosunkowo ludność rolniczą, takie miejsca właściwiéj by może było z pod uprawy zupełnie wyłączyć, lub je przeznaczyć na inne odpowiednie użytki.

Widzieliśmy folwark w Piotrkowskiém w którym na drugi rok po wydrenowaniu zasiewy robiono w składy, właściciel bowiem zaufany w dreny zasiawszy w pierwszym roku na płaszczyznę miał kompletny nieurodzaj. Rzecz to bardzo naturalna. Grunt gliniasty ścisły i suchy, który od upałów bardzo twardnieje, nie prędko przepuszcza do drenów każdy silniejszy cokolwiek atmosferyczny opad, który, zatrzymany czas jakiś na powierzchni rozmuli glinkę – i osadzi ją w postaci subtelnego szlamu na powierzchni, po ustąpieniu wody szlam zasuszony, zabija świeżo wschodzące lub jeszcze w młodszych stadyach roszczenia zachwycone ziarno. Jedynym tu ratunkiem mogą być chłopskie zagony; które ani chwili na sobie wody nie zatrzymają oddając ją bruzdom, w których chociaż zboże nie mniéj wyginie, na zagonach wszakże pozostanie nietkniętém. To tylko dowodzi że wszelkie udoskonalenia i postępy w rolnictwie mają wartość względną i wtedy tylko przynoszą pożytek jeśli są zastosowane do właściwości miejscowych. W jednéj z ważnych melioracyj, jaką jest osuszanie błotnistych przestrzeni, nietylko małe lecz nawet nieraz i duże gospodarstwa nie mogą sobie poradzić w braku zupełnym w kraju prawodawstwa rolnego, które od nas ani od naszych chęci bynajmniéj nie zależy, jako hamowane z racyi „wyższych“ politycznych względów.

---

(1) Zastrzegamy się przeciwko argumentowi hygroskopii kapilarnéj—która nic nie pomoże skoro i około drenów nie ma żadnéj wilgoci.

Pozostają do rozpatrzenia kwestye: gospodarstwa płodozmiennego, roślin pastewnych i nawozów sztucznych, co wszystko ma być przywilejem i odznaczeniem gospodarstw większych.

Nie można zaprzeczyć że mamy w rozmaitych częściach kraju gospodarstwa większe wzorowo prowadzone, przeważnie wszakże w miejscowościach gdzie gleba z natury bardziéj urodzajna. W glebach jednak mniéj urodzajnych spotykają się takowe już daleko rzadziéj, a w niektórych miejscach nawet tylko do wyjątków mogą być zaliczone.

Ztąd łatwy wniosek że i gospodarstwo płodozmienne w prawdziwém i naukowém znaczeniu nie jest bynamniéj powszechném;— a łatwo temu wierzyć skoro znamy kilka lepszych, nawet mocno intensywnych gospodarstw, które żadnego stałego płodozmianu nie mają i są prowadzone w systemacie zupełnie dowolnym. Większość zatém gospodarstw średniego stanu, pod względem produkcyi albo opiera się na 3 i 4 polowém gospodarstwie z zasiewem w ugorze koniczyn,—albo przedstawia coś pozornie do płodozmianu podobnego; widzieliśmy bowiem wiele folwarków gdzie całe pola, nawet stosunkowo bardzo obszerne, nie zważając na jakość gruntów, bywają podzielone na pewną ilość równych szlaków, które przedstawiają możność jednéj tylko rotacyi, co już zupełnie przy większym obszarze gospodarstwa jest niemożliwém, a przynajmniéj nie racyonalném.

Gospodarstwo płodozmienne tylko wtenczas może być racyonalném jeśli każdy gatunek gruntu ma oddzielną zastosowaną do swojéj natury rotacyą. Oprócz tego, nawet przy jednym rodzaju gleby, w folwarku cokolwiek obszerniejszym dla właściwego ustosunkowania ilości potrzebnych zasiewów rozmaitych gatunków zboża, dla utrzymania ziemi w pewnym stopniu jednostajnéj i stałéj kultury pod względem uprawy i gnojenia, oraz dla zadosyćuczynienia w braku naturalnych paśników potrzebom pastwiskowym, koniecznem jest mieć co najmniéj dwie rotacye—intensywną bezugorową i drugą cokolwiek extensywną (tak zwaną Meklemburską) z obsianém kilkoletniém pastwiskiem.

W braku uwzględnienia téj jedynie racyonalnéj zasady, któréj jeszcze pouczał w swém szacownem dziełku (O rolnictwie) ś. p. Generał Chłapowski, widzimy omówione wyżéj pojedyncze rotacye, uprawiane w pewnéj jakiejś kolei w częściach przyległych do dworu i drogi, w końcach zaś nieraz niedognojone i obsiewane w porządku dowolnym.

Sposób takiego gospodarowania nie osiąga ani intensywności, ani téż korzyści z dobrze urządzonego sztucznego paśnika.

Zastrzegamy się przeciw zarzutom ignorowania racyonalnych gospodarstw; owszem potwierdzamy ich egzystencyą z całém uznaniem i z żalem jedynie, że takie gospodarstwa pozostają w mniejszości. Uprawa roślin pastewnych wprawdzie już stała się w gospodarstwach większych powszechną, niezapewnia wszakże im nieraz tych korzyści jakie może przynosić w gospodarstwach intensywnych.

Użycie kości i nawozów sztucznych mało u nas wogóle rozprzestrzenione; za dowód czego może służyć znaczny od nas wywóz surowych kości oraz wszystkich fosforytów Podolskich zagranicę. Melyoracya ta, w intensywnych gospodarstwach przy zwierzęcym nawozie, zapewniająca znaczne korzyści, przy słabéj kulturze i nieumiejętném użyciu tylko na niepowetowane straty może narazić.

Od czasu przejścia Gazety Rolniczéj pod nową bardziéj ruchliwą redakcyą—jedno tylko spotykamy sprawozdanie o użyciu kostnego nawozu zupełnie ujemnéj natury i w dodatku bardzo nieumiejętnie przedstawione. Ci co używają tego kosztownego produktu, przez źle zrozumianą oszczędność, najczęściéj biorą go za mało w stosunku do użyznić się mającéj przestrzeni i prawie zawsze dla dopełnienia pognojowych zamierzeń, nie zaś jednocześnie z nawozem stajennym, w którym to wypadku jedynie ten znaczny stosunkowo nakład może się opłacić.

III.

Przedstawiwszy poglądy zaczerpnięte z rzeczywistego życia i praktyki gospodarskiéj, modyfikujące cokolwiek bewzględny optymizm co do znaczenia i wpływu większych gospodarstw w kraju, pozostaje nam rozprawić się z rozpowszechnionym bardzo pesymizmem co do wartości i znaczenia gospodarstw drobnych inaczéj włościańskich, pessymizmem, który jest udziałem nietylko bezwzględnych przeciwników parcelacyi—lecz w bardzo znacznym stopniu podzielany jest przez ludzi zupełnie umiarkowanych i chcących traktować rzeczy przedmiotowo.

Skrajniejsi pessymiści twierdzą nawet, że włościanie ciemni i bardziéj dziś zdemoralizowani, nie są zdolni do żadnego moralnego rozwoju ani do ekonomicznego postępu. Twierdzenie to w znacznéj części jest z prawdą w niezgodzie. Nikt, ze znających stosunki wiejskie zblizka, nie może tego powiedzieć żeby na ogół włościanie byli ciemniejsi i gorsi niż za czasów pańszczyzny. Kościół, gmina, sąd

i szkoła przecież ciągły i coraz znaczniejszy wpływ na nich wywierają.

Jeśli w gminie nie spotykają wielu *bezinteresownych* i światłych kierowników, za to w kościele coraz gorliwszych i dbających o ich moralność znajdują pasterzy. W każdym razie znaczne postępy wstrzemięźliwości i chętna ofiarność włościan na odnawianie i upiększanie świątyń—korzystnie o stosunkach parafialnych świadczy. Nareszcie pewnego rodzaju argumentem na korzyść moralnych i cywilizacyjnych dążności stanu włościańskiego może służyć sam fakt istnienia Gazety Świątecznéj, istnienia nietylko już zapewnionego ale dążącego nawet ku rozszerzeniu pierwotnego zakresu.

Najmocniejszy nacisk pessymiści kładą na niski poziom rolnictwa u włościan, na zaślepioną rutynę w uprawie ziemi a skutkiem tego na brak dobrych plonów, do czego szczególniéj ma się przykładać zły podział pól rozdzielonych na mnóstwo kawałków i uprawianych jakoby najczęściéj w trzypolówkę, brak zupełny uprawy roślin pastewnych a ztąd zaniedbany w najwyższym stopniu chów bydła, które nędzny żywot na pastwiskach latem prowadząc, przymiera ostatecznie głodem na suchéj słomie w porze zimowéj. Do tego dodać należy zły stan inwentarza pociągowego, niechlujstwo w podwórzu i niedbałe obchodzenie się z nawozem, którego włościanin jakoby bardzo mało produkuje; ciągła włóczęga po jarmarkach których ma być nadmierna i zupełnie niepotrzebna ilość—a ztąd okazye do strat i pijatyki.

Mając przed oczami obraz tak dosadnie zarysowany, dziwić się zaprawdę trzeba jak ten włościanin ciemny, głupi, pijany, nieumiejący gospodarzyć—płaci najregularniéj podatki, w święto przystraja się do kościoła, niezważając na coraz większą drożyznę materyałów poprawia starannie swoje budynki—i jeszcze w dodatku płaci drogo za kawałki ziemi, która wydawała jakoby wielkie plony—przechodząc zaś do rąk nowonabywcy skazaną jest niby na małą produkcyjność i wyjałowienie.

Ztąd łatwo przyjść do wniosku, że jeśli w powyżéj cytowanych narzekaniach spotka się czasami pewna ilość cząstkowéj prawdy, to wogóle są one najzupełniéj przesadzone i oparte na bardzo powierzchownéj znajomości stosunków ludowych, a podawane albo przez teoretyków nieznających wsi, albo przez amatorów do pisania korespondencyj z prowincyi, którzy najczęściéj stoją w szeregu niezadowolonych, podczas gdy umiejętny pracownik na gospodarstwie większém, któremu wszystko się udaje, bo ma środki dostateczne i umie sobie radzić, najczęściéj milczy choć jest dobrze powiado-

miony—a przenosi zresztą spokojność nad wszelką gazeciarską polemikę.

Ażeby poznać dobrze stan i gospodarstwo włościanina nie dosyć jest oglądać jego osobę przejeżdżając przez wieś, lub również w przelocie ocenić jego gospodarstwo, z widoku pstréj mozaiki różnorodnych zasiewów, w różnym stanie kultury, jaki zwykle pole włościańskie oku widza przedstawia. Dla tego celu potrzeba zapoznać się zblizka z obejściem gospodarskiém małego właściciela—i rozpatrzyć jego działki we wszystkich fazach kultury, bo wtedy tylko można zrozumiéć myśl zasadniczą podobnego gospodarstwa, bez któréj, jak łatwo przypuścić, egzystować one nie może.

Tak zwana szachownica gruntów włościańskich pomiędzy oddzielnemi właścicielami, na którą zwykle utyskują nie włościanie, jest skutkiem naturalnym gromadnego wsi urządzenia.

Był czas u nas w którym kolonizacya była na porządku dziennym, a zajmowała się nią nietylko b. komisya skarbu, która większą część wsi gromadzkich rozkolonizowała—ale i wielu za jéj przykładem właścicieli prywatnych, za czasów jeszcze pańszczyznianych,—a działo się to w epoce kiedy ideałem urządzenia włościan było oczynszowanie. Osada czynszowa, przy naturalném jéj warunku niepodzielności, mogła się w tym kształcie przedstawiać idealnie; wobec jednak własności, któréj naturalnym przymiotem musi być jéj podzielność, ideał ten traci dużo ze swéj treści. Jeśli obok tego zważymy naturalny wstręt włościan osiadłych gromadnie do życia bardziéj odosobnionego, które się musi zdobywać kosztem zupełnéj rumacyi—i dać niektórym w udziale grunta gorsze, pod względem gatunku lub stopnia kultury, ideał ten, jeśliby go ideałem nazwać można, bez grubego przymusu i naruszenia zupełnego praw wolności urzeczywistnić by się nie dał. Ze wszelkiego więc programu podniesienia gospodarstw włościańskich stanowczo musi być wykluczonym.

Przy urządzeniu gromadném, pewnego rodzaju szachownica pomiędzy działkami jest nieunikniona a nawet niebardzo szkodliwą, jeśli nie jest posuniętą za nadto daleko. Najgorszy pod tym względem przykład przedstawiają miasteczka, gdzie grunta oddawna podlegały prawu podziału nieograniczonego, który następnie doprowadził do rzeczywiście minimalnych pod względem szerokości działków. Tém gorzéj się tu rzecz przedstawia im miasteczko jest większe, ludniejsze i znaczniejszy obszar swemi gruntami zajmuje. Zresztą oprócz niedogodności gospodarskiego położenia, same różnorodne zajęcia mało miasteczkowych mieszkańców,—dla których rolnictwo jest zupełnie podrzędném zatrudnieniem, i zapewnia tylko

niejakie dogodności w utrzymaniu krowy i pomoc w wyżywieniu rodziny choćby zagonem kartofli,—odbiera gospodarstwom mieszczańskim prawo służenia za jakibądź przykład przy ocenie stanu i znaczenia u nas mniejszéj własności. Kwestya agrarna w małych miasteczkach nietylko że ma dla kraju w ogóle znaczenie podrzędne, ale żadnym sposobem lepiéj uregulować się nie da, a zupełne jéj ustąpienie wobec komunalnych potrzeb miejskich, może być skutkiem silniejszego w przysłości naszych miast rozwoju.

We wsiach czysto rolniczego charakteru, rzadko się nam zdarzyło spotykać zbyteczne szachownice, w takich szczególnie rozmiarach o jakich mówią niektórzy interesujący się kwestyą melyoracyi gruntów włościańskich, których rozczłonkowanie miejscami na Podlasiu ma jakoby dochodzić aż do 56 kawałków (1). Spotykają się wprawdzie na Polesiu Litewskiém i Wołyńskiém, bardzo rozdrobnione posiadłości włościańskie, skutkiem konfiguracyi gruntów w ogóle rozrzucone po leśnych polanach, w okolicach piaszczystoleśnych, z kawałkami łąk wśród błotnych przestrzeni. Być może że cóś podobnego można spotykać i na Podlasiu, ale to już będzie szachownica z gruntami dworskiemi, na skasowanie któréj mamy przepisy z r. 1875.

Najzwyczajniejszy podział gruntów włościańskich jaki można napotkać przy urządzeniach gromadnych, bez szachownicy z dworem, jest 3 łany w polach ornych—a osobno siedziby i łąki, które z konieczności muszą być odrębne. Ten podziałał na 3 łany pochodzi z dawnych pojęć o potrzebach trzypolowego gospodarstwa, i tylko w dawniejszych urządzeniach spotykać się daje—a ztąd zapewno pochodzi jakaś dziwna tradycya o rzekomém trzypolowém gospodarstwie włościańskiém, błąkająca się nietylko w zwyczajnych lecz nawet w niektórych rolniczych pismach (2). Jak się poniżéj przekonamy dowodnie, pojęcie to mogło wyrodzić się jedynie z zupełnéj nieznajomości stosunków gospodarstwa włościańskiego w kraju, chociaż nawet i w takiém położeniu kwestyi, łatwo było przyjść do wniosku, że trzymanie się zasad trzypolówki wobec przeciętnego w kraju 12 morgowego uposażenia włościan—byłoby niedorzecznością, którąby utrudniła nawet wyżywienie się najliczniejszéj klasy narodu.

Gospodarstwo trzypolowe, które jako takie nie jest wstanie zapewnić dostatecznego letniego wyżywienia dla inwentarza, wobec

---

(1) Kronikarz Ateneum za mies. Luty 38 r. cytuje artykuł gaz. Nowiny gdzie przytoczony podobny przykład.

(2) Gaz. Roln. Parcelacya jako program społeczny.

odrębnych pastwisk po wsiach rządowych i uregulowanych prywatnych, lub wobec służebności w dobrach nieuregulowanych, byłoby nonsensem dla gospodarstw drobnych, kiedy system ten jest niemożliwością nawet dla dóbr obszerniejszych, gdzie jednak może być cokolwiek bardziéj intensywny. Cytowaliśmy już raz na innem miejscu opinią właściciela Turwi w W. ks. Poznańskiém (1) majętności oddawna wzorowo urządzonéj, jeszcze od czasów ś. p. Generała Chłapowskiego, opinią wyrażoną w opisie tego gospodarstwa do Encyklopedyi Rolniczéj, że ono już nie odpowiada w zupełności dzisiejszéj potrzebie wydobycia wyższych dochodów, z powodu za dużéj ilości ugorów i pastwisk sztucznych, wynoszących razem 20% gruntów ornych, wobec 6,3% takich że obszarów w Saksonii.

Jeżeli więc $^1/_5$ część pól nie sprzątanych, w której to części są jeszcze, stosunkowo produkcyjne, sztuczne pastwiska, utrudnia pomyślną egzystencyą gospodarstwa, jakżeby $^1/_3$ część pod ugorem zupełnie jałowym dała możność wyżywienia się małemu rolnikowi. Gospodarstwo zatém włościańskie jest prowadzone w systemacie dowolnym, bez żadnych prawie ugorów, jak o tém przekonają poniżéj podane opisy,—zarówno jak i 44 opisy gospodarstw cząstkowych ogłoszone w T. II. Encyklopedyi Rolniczéj.

W podobnym rodzaju gospodarstwa nie zawadza wspomniona podzielność każdego łanu z osobna. Jeśli przy urządzeniu kolonialném, pasy posiadłości każdego gospodarza są zwykle stosunkowo bardzo długie w miarę swéj szerokości, to przy urządzeniu gromadném w jednym łanie byłyby jeszcze dłuższe. Ponieważ zaś przy różnych gatunkach zbóż zasiewanych zawsze w pewnéj jakiejś rotacyi, każdy gospodarz pole swoje musi dzielić na staiska przeto przy zbytecznéj pól długości, dalsze z nich byłyby niedostępne i musianoby dla łatwiejszego dojazdu kilka dróg polowych urządzać. Ta podzielność konieczna na staiska każdéj roli — czyni podział na oddzielne łany pól gromadzkich nie tylko nie szkodliwym ale nawet pożytecznem, gdyż to ułatwia dowóz gnoju i wszelką zwózkę produktów rolnych. Tu podzielność na łany najczęściéj nawet jest konieczną przy nie zupełnéj jednorodności gleby do danéj wsi należącéj.

Komisya skarbu, która bezwątpienia była w kraju najlepszym i najbezinteresowniejszym pod względem urządzenia włościan gospodarzem, nie zawsze mogła dojść do kolonialnego urządzenia. Za przykład może służyć wieś poklasztorna Gidle, która z powodu swego położenia, musiała pozostać w miejscu pierwotnéj swéj osia-

(1) Patrz Wielka i mała własność—Ateneum zeszyt Marc. 1877 roku.

dłości—pola zaś regulowane w r. 1859 zostały podzielone tak że każdy gospodarz ma je w 2 częściach—jednę w ziemi tęższéj drugą zaś w piaskowéj. Gdy do tego dodamy oddzielnie położone łąki, oraz tak zwane ogrody czyli kawałki wydzielone w nizinie na warzywo, a także siedliska przy domach—widzimy wieś wzorowo urządzoną, w któréj każdy gospodarz jest posiadaczem oddzielnych pięciu kawałków.

Pomimo zwykłych ogólnikowych zarzutów, że włościanin nędznie uprawia ziemię, mało ją gnoi i mizerne téż zbiera plony—trzeba wszakże przyznać, że przy stosunkowo na ogół bardzo szczupłém uposażeniu gruntowém karmi on przeważnie ludność, jeśli nie miast większych to przynajmniéj miasteczek, gdzie na targach odbywających się co dwa lub trzy tygodnie, oprócz zboża, kartofli i innych produktów włościańskich, wśród przedmiotów konsumcyi nic prawie zkąd inąd się nie spotyka. Jest to rzeczą zresztą bardzo naturalną, skoro gospodarstwa folwarczne sprzedają zwykle zboże większemi partyami, które, i to w dodatku w znacznéj części jeszcze na jesieni idą prosto na kolej lub spław i są przeważnie przeznaczone na wywóz za granicę. Kartofle dworskie idą téż do gorzelni lub krochmalni a z okolic blizkich kolei Warsz. Wied. wielkiemi partyami do Prus są wywożone. Wiadomo także, że wszystkie zapasy owsa, które handlarze małomiasteczkowi gromadzą w celu dostarczenia tego produktu miastom a także i niektórym większym właścicielom, pochodzą z zakupu od włościan na targach i jarmarkach.

Z większych posiadłości, wyjątkowe tylko w wysokiéj będące kulturze przy urodzajnéj z natury ziemi, mają owies do zbycia; wiele zaś jest takich a może i liczba przeważna, które obrok dla inwentarza kupnym produktem zmuszone są kompletować.

Ludzie gorliwi o podniesienie dobrobytu drobnych właścicieli, zawsze mieli na uwadze potrzebę pomagania im pod względem poprawy rasy bydła chowanego przez włościan, oraz zachęty do szerszéj uprawy roślin pastewnych. Co do tego ostatniego, zdaje się że chłopi nasi świadomi są korzyści, jakie pod względem utrzymania inwentarzy i zwiększenia ilości nawozu osiągnąć można z odpowiedniéj uprawy roślin pastewnych. To téż u rolników lepiéj uposażonych w ziemię co do ilości i jakości daje się nieraz spotykać zasiew koniczyn, lecz postęp w tym względzie bywa utrudniony: z jednéj strony lichym częstokroć gatunkiem ziemi a z drugiéj i to przeważnie szczupłością gruntowego uposażenia. Trudno wymagać ażeby 6-io a nawet 12 morgowy rolnik zasiewał trawy, kiedy go potrzeba zmusza do wydobycia z posiadanego małego kawałka jak największéj ilości produktów wyższéj ceny. Im mniejsze gospodarstwo tém z ko-

nieczności musi dążyć do większéj intensywności. Jeżeli dla wielkiéj własności, sztuczne pastwisko—które przecież nieprodukcyjne nie jest, może być przyczyną zmniejszenia dochodów, to ten sam skutek dla małego rolnika może wyniknąć z uprawy np. koniczyny. Zboże dające ziarno i słomę bezwątpienia większy zapewnia dochód, jeśli ilość mierzwy pozwala gospodarzowi całość swéj roli utrzymać w zbożowym i okopowym zasiewie. Za to mały rolnik, jak to zobaczymy niżéj, w stosunku do swego obszaru daleko więcéj sadzi kartofli niż to mogą robić właściciele większych posiadłości, a skoro jak zwykle znaczną część tych kartofli spasa inwentarzem, przeto one służąc mu do rozmaitych użytków wybornie rośliny pastewne zastępują. Każdy znający stosunki drobnych właścicieli wie, że taki rolnik bez kartofli nie przechował by koni, przy niewielkiéj ilości produkowanego owsa, tegoż produktu używa do wychowu trzody a obirkami spożytych na stół własny ulepsza paszę swéj krowy.

Mniemanie że włościanin morzy swój inwentarz, jako tako na letniém pastwisku przechowany, nie umiejętném i nie staranném w zimie utrzymaniem, jest bezwarunkowo błędném.

Tam tylko w małych gospodarstwach inwentarz jest rzeczywiście nędzny, gdzie one dobrych letnich pastwisk nie mają, co nieraz się zdarza pomimo nawet szerokich służebności, bo tu właściwie nie ilość lecz jakość stanowi. Jeżeli przy braku pastwisk dobrych i przy małéj ilości łąk, znajdzie się jeszcze ubogi z natury gatunek gleby, na któréj zamiast lśniącéj słodkiéj i żyznéj słomy widzimy drobną, matową, kruchą, mało pożywną i w dodatku rdzawego wyglądu, tam trudno żeby jakiekolwiek usiłowania mogły pomyślny i prędki skutek w hodowli inwentarza sprowadzić. Tymczasem, nie od kogo innego tylko od włościan pochodzi największa ilość dworskiego wołowego inwentarza, w okolicach gdzie są ratajki w użyciu, a które-to woły w wielkich ilościach i w najpiękniejszych okazach zjawiają się na jarmarkach w Kielcach, Radoszycach, Żarnowcu, Przedborzu i innych, zkąd idą nieraz aż ku Pruskiéj granicy. Widzieliśmy téż wyborne okazy wołów roboczych, dostarczonych przez włościan z okolic nad Bugiem i Narwią położonych. Wogóle piękne bydło przez drobnych właścicieli hodowane pochodzi jedynie z okolic w dobre letnie pastwiska obfitujących, włościanin bowiem dobrze utrzymanego latem bydlęcia nie zamorzy nigdy podczas zimy, z ręki go prawie karmiąc, co mu łatwo przychodzi mając do czynienia z niewielką ilością inwentarza.

Ta konieczność zasilania dworskich inwentarzy roboczych produktem włościańskiéj hodowli, jest naturalnym skutkiem kierunku hodowli przyjętego w gospodarstwach większych. Hodują bowiem

te ostatnie przeważnie, albo owce cienko-wełniste, przy małéj ilości bydła, które służy tylko do mleka na własną codzienną potrzebę, lub téż i bydło chociaż nieraz z wielkiém staraniem i nakładem, lecz przeważnie z ras zagranicznych, które nie dają dobrych sztuk roboczych, jak np. rasa holenderska najbardziéj rozpowszechniona, lub obecnie wchodząca w użycie i bardzo zalecana rasa bezroga angielska.

Hodowla taka może się opłacać jedynie przy rozprzedaży młodzieży na reproduktorów, przy wysokiéj cenie i zapewnionym odbycie, jeśli nie jest tylko przedmiotem przyjemnego zbytku dla ludzi bogatych; zwyczajnego bowiem ekonomicznego rachunku przy zbytkowném utrzymaniu, prawie nigdy nie wytrzymuje. Widzieliśmy na zeszłorocznéj wystawie warszawskiéj przepysznego buhaja holendra, który, według zapewnienia dozorcy, dostaje 4 garnce owsa dziennie, czyli oprócz wszelkiéj innéj wybornéj paszy w samym obroku zjada przeszło 130 rubli. Taki kierunek hodowli dla małych gospodarstw nie tylko jest niemożliwym, lecz nawet nie daje żadnéj nadziei pożytecznego na włościańską hodowlę wpływu.

Powyżéj zaznaczony kierunek hodowli dworskich inwentarzy zmusza znaczną część większych właścicieli do zaopatrywania swoich kuchennych potrzeb masłem przynoszoném na targi przez kobiety wiejskie. Toż masło skupywane przez przekupniów idzie, po zmasowaniu go, na konsumcyą miast prowincyonalnych lub fabrycznych a nawet nieraz i do Warszawy. Wiejska kobiéta, do któréj należy dochód z gospodarstwa domowego, oszczędza się zwykle z mlekiem, daje go do użytku zbierane, masło zaś rada spieniężać na swoje białogłowskie potrzeby, podczas żniwa tylko udziela go chłopu do smarowania chleba na podwieczorek w polu. Do ważniejszych produktów sprzedajnych gospodarstwa kobiecego należą jeszcze drób i jaja; temi ostatniemi drobne gospodarstwa nie tylko zaspakajają potrzebę miast i po części dworów, lecz i zasilają handel wywozowy. Specyalni przekupnie trudniący się skupywaniem jaj po targach i jarmarkach, znaczne ilości takowych w beczkach lub pakach wysyłają kolejami za granicę.

Z ptastwa w zachodniéj części królestwa najznaczniejszym przedmiotem są gęsi, które oprócz dostarczanego puchu, skupywane na jesieni przez gońców, znacznemi partyami do Prus bywają odpędzane.

Wogóle domowe kobiece gospodarstwo, na większéj własności ziemskiéj uważa się dotąd przeważnie za gałąź zupełnie podrzędną, która rzadko gdzie na większą skalę bywa jako spekulacya prowadzoną; chowanie bowiem wyszukanych gatunków drobiu jakie się

gdzie niegdzie spotyka, raczéj za zabawę i amatorstwo może być uważane. Ztąd pochodzi konieczność kupowania jaj na potrzeby stołu (1) w niejednym dworze, a nawet dwory mające dostateczną ilość bydła kupują, jak wyżéj powiedziano, masło włościańskie na targach, wskutek oddawania krów w dzierżawę pachciarzom, zamiast prowadzenia na własną rękę gospodarstwa nabiałowego.

Gospodarstwo kobiece jest wyrazem spokoju i zasobności gospodarskiéj; jeśli dwory uważają za korzystniejsze zupełną i prędką wyprzedaż ziarna, aniżeli udzielanie go domowemu drobiazgowi, około którego potrzeba jeszcze szczególnéj umiejętności i starania i nie chcą na ten przedmiot ponosić żadnego nakładu, to niemniéj i drobny rolnik w budżecie swoim na tę gałąź żadnego nie rachuje wydatku. Gospodarz zbierając w stodole omłocone ziarno, mierzy je ćwiercią daleko większą od zwyczajnéj, czyli na miarę tak zwaną gospodarską i to z czubem, a jak powiada dla tego, ażeby mu się omłot w końcu wyrachował, bo i kobiéta musi z tego co porwać dla gadziny (2).

Jedną téż z ważnych gałęzi domowego gospodarstwa małych właścicieli jest hodowla i sprzedaż trzody chlewnéj. Zamożniejsi nietylko trzymają maciorę i sprzedają podhodowane prosiaki, lecz nawet zajmują się niekiedy wypasaniem wieprzów na rzeź przydatnych. Z chudéj trzody, większe sztuki kupowane bywają po dobréj cenie przez gońców do Prus handlujących, jeśli granica nie jest zamkniętą (3), mniejsze zaś sztuki chętnie są nabywane przez chałupników lub nawet komorników nie mających żadnéj własności, którzy podhodowawszy takowe przez parę miesięcy na plewach z odpadkami własnego pożywienia, sprzedają je z zarobkiem, znowu tańsze nabywając.

Zważywszy, że z ogólnéj liczby drobnych właścicieli w Królestwie przeszło 25% są uposażeni poniżéj trzech morgów, — około 15 zaś procent posiada od 3 do 6 morgów, z ogólnéj więc sumy 40 procentów, liczyć można, że przeszło 30% jest takich, dla których gospodarstwo nie może wszystkich potrzeb zaspokoić i zupełnie niekłopotliwéj egzystencyi zapewnić. Tacy muszą szukać pomocy w zarobkach postronnych w pracy najemnéj lub téż za pośrednictwem domowego czyli zagrodowego przemysłu.

---

(1) Patrz sprawozdanie deleg. do osądzenia wystawy drobiu w 1882 r. w Warszawie.

(2) Gadziną w niektórych okolicach nazywają wieśniacy wszelki drób domowy.

(3) Co się obecnie dość często przytrafia, wpływając na obniżenie ceny trzody, która dotąd bywała nieraz nawet wygórowaną.

Ten ostatni dla drobnych właścicieli najbardziéj jest pożądanym, nie dziw więc że w ościennych z nami prowincyach jak np. w Galicyi a nawet w Cesarstwie rosyjskiém, jest przedmiotem szczególnego zajęcia zarówno rządu jak i osób prywatnych. Zbogaca się on w Galicyi zakładaniem szkół garncarstwa, koszykarstwa, wyrobów koronkowych i rzeźby; w Cesarstwie zaś uzyskał sobie zupełnie oddzielny pawilon na wystawie Moskiewskiéj 1882 r. U nas ten przemysł nie doznaje żadnéj znikąd opieki lub zachęty, bardzo się przeto mało rozwija i to w kierunku jedynie zaspokojenia potrzeb samychże drobnych właścicieli.

Przemysł tkacki tak bardzo rozwinięty na Żmujdzi, że tam mniejsi właściciele, włościanie i szlachta, nie znają dla całéj rodziny innego ubrania jak tylko z własnego wyrobu nie wyłączając chustek białogłowskich do okrycia, w pozostałéj części królestwa, ogranicza się do nieznacznego wyrobu płócien, oraz wełniaków żeńskich i zapasek, które już nawet obecnie coraz bardziéj są wypychane z użycia rozmaitego rodzaju tanią i lichą kramarszczyzną z wielkich przemysłowych fabryk pochodzącą. Prócz tego figurują na targach miasteczkowych okazy garncarstwa, koszykarstwa w grubym gatunku sitarstwa, bednarstwa i stolarskiego kunsztu z wyrobami zastosowanemi jedynie do potrzeb wieśniaka. Powroźnictwo i rymarstwo téż występuje, ale już przeważnie jako miasteczkowy przemysł.

Z tego pobieżnego rzutu oka na rodzaj produkcyi drobnych gospodarstw przeznaczony do zbytu łatwo się widzi, że cały obrót handlowo-gospodarski tego rodzaju własności odbywa się jedynie i wyłącznie na jarmarkach lub targach mało-miasteczkowych. Okoliczność ta zmusza nas przypomnieć, tak ogólne i szablonowo utarte narzekania w naszéj prasie na niezmierną mniemaną ilość jarmarków, które mają służyć tylko jako zachęta do próżniactwa, włóczęgi i pijatyki i które, odciągając lud od korzystniejszych zarobków, milionowe ekonomiczne straty przynoszą. Hiperbole te pochodzą jedynie z doktrynerstwa ekonomicznego i z zupełnéj nieznajomości lub przynajmniéj z umyślnego i stronniczego zapoznania potrzeb i obyczajów ludowych.

Jarmarków, rzeczywiście to miano posiadających, wcale nie jest tak wiele jak mówią. Są one wyliczone na końcu każdego kalendarza wydawanego w Warszawie i nie przenoszą pewno 4 na jedną miejscowość do roku. Na jarmarkach tych głównie a może i wyłącznie można dostać koni lub bydła, które nieraz z dalszych okolic bywają przyprowadzone, niemniéj jak takich wyrobów, które dana okolica nie zawsze posiada. Jako przykład mogą posłużyć jarmarki

w Radomsku 4 razy do roku, na których jedynie można dostać wybornych bryczek pochodzących z okolicy Końskich, a także tanich wozów kolejnych z pod Radoszyc.

Oprócz takich jarmarków bywają naturalnie jeszcze w miastach i miasteczkach targi, odbywające się w pierwszych raz lub 2 na tydzień, w drugich zaś raz na 2 lub 3 tygodnie, a które służą mieszkańcom tychże miast i miasteczek jako środek zaopatrywania się w żywność z pierwszéj ręki, bez tego bowiem wszyscy a szczególniéj biedniejsi mieszkańcy zostawaliby jedynie na łasce przekupniów. Targi te dla mieszkańców miejskich tak bardzo pożyteczne stanowią również konieczną potrzebę wieśniaka, który na swe drobne zapasy lub produkty, z trudnością by mógł doczekać się kupca; na targu zaś mając ułatwioną sprzedaż i mogąc łatwiéj oryentować się co do ceny, znajduje przytém możność zaspokojenia przy téj zręczności wszystkich swoich domowych potrzeb. Twierdzenie, że jarmarki i targi więcéj przyczyniają straty czasu niźli oddzielne jeżdżenie i chodzenie za każdą drobną potrzebą i interesem, jest to takie samo absurdum ekonomiczne jakiémby było twierdzenie, że giełda utrudnia obroty pieniężne.

Jeżeli zakładanie sklepików po wsiach może być pożytecznem, to nie zawsze wszakże powstrzyma od udania się na jarmark, który nie tylko nastręcza bardziéj urozmaicone przedmioty, lecz zarazem daje możność otrzymania środków do ich nabycia. Niejeden właściciel większéj posiadłości, cokolwiek zakłopotany i jeżdżący po parę razy na tydzień do miasta dla ułatwienia interesów, gdy mu karbowy oznajmi brak robotnika z powodu jarmarku lub targu, wyrzeka nieraz na demoralizacyą i próżniactwo ludu pracowitego, zapominając o tém, że każdy rad, oprócz załatwienia koniecznych interesów, odświeżyć się jeszcze przy spotkaniu z ludźmi i zaspokoić niejedną ciekawość. Zapomina również o tém, że gospodarstwo jego nie może zapewnić całorocznego bytu i utrzymania tym ludziom, których dwór jedynie do sprzętu z pola powołuje i że oni jakkolwiek mogą być drobne ich zarobki i interesy, bardziéj dbać muszą o to co ich byt stanowi, niż o czasowe tylko i wypadkowe korzyści.

Wołanie o demoralizacyi i rozpijaniu się po jarmarkach, jako nie mające żadnéj wartości, możnaby właściwie pominąć milczeniem, skoro się zważy z jednéj strony, że pijak zawsze potrafi do upicia się wyszukać okazyi, z drugiéj zaś że lud nasz tak dalece jeszcze zdemoralizowanym nie jest żeby się masami upijał i walał po drogach publicznych. Ci co go znają zbliska i na miejscu, a nie z podań tylko i pogawędek, sprzeczać się z nami o to z pewnością nie będą.

IV.

Po rozpatrzeniu się w powyżéj skreślonych rysach ogólnego charakteru i szczególnych właściwości gospodarstwa włościańskiego, przechodzimy obecnie do głównego naszego zadania jakiém jest zestawienie produkcyjności wielkich i małych gospodarstw.

Zważywszy, że biorąc rzeczy ze stanowiska ekonomicznego, główny interes społeczeństwa polega nie tyle na dochodzie czystym, który stanowi korzyść pojedyńczego właściciela, ile na ogólnéj produkcyi rolnéj, niezależnie od tego kto ją i w jakiéj ilości konsumuje, materyą porównawczą w naszém zestawieniu musi być dochód brutto, który stanowi przedmiot ogólno krajowéj konsumpcyi.

Jakikolwiek przyjmiemy stosunek produkcyi wielkich i małych gospodarstw, zawsze można przypuszczać: że wielkie gospodarstwo mniéj stosunkowo zużywa robotnika niż gospodarstwo małe, dochód więc czysty, to jest taki, który pozostaje za potrąceniem kosztów uprawy, względnie będzie większy u wielkiéj niż u małéj własności, bezwzględnie jednak mali gospodarze będą rozporządzać większym stosunkowo dochodem czystym, gdyż dla nich praca na własnéj roli, oraz zarobki postronne i dochód z furmanek, będzie stanowić zwiększenie ich rozporządzalnego dochodu czystego. Dochód zaś wolny, to jest ta część dochodu czystego jaka pozostaje za potrąceniem produktów rolnych na własną konsumcyą gospodarza, a więc część, która idzie na potrzeby mieszkańców nie rolników, musi być większą w gospodarstwach dużych. Ten wolny dochód zwiększony osiąga się naturalnie przez mniejszą komsumcyą klasy rolniczéj, co w ogólnéj ekonomii krajowéj nie może być jako zysk uważane, ponieważ to będzie kwestyą nie produkcyi lecz podziału bogactw.

Jeżeli nawet, skutkiem rozdrobienia własności, miejscowe spożycie produktów rolnych miało się powiększyć i przez to zmniejszył by się eksport zagraniczny, nie można tego uważać bynajmniéj za klęskę ekonomiczną; eksport bowiem służy w znacznéj części do zaspokojenia zbytkownych potrzeb klas zamożniejszych. Jeśli zatém skutkiem zmniejszonego eksportu i utrudnienia w zadosyćuczynieniu tym zbytkownym potrzebom, zyska się lepsze wyżywienie licznéj klasy rolniczego ludu i co za tém idzie podniesienie jego moralnych potrzeb, raczéj to za zysk niż za stratę należałoby poczytywać.

Z tych wszystkich względów pozostajemy przy wyżéj zaznaczoném założeniu a mianowicie: że przedmiotem porównania produkcyjności obu rodzajów gospodarstw musi być dochód surowy

czyli ogólna produkcya rolna, bez potrącenia kosztów jéj eksploatacyi i bez względu na to jaka część ludności krajowéj przeważnie będzie z téj produkcyi korzystać.

Dla tego celu bierzemy cztery oddzielne porównawcze grupy, z których każda będzie się składać z jednego gospodarstwa na większéj własności i przynajmniéj dwóch gospodarstw własności małéj. Każda grupa dobrana o ile możności co do gatunku gleby i położenia w jednakich a przynajmniéj podobnych warunkach, pod względem zaś siły i zamożności w dobréj lub przynajmniéj w zadawalniającéj pozycyi.

(*dok. nast.*) *Julian Łapicki.*

CZARODZIEJKA,

POWIEŚĆ.

XXVIII.

W białéj sali siedziała Anna nad rozwartą księgą poety—astronoma. Myśl z duchem mistrza przelatywała ze światów na światy i może gdzieś w oddalonym zakątku błękitów odnalazła ziemię piękną, gdzie serca ludzkie jak pełne kwiatów kielichy, ogrzane promieniami słońca wiekuistéj prawdy, rozkwitają miłością bez zmazy, szczęściem niezamąconego już niczém życia, z pamięcią tylko lat—może minionych wieków tysiąca—które jak huragany burz piorunowych toczą się z grzmotem coraz cichszym w otchłaniach umykającéj przeszłości. Może pamięć wierna boleściom i smutkom dawnym, ukołysana już spokojem—zajrzy czasem do pierwszéj kolebki łez i cierpień, gdzie nowe duchy bój wiodą o prawdę, nurzają się w odmęcie rozpaczy, wątpią i wierzą i do nowéj walki powstają, żeby łez krwawych kroplami, trudem i bólem usłać sobie gościniec zwycięzki do tronu chwały!..

W alabastrowy kielich tulipanu ujęte płonęło cicho światło lampy. Blask przytłumionego płomienia oblewał czytającą czy zadumaną. Biała jedwabna suknia otulała kibić ślicznéj pani, podnosząc jéj wdzięki i postać całą do piękności mar uroczych, w snach pierwszéj zjawiających się młodości. Czoło oparła na dłoni, szafiry oczów przykryła długich rzęs cieniem—nieruchoma, piękna jak posąg marzenia, zdawała się biedz myślą w krainy tęcz i błękitów.

Naprzeciw, w głębokim zasunięty fotelu, siedział hrabia Tytus Ornowski. W bezmyślném jakiemś zadumaniu podrzucał lewą nogę to gładził z pewną gracyą, przywykłego do elegancyi w czasie snu nawet człowieka, misternie wykrojone faworyty. Panowało głuche

milczenie, zmącone czasem tylko kart przerzucanych szelestem lub skrzypieniem fotela, na którym kołysał się Ornowski. Nagle hrabia zaśmiał się, uderzając dłonią o poręcz aksamitną... Śmiech jego przykro uderzył delikatny słuch Anny—wzdrygnęła się i podniosła oczy na męża.

— Doprawdy—pani! rzekł hrabia Tytus, zwracając się nieco do Anny—sam dzisiaj nie wiem dla czegośmy się pobrali? A przecie—mogłabyś pani szczęśliwą ze mną być, bardzo szczęśliwą! Ja níe narzekam na ciebie!.. Jesteś piękną, tak piękną, że mógłbym w objęciach twoich na węgiel się spalić. A czegobyś, pani, chciała odemnie? Dałem ci fortunę, która może u stóp twoich złożyć wonie całéj Arabii, pajęcze tkanki Brabantu, złoto i brylanty i perły wszystkich mórz? Na twoje skinienie, dziś głuche sale naszego pałacu, zabrzmiały by dźwiękami muzyki twórcy Nibelungów, okrzykami uczt, głosem zachwytu pierwszéj arystokracyi świata bijącéj korném czołem przed tobą. Odżyłabyś pod oddechem atmosfery zabaw, tańców i hołdów, bo piękną jesteś! piękną jak Galatea—nie wiem tylko czy się znajduje Acys jaki... ale ja bym Polifema rolę mógł odegrać...

— Cóż jeszcze? spytała Anna z ironicznym twarzy uśmiechem.

— Dałem ci nazwisko moje, którego blaskiem tysiąc bym jeszcze rodów pokrył i każdemu za nadto byłoby światła, bez ujmy dla mnie.

— Zagaś ognisko — odpowiedziała Anna, którego łuna takim blaskiem ciebie otacza i pomyśl wtedy jaki z siebie wydasz promień?...

Hrabia poruszył się w fotelu.

— Dzieciństwo! wyrzekł szybko. Purpurowego płaszcza pradziadów nikt z ramion moich nie ściągnie. Przerzuć pierwszą lepszą kartę historyi — wzrok twój tylko paść może na imię, które ja noszę...

— Czy chluba twoja, którą ja marną nazywam, jest rogiem wszelkiéj obfitości, z którego możesz rzucić mi—i szczęście?

— Szczęście! mruknął hrabia. Zapewne, że go pani nie znajdziesz, jeżeli będziesz go z Flammarionem na Jowiszu szukała.

— Bo tu mi go nie dałeś,

— Kłamstwo! wziąć nie chciałaś.

Anna powstała i opierając się ręką o stół, spojrzała w twarz kołyszącego się pana Tytusa.

— Czy nazywasz szczęściem to—że mnie kupiłeś?

— A na coś się sprzedała?

— Tyś skłamał! zawołała Anna z rumieńcem oburzenia na twarzy... Czy nie mówiłam ci, że oddając się tobie okupiłam życie ojca? Czy—wierząc jeszcze w szlachetność twoję, nie błagałam ciebie, żebyś mojemu powiedział ojcu, że mnie nienawidzisz, że imieniem żony niechcesz nazwać?... Szanowałabym ciebie przynajmniéj a tak nienawidzę!

— A ja cię kochać zaczynam! Namiętności tłumione długo zawrzały dziś we mnie siłą stu wulkanów... Wczora mnie precz odtrąciłaś—bom się przepalił—osłabł... ale—pani! pamiętaj... pani, że ta się scena powtórzy...

Twarz oliwkowa hrabiego granatowym nabiegła rumieńcem, oczy zamigotały blaskiem jakim się palą rubiny... Wpatrzył się w nią wzrokiem szakala—naprzód się podał—poruszył i powstał...

Anna zadrżała—różowa barwa jéj twarzy skryła się nagle pod osłoną bladości... Podniosła się—ruchem gwałtownym skrzyżowała ręce na piersiach, jak ta co się wstydzi czy broni, i wzrok przestraszony utopiła w twarzy napastnika.

Stuk kroków w przyległéj sali przerwał namiętny spór małżonków.

Anna wzrok rzuciła ku drzwiom—hrabia brwi ściągnął, późniéj pogładził faworyty, dobył cygara, zapalił i usiadł znów w fotelu, kołysząc się niedbale... Niewidzianym świadkiem będąc bolesnéj sceny, w stosownéj chwili—przestąpiłem próg sali.

— A! pan Szczerodyński!.. wybąknął, leniwo podnosząc się z krzesła i dłoń wyciągając do mnie. Nakoniec! nakoniec! dodał—przypomniałeś pan sobie o pustelnikach.

Przywitaliśmy się. Annie zimno podałem rękę lecz wzrok był niemym tłómaczem palącego się serca.

— A kiedy z domu? zagabnął pan Tytus.

— Dziś po południu.

— Oho! dziewięć mil!.. Chyba pan wichry do powietrznego rydwanu wprzągłeś i batem błyskawic niesforne smagałeś rumaki! No! ale musiałeś pan w Dzierdzijówce popasać?

— Tak—panie hrabio!

— Cóż? czy nie przy panu czasem odebrał Piskała imieninowy odemnie podarunek?

— Przy mnie, panie hrabio!

— I jakże przyjął ten pasztet—nie strasburgski wprawdzie?

— Ledwie go nie zabił apoplektyczny atak.

— Jednym mniéj łotrem byłoby na ziemi! syknął hrabia.—*Pauvre bête*! nie spodziewał się takiego podarunku.

Ziewnął szeroko.

— Zostawiam pana z moją żoną—jego towarzystwo milszem jéj jest niż moje.

Skłonił się i mierzonym krokiem wyszedł z pokoju.

Ledwie szmer kroków odchodzącego pana Tytusa umilkł w odległych komnatach pałacu, jak w rozwarte moje ramiona pochylił się szczęścia i uśmiechów pełny, mój anioł dobrych snów...

— Niedobry! niedobry! wołała całując mi usta... Jaskółki gniazd już tyle uplotły za oknami mojéj salki, słowiki wyśpiewały piosnki wszystkie, oczy łez tyle połknęły—a ty! a ty! niedobry mój! drogi mój! jedyny mój!!..

Kto ust kochanki nie dotknął ni razu, kto otwartą źrenicą w źrenicach lubéj nie tonął—ten nie może znać słodyczy, pojąć rozkoszy jakiemi ziemia nasza smutnych swych synów obdarza czasami. Krew ci w żyłach przebiega z szelestem muzyki arfianéj, całego świata tchnień ci za mało, jakby kryształowa kula nieba, ziemi i błękitom ujęła powietrza...

Otoczyłem jéj kibić ramieniem.

— Anno moja! nie widzę pereł na twojéj szyi—ja te perły tak lubię—gdzie one?

Przelotna chmura bolesnego wspomnienia przebiegła przez czoło Anny.

— Sznur pękł... perły się rozsypały—szepnęła. Ale się nie bój! nie staciłam z nich jednéj. Są wszystkie—jasne jak i dawniéj, czyste i bez skazy jak dawniéj!..

Wziąłem dłoń białą Anny i wyszedłem na balkon, którego marmurowa podstawa nurzała się w falach roztoczonego szeroko stawu...

Srebrny rożek księżyca za dalekie zapadał lasy, koncert słowiczy brzmiał w całéj sile, kilka błędnych gwiazd przeleciało przez niebo, sypiąc iskry złote i jasną smugą światła rysując drzemiącą pierś jeziora. W wodzie odbijały się kląby bzów i jaśminów, w powietrzu brzęczały szklane skrzydła komarów, fontanna po środku kryształów wód wiotką kolumną biła w błękity.

— Anno moja! mówiłem tuląc do siebie drżącą sercem—za godzin trzy przepłyniemy przez tę szybę zwierciadła, przejdziem tę bzów aleję, na końcu któréj niecierpliwe rżéć będą rumaki—rozumiesz? Tak—Anno! w objęciach moich, pod ciemne niebo Hiszpanii!...

Jak liść białéj topoli drży w srebrnym blasku księżyca, takie drżenie po ciele jéj przebiegło, aż zaszeleściała suknia jedwabna i ciepły oddech jéj ust wionął mi po twarzy, przejmując dreszczem roz-

kosznym i zapalając w myśli niespokojnéj złotą jutrznię bliskiego szczęścia.

— Adamie! jednym dniem przed tem widziałbyś mnie oporną i niezłamaną. Dziś przepełniła się czara goryczy!.. Nie mogę tu być... chwilę jedną, krótką chwilę nawet. Jam twoja—na wieki! Śladami stóp swoich naznaczysz mi drogę, którą pójdę, nie pytając—gdzie idę? Jedną godziną miłości, jedną chwilą roskoszy—dług spłacisz, który mi ziemia winna... A późniéj—jeżeli zechcesz mnie rzucić i odtrącić—chwilą przed téj myśli poczęciem—zabij! a umrę szczęśliwa w ramionach twoich, przy ustach twoich—z myślą o tobie idąc w krainę nieznaną!..

Szmer naszéj rozmowy; westchnienia i śmiechy i pocałunki przez zazdrośne echa odbite—mięszały się z szumem fontanny, tłumionym dzwiękiem fal i tajemniczym liści szelestem...

W tém grzmot głuchy trącił powietrzem—ktoś podjechał pod ganek pałacu pędem szalonym.

Pan Bonifacy Piskała z okiem nabrzmiałem, blady jak trup, drżąc jakąś febryczną gorączką, słaniając się i kreśląc długie elipsy, krokiem chwiejnym przechodził przez oświetlone gmachu pokoje. Wargi mu się trzęsły konwulsyjnie, w oczach miał jakieś błyski szatańskie. Brzydka twarz jego zmarszczyła się, bruzdy głębokie pofałdowały mu czoło jakby w godzinie jednéj trzydzieście ciężkich lat przeżył, krwawa siatka przykrywała białko wydętych oczów, patrzał przed siebie, idąc do sali portretów.

Hrabia Tytus Ornowski siedział na miękkim ciemno-zielonym aksamitem powleczonym fotelu. Na kolanach trzyma odemkniętą złotą księgę rodów szlacheckich, z kart któréj wyzierały malowane herby, mitry i czapki książęce. Na białych kartach księgi, w długą spisane kolumnę, świeciło pięknie brzmiące imię rodowe hrabiego, z szeregiem wypisów, po drugiéj stronie téjże karty, zasług chwalebnych dawno już w porfirowych grobach spoczywających praojców, kolumnę imienną kończyło imię hrabiego Tytusa—druga strona była czysta i dobrze, że czysta—bo oprócz plamy wielkiéj, nic innego sumienny pisarz nie mógłby postawić.

Hrabia czytał—od czasu do czasu wzrok podnosił i patrzał na wiszące w złotych ramach antenaty.

Niepostrzeżony, przez zatopionego w myślach pana Tytusa, Bonifacy Piskała zbliżył się do środka sali i cieniem długim bezkształtnéj swojéj postaci oddzielił Ornowskiego od malowanych płócien portretów...

Hrabia czytał—Piskała świecącém, krwawém okiem patrzał na niego...

Ornowski chciał znowu spojrzéć na jednego ze swych przodków—wzrok podniósł i spotkał się z okropnym wzrokiem Bonifacego.

Oliwkowa twarz hrabiego pobladła—drgnął lekko na widok niespodziewanego gościa, ale prędko przychodząc do siebie, podniósł księgę leżącą na kolanach, zacisnął klamry złote i rzucił na stół marmurowy.

Milczeli...

Piskała nie spuszczał oczów z twarzy hrabiego.

— Czego tak wzrok utopiłeś we mnie, panie Bonifacy, zły cieniu, zasłaniający sobą szlachetne twarze z tych płócien na mnie patrzące? odezwał się hrabia, ruszając niedbale głową.

Piskała milczał—oczy tylko rozszerzył, które zdawały się z orbit wybiegać jakby miały pęknąć i krwią bryznąć. Jakaś myśl dzika błąkała mu się po czole, drżące wargi więziły słowo zabójcze...

Była chwila męczącéj ciszy przerywana tylko dygotaniem wahadła ściennego zegara.

Hrabia znów się odezwał:

— Biedny głupcze! myślałeś, że ja ci pozwolę najpiękniejsze pióro z kołpaka swego zerwać? część najpiękniejszą fortuny w małpie twe ręce oddać—co?

Bonifacy się poruszył.

— Zasłużyłem na nią, panie hrabio—wybełkotał—ciężko! krwawo! strasznie!..

— Szelmostwem! syknął Ornowski.

— To cięższa praca—bąkał trzęsąc się dawny sługa Ornowskich—cięższa niż kowala, który młotem o twarde żelazo uderza; niż szewca co buty szyje! Iskry rozpalonéj sztaby ręce przepalą, dratwa palce poprzecina ale nie trąci sumienia. Zapłaciłeś mnie po hrabiowsku—ja ci po królewsku odpłacę!..

— Ty! mnie?!...

Zaśmiał się hrabia i wzrok ku portretom obrócił.

Piskała odpowiedział śmiechem podobnym do szczeknięcia psa.

— Nie patrz tak na nich! odezwał się głosem ponurym—nie plam wzrokiem tych wielkich i czystych!..

— Hrabia groźnie brwi zmarszczył i spojrzał gniewnie w nabrzmiałą twarz Bonifacego. Piskała jakby ważył słowo każde, cedził wyrazy za wyrazami ostro—powoli.

— Nie patrz tak na nich powtórzył—może... w żyłach twoich niema jednéj kropli krwi tych szlachetnych...

Ornowski podniósł się dumnie i wyprostował się jak słup niewidzianą siłą z ziemi podjęty.

Piskała przeszywał go wzrokiem bazyliszka.

— Tyś bękart! zawołał—nie prawnuk tych!!..

Ornowski się zachwiał, piersią naprzód podał—oczy mu piekłem się zapaliły—rozdął nozdrza jak zwierz wietrzący ścierwo.

— Łżesz! podły!.. krzyknął.

I rzucił się na zakaszlanego śmiechem Piskałę...

Skokiem małpy Piskała umknął od strasznego ciosu ręki hrabiego. Podbiegł do marmurowéj kolumny, na któréj stał brązowy posąg jednego z dziadów pana Tytusa i porywając w obydwie dłonie łokciową postać spiżowego hetmana, zakołysał nim w ramionach w obronnéj stając pozycyi...

Hrabia się zatrzymał—dzwonił białemi zębami, kolana mu drżały, oczy wściekłe rzucały spojrzenia.

— Pamiętasz!.. mówił głosem ochrypłym pan Bonifacy—pamiętasz... Jaśnie Wielmożny hrabio, Bismandorfa, wielkiego dyrektora dziś twojéj fabryki cukru, który w latach dzieciństwa twojego, sadzał cię na swoich kolanach i w twarz całował?.. Za często on bywał u pani Matyldy, Jaśnie Wielmożnéj matki twojéj... nazbyt często, niż przystawało na dyrektora fabryki cukru... Ja ułatwiałem stosunki—odwoziłem i przywoziłem listy...

— Milcz!!.. wiem!—jęknął hrabia — tam była plama jakaś— ale... ja!..

— Syn dyrektora fabryki cukru—dokończył głosem fałszywym jak skrzek ropuchy sojusznik zbrodni...

Hrabiemu nie stało tchu w piersiach...

— Kłamstwo bezczelne! wrzasnął—dowodów! dowodów! dowodów!..

Hrabia nie wiedział sam czego żądał. W oczach się ćmiło, jakieś maszkary tańczyły mu przed oczyma...

— Dowodów?! zgrzytnął Piskała, opuszczając ku ziemi posąg hetmański—Verba volant—scripta manent!..

I rzucił na stół przed hrabią mały zwój papierów.

Ornowski do rąk drżących chwycił zatłuszczony zwitek, rozerwał wiążące nici i rozwinąwszy z pośpiechem szalonym, jedną z licznych, pomiętą ćwiartkę papieru, czytać zaczął.

Były to listy hrabiny Matyldy do Bismandorfa.

Pan Tytus przebiegał niespokojném okiem papier fatalny. Jakaś chmura ciemna przez bledniejącą okropnie twarz przebiegła— ręce się usunęły, papier opuszczony z dziwnym szelestem zakołysał się w powietrzu i zakreślając trzy koła upadł na posadzkę.

Zaległo milczenie w sali portretów—zegar dygotał, licząc ubiegające dnie życia ludzkiego.

Na kartce białego papieru, czerniało pismo skreślone znajomą hrabiemu ręką:

„Frydryku!—były słowa listu—syn mi się narodził, któremu dałam imię—Tytus. Mój mąż spojrzał w kolebkę: „Pfi! powiedział—jak on do Bismandorfa podobny!“ „Zapatrzyłam się na niego“ odpowiedziałam. Hrabia posmutniał i więcéj nie spojrzał na dziecko. Przyjeżdżaj uściskać swojego syna.

Matylda.“

Piskała patrzał w twarz swojéj ofiary dzikiemi oczyma tryumfu, urągając strasznéj boleści duszy.

— A gdzie purpura okrywająca ramię twoje? skrzeczał potwór ociekającemi śliną wargami — gdzie przodków twoich czerwona krew?.. Coś wart teraz Jaśnie Wielmożny panie! gdy tobie nie stało—o tych!

Rzucił ręką na ściany wiszących portretów wielkich buław hetmanów i czoło małpie nizko ku ziemi pochylił...

— Do widzenia pisklę krogulcze w orlem gnieździe zrodzone!.. Do widzenia—panie Bismandorf!..

Zadławił się śmiechem gwałtownym—skłonił się raz, drugi i trzeci i wyszedł z pokoju.

Zapanowała cisza okropna jaka na cmentarzach osiada po rzuceniu trupa w grób głuchy. Zegar uderzał cicho jak bryły ziemi rzucane motyką grabarza na wierzch trumny. Dalekie tylko sale pałacu zabrzmiały raz jeszcze dławioną czkawką śmiechu pana Piskały...

Hrabia stał jak gromem rażony. Podał się naprzód—oczy roztworzył—dech w piersiach zatrzymał. Widział gmach olbrzymi, który u szczytu pękł i w proch się rozsypywał i z przerażającym szumem sunących się gruzów na głowę mu leciał. Zadrżał—ręce wyciągnął do ścian zawieszonych portretami jakby od nich czekał słów protestu. I zdawało mu się, że malowane postacie Ornowskich zaczęły uciekać z płócien, chowały buławy i miecze jakby się bojąc, żeby na nich nie padł wzrok bękarci.

— Bis...man...dorf! zabełkotał.

Chwycił się za serce, piersi, głowę i z głuchym rykiem grzmotnął czołem w marmur posadzki.

. . . .

W białéj sali siedziałem przy Annie, snując przędzę marzeń tęczowych. Złote arabeski krużganków Alhambry, duchom pod straż

oddane posępne sale Eskurialu, marmurowe Granady pałace, nagie szczyty gór Alpuhary i wonne gaje oliwne—witały pielgrzymów z ziemi dalekiéj, szukających szczęścia w ojczyźnie Cyda. I cieniem mirtów i drzew pomarańczowych szumem kołysały do snu słodkiego, sypiąc na czoła mieszkańców zimnego nieba biały śnieg kwiatów. Powietrze ziemi miłości i dziewic brzmiało dźwiękami mandoliny—wysmukła kibić czarnookiéj hiszpanki rzucała się w szale namiętnym uroczego fandango... W tém do uszów naszych doleciał ostry, urywany, niby szczekanie psa, śmiech daleki... W ślad po nim echo komnat zadrzało, jak by się filar w sali portretów zawalił. W tym śmiechu, w tym łoskocie padającego przedmiotu, przerażającego coś było.

Anna drgnęła i przytuliła się do mnie, wystraszonemi oczyma patrząc mi w źrenice a serce trzepało się w piersi jak ptaszę raz pierwszy do klatki rzucone.

— Jeżeli nie lękasz się sama zostać—rzekłem wstając.

Nie dała mi mówić.

— Pójdę z tobą! Niedobry duch przerwał nam marzenia, jeszcze tu wleci i Annę ci porwie.

Prowadziłem wspartą na mojém ramieniu przez długi rząd milczących pokojów.

Weszliśmy do sali portretów.

Po środku, twarzą do ziemi, leżał hrabia Tytus Ornowski z czołem straszliwie rozbitem.

Anna wstecz się rzuciła i trwożna oparła się o oddrzwia hebanowe; ja krzyknąłem na służbę, która dźwiękiem mojego głosu przestraszona biegła ze wszystkich stron pałacu.

Podnieśliśmy omdlałego pana Tytusa, który oddychał ciężko z jakiemś straszném rzężeniem w piersiach. Biały marmur posadzki czerwoną plamą krwi zaświecił.

Upłynęło godzin parę.

W jasnych przed chwilą komnatach gmachu zapanowało milczenie i noc....

Zegar uderzył pierwszą.

— Anno! — rzekłem, całując jéj ramię krągłe, białe — niecierpliwe konie grzebią ziemię i gryzą wędzidła stalowe—za mną!

Podniosła oczy i obie podała mi dłonie.

— Adąmie!—główką ruszyła—nie! tam leży chory!

Podniesiony papier w sali portretów odkrył mi tajemnicę nagłego omdlenia pana domu.

XXIX.

W téj saméj godzinie, w któréj pan Bonifacy Piskała dusząc się spazmatycznym, dławiącym śmiechem, opuszczał starodawną siedzibę hrabiów Ornowskich, pan Stanisław Starża lipową aleją włoskiego ogrodu wracał od krzyża Maryi. Na jego czole posępném zawsze, osiadła jakaś chmura myśli ciężkiéj czy smutku wielkiego.

Krokiem powolnym,. z założonemi na krzyż rękami i głową schyloną na pierś, przestąpił próg czarnéj sali, w któréj na marmurowym kominie palił się ogień duży.

Po dorocznéj w dzień Świętego Stanisława biesiadzie, w którym stykał się z ludźmi swojego towarzystwa, rozpoczynał znowu życie samotne. Jedyną jego rozrywką były książki i polowanie. Książki lubił namiętnie, śledził pilnie za nowemi nabytkami wiedzy ludzkiéj, badał drogi jakiemi wiecznie młody świat idzie i choć opornie, porywany wichrem nowych idei, posuwał się naprzód.... Pan z panów, potomek starożytnego rodu, czuł, że się grunt usuwa z pod nóg czcicieli „dobréj krwi.“ Zrazu się zżymał na przybyszów imion nieznanych, którzy ster nowych opinii w niedoświadczone ręce wziąść chcieli, ale widząc: że prawnuki kanclerskich pieczęci spali snem twardym lub odzywali się niezrozumiałym już głosem ludzi XVI stulecia; że świat szybko naprzód pomyka, tworząc szczerby w opustoszałych warowniach; że gonić go potrzeba, nie chcąc być zapomnianym i oddanym jak grat zużyty na całopalenie, godził się z duchem wieku i acz powoli obracając wzrok czasem smętny na dawne bogi, szedł za tryumfalnym rydwanem nowego zwycięzcy. I przeszłość dla niego stała się księgą wiedzy, któréj nikt rozumny w błoto pogardy nie rzuci, z któréj się snują nici nowe jak misterne tkaniny z kłębka jedwabnéj przędzy. Książką więc hartował umysł—łowami ciało. Samotny zawsze, nieodstępnemi towarzyszami miał myśl własną, wiernego Wojtalirę, psa karmeluka i duży ogień na kominie.

Czerwone płomyki strzelającego ognia, rozsypujący się popiół węgla przepalonego — bawiły starca. Lubił czasami mówić i dużo, nie zważając czy przedmiot za słuchacza obrany był zdolny zrozumieć i odczuć słowa dobrowolnego pustelnika. Czasem trzymając na kolanach dużą głowę czarnego brytana, opowiadał jakiś epizod z dziejów swojego życia; czasem łza srebrna zatrzymała mu się na białych wąsach i westchnienie długie, ciężkie w zamierzchły świat poleciało przeszłości. Najczęściéj Wojtalira był powiernikiem uczuć starego pana. Oparty o komin marmurowy patrzał na siedzącego w tygrysią skórę obitym fotelu i słuchał bajki dziwnéj o ludziach zakutych w stalowe pancerze, o bojach wielkich i królach wielkich.

I gdy pan westchnął—Wojtalira westchnął, gdy pan zapłakał i Wojtalira miał łzy w oczach. Nieraz Wojtalira odwdzięczając się za piękną jakąś historyą, uzyskawszy pozwolenie pańskie, opowiadał mu dumy starodawne o mogiłach i sokołach, o kuszących ramionach rusałek, o dzwonach samobijących, o dziewczynie przez upiora porwanéj i gdy odchodził spóźnioną godziną, całując rękę podaną łaskawie, nie raz na czole swojém uczuwał usta pańskie.

Nigdy jeszcze, jak dzisiaj, pan Starża nie czuł tak samotności swojéj. Z ludźmi widywał się rzadko, postępowaniem swojém i lodowatą obojętnością nie mógł pozyskać serca Anny, któréj wyrządzoną krzywdę czuł strasznie, tém straszniéj, że z ust obrażonéj śmiertelnie kobiety nie posłyszał nigdy jednego słowa skargi. Widywał ją tylko w kościele i to krótko, u Ornowskich nie bywał prawie, bo zdawało mu się, że powietrze, którém oddychała Anna wiało jakimś smutkiem milczącym, wilgocią łez, widzianych może tylko przez duże zwierciadło sali białéj.

Raz do roku, w dzień swych imienin szaleć chciał. Wydawał wtedy ucztę wielką, na którą towarzystwo się męzkie zbierało. Wino się lało strugami muzyka z galeryi biesiadniczy gwar powiększała. Płonęły światła w konchach alabastrowych, Starża uderzał w kielichy i pił, Wojtalira śpiewał pieśni miłośne — pan śmiał się i w puhary złote tokaj nalewał. Raz pierwszy od lat wielu a wielu, w niedawno ubiegły dzień swego patrona, zamarzył Starża bal wydać i sprosił towarzystwo płci obojéj. — Kto wie! — mówił do brytana — może to ostatni rok życia, ostatnia godzina szału rozstrojonego ducha! Ludzi-m nie krzywdził alem rodzone dziecko dla marnéj igraszki zaprzedał, poświęceniem jéj szczęścia okupił żywot lichy. Ekspijacya potrzebna bo może prędko pójść mi przyjdzie na sąd... Łza tylko jedna, jednéj ludzkiéj istoty na duszy mi leży— łza jedna! ale tak ciężka, że wszystkie morza ziemi całéj nie przeważą téj jednéj łzy dziecka!

I rozesłał gońce na wszystkie krańce świata, publiczném win wyznaniem i jękiem dużym stracone serce odzyskał, ale przeszłość nie wraca, nie zawierają się bóle serdeczne, nie wygładza się czoło bruzdami cierpień zorane!

Starża wiedział, że mąż Anny był zlepkiem pychy, samolubstwa i rozpusty, że odzyskując miłość córki nie mógł nawzajem powrócić zabranego jéj szczęścia. Więc przygnębiony był i smutny... ale nie! czoło się marszczyło jakąś myślą rozpaczną.

Dużemi krokami przemierzał po raz dziesiąty salę, ogień syczał i złote rozrzucał iskry, w progu stał Wojtalira, Karmeluk leżał na skórze tygrysiéj i od czasu do czasu, gdy płomień silniej wystrzeli, warczał, pokazując kły białe...

Pan Starża milczał — czasami tylko jakieś słowo dziwne z ust mu wyleciało, późniéj drugie, trzecie i czwarte i wyraz cały i całe się zdanie tworzyło.

— Miałżeby grzech jeden, błąd jeden — szeptał— tak mścić się okropnie? Miałażby wina jedna, jednego człowieka pociągać za sobą innych, choćby dusze aniołów, w przepaść zguby i hańby? Prawda! straszne bywają czasami pragnienia uczuć dławionych, żądze serc potrzebujących ciała i krwi, nie znikających mar snów gorączkowych! Ale jedna kropla z bagna rzucona w puhar czystéj wody zmąci ją całą. Późniéj brud osiądzie, woda się oczyści ale na dnie kielicha zawsze zobaczysz kał... Lekkie trącenie puharem a znów się kryształ wody zabrudzi i żaden filtr nie odcedzi go już, nie wróci pierwotnéj czystości. Drobne jego cząstki zostaną choć niewidzialne obcemu oku, ale woda ich obecność poczuje i dawnego nie znajdzie spokoju. A wina w tém? — znów moja!

Zamyślił się, stanął po środku sali i w czerwone płomienie ognia posępne rzucił źrenice....

Karmeluk zwrócił głowę i spojrzał w twarz milczącego pana. Czy odczuł smutek go trapiący? czy zatęsknił za pieszczotami chlebodajnéj ręki? podniósł się, strzepnął uszami i podchodząc do zamyślonego, wsparł się mu na pierś łapkami, skomląc i przytulając czarną do ramion głowę. Ale pan na pieszczoty ulubieńca nie zważał. Pies westchnął żałośnie i z wyrazem smutku w oczach na dawne powrócił miejsce.

Starża znów chodzić zaczął...

— Może męczę się napróżno! — mówił — może domysł jakiejś tajemnicy miłośnéj był igraszką myśli niestrojnéj, może to były słowa— o tak! na wiatr pisane, nie jéj ręką nawet!.. Latami wzrok mi osłabł, źle widziałem charakter pisma.

Wydobył list różowy...

— Jak fijołki pachną!—powiedział i zbliżył się do ognia.

Wygładził cienką kartkę papieru, odsunął od oczów i czytał:

„Jaskółki już powróciły.

Anna."

— Jéj pismo!—szepnął i schował pachnącą ćwiartkę w zanadrze zapiętéj czamary.

Starża kartkę tę znalazł rano, po uczcie balowéj, na kamiennéj ławce u krzyża Maryi.

Przeczytawszy list zgubiony, pokręcił białego wąsa i znów ruszył w podróż po pokoju...

Pan Starża był wielkim znawcą serc ludzkich. Z rzeczy nie raz małéj wyprowadzał wnioski wielkiéj wagi i nigdy prawie w domysłach się nie omylił. Słowa krótkie, skreślone ręką Anny, zapach nie zwietrzałych jeszcze fijołków, wionęły mu jakiémś tchnieniem miłosném, którego siły nie znając, poruszony był i niespokojny. Pan Starża czuł, że za winę swoję nie otrzymał jeszcze zasłużonéj kary, a cóż boleśniejszego być mogło nad myśl, że krew krwi jego, kość jego kości, może stać na drodze upadku a może kropla brudna w czysty zdrój wsączyła się już wody! Starża nie znał Anny, gdy była dzieckiem, nie zajmował się kształceniem jéj główki i serca; gdy w dziewczynę urosła, ogarnął go szał pijacki a oddawszy ją w ręce niskich instynktów człowieka, zbliżyć się do niéj nie śmiał.

Chodził więc krokami niespokojnemi, dźwigając myśl ciężką...

Zatrzymał się znów po środku sali, ręce na pierś założył i wlepił wzrok w ognisko.

— Karmeluk! — zawołał nagle — dla czego ty nie przychodzisz do mnie?

Pies skoczył, położył mu łapy na piersiach i skomlił radośnie. Pan Starża gładził lśniącą szerść zwierzęcia, miął długie uszy i do gorącéj swéj twarzy przytulał zimny nos brytana.

— Ty jeden tylko może mnie szczerze kochasz—powiedział...

— Prawda!— dodał po chwili — byłem dla ciebie lepszym niż...

Urwał i westchnął głęboko.

— A ja, panie? — odezwał się Wojtalira.

— Ty drugi, tak! tak!—dwóch mam przyjaciół—ciebie i psa!

Zbliżył się do ognia i wpadł raczéj niż siadł w fotel głęboki.

Wojtalira postąpił, wsparł się łokciem o brzeg wystający komina i zapatrzył się w twarz pana.

— Szoś sumujesz, pane mij!— odezwał się — nigdyś tak ciężko nie wzdychał jak dziś i tak długo a smutnie nie dumał! Czy jaka ci mara stanęła we śnie i dzień popsuła? czy domowik (1) figlów napłatał i humor ci skwasił? co to za licho złe i niespokojne?

— Nie odegnać go krzyżem, ni wodą święconą wykropić—odezwał się Starża.

— Czy tak tylko? — zagabnął kozak. — My się znamy na urokach i na ważności nieczystych sił. Wam z duszy drukowane książki wypędziły to, co przeczuwa i słyszy—nie słysząc i nie widząc—

---

(1) *Domowik* — zły duch, psotnik, gnieżdżący się w domach, czasem go można ująć, wtedy wszelkie spełnia usługi. Ukaże skarby w ziemi, nieprzyjaciela wykryje, przed zdradą zasłoni i t. p.

widzi. My jak bez zegarków dzień boży dłonią liczymy (1), tak i strach serdeczny bez przyłożenia ucha do boku zobaczym i wiemy co on wart! — A jak tobie panie? czy w sercu świdruje, czy tylko z wierzchu coś ciśnie i ciśnie jakby kto kamień jeden, ale duży, ale ciężki położył?

— Świdruje Wojtaliro! oh, świdruje! z ciężkiem westchnieniem powiedział Starża.

— Tfu! tfu!—splunął Wojtalira—siła nie czysta, ale całego nie zajęła serca—rana się zagoi. I jeżeli smûtek—to wichr go rozwieje, jeżeli choroba — to ją powietrze wilgotne wysmokcze, jeżeli dumka niespokojna — to echo kłamliwe na czarne bory zaniesie, bo trwożliwego serca to kłamstwo!.. Świdruje-to nie dusi, przedziurawi ale serca nie zmagluje. A które to z tych trzech, panie? czy smutek? czy choroba? czy dumka złota?.. A gdzie siedzi to licho? w sercu, piersiach czy w głowie?

— Tu!—odpowiedział Starża, uderzając dłonią po czole — i tu! i rękę położył na sercu.

Wojtalira postąpił do pana....

— Zasmuciło się serce, głowa dumkę wysnuła; mary splotły sen tylko ale dusza się struła. Héj! na bory, na wichry, jak jesienny liść suchy, z serca pana dobrego zlatujcie złe duchy! Zbiegnij chmurko zachodnia, w serce jasną rzuć rosę, to do Boga na ciebie długą skargę zaniosę! Błyśnij słońce w blask złoty, w głowę myśli rzuć jasne, bo ja piorun z chmur zdejmę i w twarz tobie nim trzasnę!... Chmura zlęknie się skargi, spuści rosę przejrzystą; słońce zgasnąć nie zechce i przyniesie myśl czystą. Héj! na wichry, na bory, jak jesienny liść suchy, z serca pana dobrego ulatajcie złe duchy! Świętym krzyżem i głosem w niebo jasne podjętym—złe odpędzam, was—dobre! wzywam krzyżem tym świętym!

Wojtalira umilkł; prawą rękę podniósł i robiąc duży znak krzyża, przeżegnał trzykrotnie pochylającą się głowę starego pana.

— Bodaj byś był nieomylnym znachorem, Wojtaliro! — rzekł pan Stanisław, kładąc dłoń szeroką na barkach sługi. Na złotym łańcuchu, ręką własną wyprowadziłbym araba z białą gwiazdą na czole i dałbym go ci jako dar za wróżbę dobrą... Ale nie....

---

(1) Sposób używany przez czumaków na stepie. Pół kulę nieba dzielą na dwanaście dłoni (12 godzin). Wiele dłoni od horyzontu wschodniego do tarczy słońca, tyle godzin słońce już na niebie. Wiele zostaje do zachodniego, tyle jeszcze jest godzin dnia. Jeżeli koniec wyciągniętéj przed siebie ręki jest prostopadłym do końca postaci całéj cienia rzuconego na ziemię—jest południe. Sposób wyborny! ledwo o minut kilka można się pomylić według kompasu.

Miał jeszcze coś mówić, lecz tętent pędzonego na gwałt konia przerwał myśl dobrego pana.

Podwórze zadudniało, szyby w oknach brzękły przeciągle. Karmeluk zerwał się na wszystkie łapy i szczeknął piersią całą aż powietrze klasnęło w czterech rogach posępnéj sali....

W drzwiach rozwartych z łoskotem stanął znajomy panu Starży goniec Ornowskiego....

— Co tam? — zapytał Starża trwożnym głosem, powstając szybko.

— Pan nagle zasłabł — odpowiedział przybyły.

Niezwykły pośpiech sługi i niespokojny wyraz twarzy kazały panu Starży czegoś więcéj się domyślać.

— Może... nie żyje?

— Dycha jeszcze, ale ciężko i chrapliwie. Znaleźliśmy pana hrabiego leżącego twarzą na ziemi z czołem skrwawioném. Jakiś papier walał się we krwi, który go musiał z nóg zwalić...

— Konia!—krzyknął pan Starża, ruszając się z miejsca.

Wojtalira wyszedł z rozkazem pańskim—Starża do swego udał się pokoju!

W minut kilkanaście zabrzęczały znów szyby czarnéj sali oddalających się pędem wielkim naglonych koni.

Zaległa cisza w komnatach Malinieckiego dworu. Na marmurowym kominie niepodsycany ogień przygasał, rzucając posępne światło na ciemne ściany komnaty i malowidła bóstw mitologicznych ozdabiające rogi sufitu. Ogień się palił nierównym płomieniem, przygasał to znów w blaski jaśniejsze wystrzelał, wprawiając w uludne drganie malowane nimf postacie. Strumień wody łechcący obnażone ciało Dyany zdawał się płynąć cicho wśród chylących się od lekkich zefirów traw i krzewów mirtowych. Nagie ramiona i piersi nieskazitelnéj bogini drżały trwogą, gniewem może, że śmiertelnika podpatrzyło ją oko, otaczające ją służebne wieńcem idealnych ciał, kołysać się zdawały na drżących lekko nurtach fal spokojnych. Magiczne światło dogorywającego ogniska przebiegało z miejsca na miejsce, niosąc życie i ruch milczącym tworom ducha malarza. Złoty róg Amaltei chwiał się cicho.... Psyche drżała miłośnie w objęciach lubych... Amorki w przejrzyste uderzały skrzydła.

Nie podziwiał malowniczéj piękności obrazów czarny brytan pana Stanisława Starży, który chodził samotny do koła dużéj sali, jakby dosnuwając przerwaną przędzę myśli swojego pana. Zatrzymywał się czasem, patrzał chwilę na płomień gasnącego ognia w kominie i znów poważnym krokiem robił krąg duży, ten wierny stróż

opuszczonego dworu, aż się znużył chodzeniem czy myślą może— podszedł do fotela, na którym niedawno spoczywał pan jego, zrazu usiadł na nim, rozglądając się do koła, późniéj olbrzymiem swojém ciałem jakieś tajemnicze koła zakreślił i westchnąwszy głośno, do snu się czujnego ułożył.

XXX.

Księżyc róg srebrny za ciemniejący na skłonie nieba daleko brzeg ziemi chował, noc cichą oświecały gwiazd smutnych blaski...

Drogą wiodącą do milczącéj siedziby Ornowskich pędziło trzech jeźdców na koniach spienionych. Na przedzie pomykał pan stary, wiatr siwe czesał mu włosy i wąsy białe, za nim pędziło dwóch w strojach kozackich.

Daleko—naprzeciw, pokazał się biały tuman kurzu. Głuchy huk towarzyszył rozwijającemu się w ogon komety kłębowi pyłu i urywany, dziki śmiech. Jeźdcy zbliżali się do sunącego szybko przedmiotu, tuman rósł, rozszerzał się i czkał śmiechem szatańskim. Pan stary naprzód się podał, głowę podniósł i oczy wytężył, dwaj pędzący za nim krzyż święty położyli na piersiach....

— Nieczysta siła! — rzekł jeden!

— Czort hece wyprawia i dłubi ziemię kopytem — odpowiedział drugi.

Znowu krzyż święty na piersi i ostroga w brzuch koniowi.

Huk się wzmagał, rósł wraz ze śmiechem, zamienił się w grzmot głuchy, słupem pyłu i piasku pędzącym jeźdcom w oczy plunął, przeleciał koło nich, minął i grzmiał czas jakiś za nimi niknącym turkotem i jąkaniem krztuszącego się śmiechem gardła.

Pan stary nie wstrzymywał konia, obrócił się tylko i rzekł:

— Wojtalira! a co to za licho drogę nam przebiegło?

— Wiedźma za mąż wychodzi a czort na jéj wesele pojechał— odpowiedział Wojtalira.

Znowu krzyż pański i ostroga w brzuch koniowi...

Panu Bonifacemu Piskale spazmatycznie krtań się kurczyła. Daremno chciał zapanować nad śmiechem wylatającym co chwila z warg rozwartych. Gdy go tłumił na krótko, jakieś skrzeczenie jak zgrzyt pocieranych garnków o siebie, rozdzierało mu gardło. Woźnica pana Bonifacego oglądał się co chwila z przestrachem, myśląc, że pan jego w przelocie duszę dyabelską idącą do piekła połknął i za późno rozpoznawszy złą siłę, daremnie się dławi i krztusi, chcąc nieczystego ducha wyrzucić. Oglądał się, żegnał,

i za każdym nagłym wybuchem spazmatycznego warczenia ponaglał konie do biegu. Na koniec pan Piskała się uspokoił. Maciéj myślał że dyabeł go zadławił, przeżegnał się krzyżem wielkim i — wiooo! wrzasnąwszy z całych piersi głosem okropnie przerażonym, pędem wichru, nie łowiąc czapki, którą wiatr zsunął, wpadł na pół przytomny na dziedziniec dworu dzierdzijowieckiego.

Maciéj na drugi dzień opowiadał, że czapka sama zlazła mu z głowy i widział naocznie jak „kucy“ do gardła pana Bonifacego pakował się.

— Niech ziemia się rozejdzie podemną! niech mnie grom z jasnego nieba zabije! Na krzyż pański i wszystkich świętych Ławry kijowskiéj! — klął się przed strwożonemi słuchaczami wsi niemal całéj, przysięgam, że taka prawda jak dziś dzień biały! Dyabeł sunął a my naprzeciw niego; pod sam nos mnie przeleciał, zawadził o lewe ucho paznogciem i możeby się na tém tylko z panem skończyło, ale pan ziewnął a dyabeł skorzystał i głową do gęby. Pan tędy, a on tamtędy. Cały pysk wsadził, trzymając się obydwoma łapami za jedyny ząb *naszoho* pana. Pan plunął a on się zaśmiał i daléj pakuje. Pan *Pyskała* rozdął policzki bo już cały brzuch dyabelski miał w gębie; zadławił się, zakrztusił i możeby co z tego było! ale czort piętą o podniebienie pańskie palnął i tą sztuką szatańską odepchnął się silnie i wpadł do wnętrzności.

Na świętą wodę Jordanu i chram Ławry peczerskiéj przysięgał.

Gromada słuchała niezwykłéj opowieści, ruszając głowami i psykając — i niejeden wygrzebał ze swojéj pamięci dziw podobny do tego....

Podjechawszy pod ganek i uwolniwszy się od niemiłéj obecności pana nadzianego szatanem, Maciéj pobiegł zaraz do karczmy opowiadać ludziom, nieopuszczającym nigdy tego przybytku wspólnych narad, żalów i zapomnienia, o smutnym, na własne oczy widzianym wypadku...

Chwiejący się, bliski prawie omdlenia, pan Bonifacy zbliżył się do drzwi domu. Chciał zapukać ale ledwie dotknął trzęsącą się dłonią klamki, drzwi cicho rozbiegły się na zawiasach. Pan Piskała spojrzał w dół, w górę, na lewo, na prawo, raz, drugi i trzeci, stojąc w progu zdziwiony a jakiś strach zimny ścisnął mu serce. W sieni było ciemno i głucho. Gdzieś w kątku mysz tylko gryzła okruchę twardego chleba, w dalekich pokojach świerszcz się odzywał, powietrze wiało pustką i chłodem wilgotnym.

Pan Piskała zrobił krok naprzód, szedł powoli jakby się bał natknąć na coś w dobrze znajomych sobie miejscach.

Coś zaszeleściało—to pies zlizywał rozlaną jakąś ciecz na ziemi... coś westchnęło i jakiś gardlany głos się odezwał, — to chrapał Florek.

Pan Piskała zapalił woskową zapałkę.

Mysz przestraszona nagłem błyśnięciem światła, zaszeleściała zostawionêm śmieciem gdzieś w kątku i skryła się w mały otwór podłogi, pies przestał chłeptać, usunął się bokiem i stuliwszy ogon, patrząc z pode łba na zjawiającego się nie w porę pana, cicho wymknął się przez drzwi otwarte; świerszcz tylko zgrzytał przeraźliwie.

Pan Bonifacy potarł czoło i obejrzał się w krąg sieni.

W kącie, na gołéj podłodze, z rozrzuconą na piersiach koszulą, spał Florek snem twardym, chrapiąc to nosem na przemiany świszcząc fałszywie—drzwi do dalszych pokojów stały otworem.

Panu Piskale w oczach pożółkło.... Myśl zrodziła obraz jakiegoś napadu—miał skarb ukryty pod podłogą -- może... złodzieje...

Myśl nie dosnuła strasznego końca.

Ostatnim wysiłkiem woli, drżąc jak w febrze, zbliżył się do śpiącego Florka i kopnął go w bok nogą...

Dziecko coś zaskomliło przez sen, podrapało miejsce bolące i obracając się na drugą stronę do snu się układło.

Pan Piskała kopnięcie powtórzył...

Chłopiec jęknął boleśnie i wyciągając ręce i nogi ziewnął szeroko.

Pan Bonifacy podwoił razy i nachylając się poświecił mu w oczy zapałką.

— Czy wstaniesz ty dzisiaj? — ochrypłym zawołał głosem.

Bolesne uderzenie, blask światła przybliżonego do oczów i głos tyrana, rozbudziły śpiącego.

Zerwał się z podłogi nieprzytomnemi wodząc oczyma i trąc bok zaczerwieniony.

— Co to takiego?—zapytał Piskała, pokazując palcem na drzwi otwarte.

— Pan przyjechał — wyjąkał nierozbudzony zupełnie malec.

— Wiem, gapiu! że przyjechałem—burknął pan Bonifacy uderzając po nosie dziecko — ale dla czego drzwi niepozamykane i te — i te?

Florek głupią zrobił minę nic nie umiejąc na to odpowiedzieć.

Czynność zamykania i zaszczepiania u góry i u dołu drzwi, odbywał zawsze malec za pomocą rusztowania ze stołów i stołków. I teraz go pamięć nie myliła. Włożony na siebie obowiązek wypełnił sumiennie, więc nie dziw, że nie mógł wytłómaczyć niebywałego jeszcze wypadku samootwierających się wrzeciądz.

Pan Piskała chwycił za długie włosy sierotę i potargał niemiłosiernie. Florek krzyknął boleśnie — echa milczących komnat odrzuciły krzyk dziecka....

Następnie zapalił łojówkę wprawioną w lichtarz złamany i każąc malcowi iść przed sobą, by w razie niespodzianego napadu mógł łatwiéj umknąć z placu, posunął się do pokoju pana Franciszka, chcąc wezwać do pomocy poważną broń w każdym razie i z nim razem odbyć rewizyą wszystkich podejrzanych zakątków, któreby mogły posłużyć za niezłe schronienie złoczyńcom.

Drzwi do pokoju pana Franciszka były, jak i inne, otwarte, żaden ruch, głos żaden nie zwiastował istoty żyjącéj. Pan Bonifacy zbliżył się do łóżka, ale na niem leżała pościel nietknięta. Obejrzał się... Ani barankowego kożuszka siostrzeńca, ani tłumoczka, który mu dał w przystępie dobrego humoru, ani strzelby wiszącéj zwykle na kołku — nie było.

Pan Piskała pokręcił głową i popychając naprzód Florka, skierował się do sypialni żony. Ale i tu równie cicho i pusto było. Szaragi wisiały u ścian opróżnione z sukień i spódnic, ani kufra okutego żelaznemi sztabkami, przedślubnego daru pana Piskały, ani pudełka z precyozami, daru już nie jego! nawet łóżeczko pani Magdaleny było ogołocone zupełnie z pościeli. Milczenie nieme na miejscu dawnych mieszkańców osiadło...

— Co za licho?... ee! — zawołał po chwili pan Bonifacy i palec wskazujący przyłożył do czoła.

Florek zdziwionemi rzucał oczami do koła próżnego pokoju.

— Mnie się zdaje, że pani z panicem uciekła— rzekł zwracając się do pana domu, stojącego nad próżném łożem swéj małżonki z palcem przytkniętym do czoła.

— Ta! ta! ta!—szeptał pan Piskała— machnęli!... No! to nic!— odezwał się po krótkim przestanku, żeby tylko dużo rzeczy nie pozabierali.

Zamyślił się....

— Ale któż mnie będzie kawę gotował, Florku?

Pokiwał głową długie załamując ręce...

— Dobre obwarzaneczki robiła z siekanemi migdałami na wierzchu!

Westchnął i głowę na pierś pochylił.

— No! zresztą na nic się ona mi nie przydawała. Miała apetyt dobry a to mnie kosztowało. Teraz, ja sam!.. kartoflanka! kaszka drobna bez masła i basta! Nie zła myśl im przyszła do głowy! Żeby tylko...

Obejrzał się bacznie wokoło.

— Za dużo...

Zajrzał do wszystkich czterech rogów sypialni Magdusi.

— Rzeczy nie pozabierali — dokończył szybko—i uspokojony, o ile mógł być uspokojony po dniu fatalnym, wyszedł z alkowy, odprawiając poziewającego Florka i dając rozkazy szczelnego okien i drzwi zamknięcia.

Niezgrabnym, wlokącym się krokiem małpy, wsunął się do sypialni. Postawił łojówkę na stole, opatrzył drzwi i okna, zasuwając szczelnie firankami, i rzucił się w podarty, poplamiony, świecący wyzierającemi z siedzenia kłakami, o dużych poręczach fotel.

Twarz jego i cała postać były do niepoznania zmienione. Na wpadniętém czole zmarszczki duże usiadły, twarz z boków pofałdowała się obrzydliwie, nos się wydłużył i z powitaniem spieszył do dolnéj wargi. Oczy rzucały jakiś blask idyotyczny, szczęka dolna obwisła trzęsła się nerwowo, ociekając z obydwóch stron kolczykami śliny pieniącéj. Patrzał przed siebie w jakiémś ogłupieniu bezmyślném.

— Dzierdzijówko! Dzierdzijówko moja! jakże mi ciebie paskudnie wydarto! Rzuciłem że jemu za to żar w piersi, prześwidrowałem serce na wylot aż do szpiku pacierzowéj kości!.. Pluskwa śmierdząca! stonoga obrzydła! tarantula kosmata!.. graf!.. pies! płód nieczysty w bagnach błot zgniłych wylęgły!..

Cmoknął, wciągając w usta płynącą pianę złości i mruczał daléj...

— Myślał, że z Piskały łachmaniarza zrobi; wisielec oderwany od szubienicy z wierzby suchéj! Myślał, że kiedyś spotka Bonifacego pod drzwiami kościoła z wyciągniętą ręką po datek lichy i rzuci łaskawie do głodnéj dłoni grosz kradziony! niedoczekanie twoje synu Lucypera z glisty ziemnéj zrodzony! Mam ja cacko złote jakiego byś i ty pozazdrościł, ty nasienie szarańczy zjadające owoc pracy cudzéj! Wystarczy mi jeszcze i na postawienie pałacu jak twój... i na jedwabiami łoże zasłane jak twoje, gdzie brzuch swój ropuszy, odęty plugawem powietrzem, kładziesz. Wystarczy mi, wystarczy i na brylantowy sznur dla ciebie, na dzień ostatni twojego żywota, kiedy się zechcesz obwiesić i duszę oddać Lucyperowi... Mięso zatruwającéj padliny wieprza! wrzodzie zgniły czarnéj zarazy!!

Sapał, oddychał chrypliwie, piana mu z ust biegła jak u psa wściekłego...

Wyjął z kieszeni fularową chustkę we wzorzyste desenie, otarł pot zimny, który mu czoło oblewał i opierając się obiema dłońmi o poręcz, powstał stękając z siedzenia.

— Bogactwo moje... tam! — rzekł wskazując ręką taflę podłogi pod piecem i oczy mu zajaśniały — tam miłość moja! i serce moje!.. i bóg mój!!..

Dobył z zanadrza kluczyka, wziął łojówkę do trzęsącéj się dłoni i zbliżył się do pieca. Pochylił się, dotknął ręką podłogi i opierając się pięścią o ziemię, ukląkł, szukając kluczem umykającego przed drżącemi palcami otworu. Nakoniec znalazł, pokręcił raz, drugi, odważył wieko i wzrok płomienny w głąb zapuścił...

Nagle jęknął, jakby go coś w piersiach zdławiło, oczy krwawą zaszły powłoką, wyprężył się, drgnął strasznie... i wrzasnął jak szatan, waląc się czołem w proch ziemi...

Bóg jego do innego przeniósł się nieba. Otwór czarną pustką świecił.

W niewielkim pokoju, którego ściany, miękką tkaniną błękitnego jedwabiu obite, świeciły haftem pelowym róż białych i węzłów rycerskich, na łożu, otoczoném girlandą srebrnych dębowych liści, leżał chory hrabia Tytus Ornowski. Twarz miał zapadłą, czarne oczy z jam głębokich, dogasającego zda się życia, świeciły blaskiem; lewą rękę trzymał na piersi, prawa bezwładnie obwisła na jedwabnéj pościeli. Pierś jego podnosiła się ciężkim oddechem; w głuchéj ciszy milczącéj komnaty rozchodził się przykro stuk serca.

Przyszedłszy do siebie po straszliwym upadku, który mu szramę dużą zostawił na czole, nie pozwolił nikomu, prócz Anny, zbliżać się do siebie. Anna nieodstępowała prawie chorego, obwiązywała czoło rozbite, orzeźwiające krople wlewała w usta. Jeżeli czuł się spragnionym lub potrzebował posiłku, nie chciał go przyjąć z rąk niczyich. Gdy sługa mówił, że pani nie było, „to umrę z głodu“—odpowiadał, twarz odwracając i omdlałym ruchem ręki dając mu rozkaz wyjścia. Anna własną dłonią karmiła go i poiła. Czasem kazał ją ze snu budzić, więc wstawała i kładąc biały kaszmirowy szlafroczek na siebie szła do sypialni męża.

— Wołałeś mnie? — pytała.

— Chciałem popatrzyć na ciebie — odpowiadał głosem słabym i dłoni jéj dotykał, patrząc otwartemi oczami w twarz pięknéj.

Ale bywały chwile dziwnego niepokoju, wtedy prosił, żeby go zostawiono samego. Oczy zapalały się blaskiem niezwykłym, rumieniec granatowy, duże plamy raczéj, na twarz wybiegał. Rzucał się na łożu szerokiém, dławiąc jęk rwący się z piersi...

— Na co mi ołowiu roztopionego w pierś nalali? ze wszystkich bogactw odarli? — mówił urywanym głosem jakby go płacz dusił,

i chciał powstawać ale słabe dłonie nie utrzymywały ociężałego ciała, łamały się... i hrabia z westchnieniem głuchém znowu opadał na łoże.

W noc głęboką słyszano czasami krzyk głośny biegnący z sypialni pana. Strwożeni słudzy do drzwi się zbliżali, przytykali uszy do hebanowych podwojów lub czoło przytulając, patrzyli przez otwór zamku w głąb oświetloną bladym połyskiem lampy.

— Nic... nic!— szeptał chory— żadnéj myśli zdrowéj z własnego nie wywinąłem mózgu! żadnéj miłości nie wysnułem z serca! Pożyczone miałem wszystko, od szaty naramiennéj do dumy—z zasług nie swoich! Nie będąc potomkiem tych wielkich — com wart?.. Zgasło słońce ogromne, co oświecało twarz księżyca i księżyc nie wydał blasku, w błoto się zmienił i proch!.. Bądź świętojańskim robakiem pełznącym cicho w trawach maluczkich, bądź gwiazdą spadającą, którą rzuciły precz wichry przeciwne, lecz własnym blaskiem świeć!.. Z czasem oko zabłąkanego wędrowca zobaczy owad mały, ludzka twarz się nachyli, usta szepną: do koła noc... on jeden maluczki — świeci!... Wzrok mędrca przebiegając błękity zobaczy gwiazdę spadającą i mędrzec powie: ciemne siły strąciły ją bo wzrok ich raziła—ona porzuciła niebo jasne lecz nie stłumiła blasku swojego... Nie bądź podobny do światła fioletowego, które zdala przejmuje trwogą nieśmiałych. Znajdzie się duch ciekawy, przystąpi do odpychającego widma, przypatrzy się mu i powie: — to próchno!

I jakiś płacz wybuchał z piersi chorego i Anna nieraz widziała, że miał oczy od łez czerwone.

W dni kilka po okropnym wypadku hrabia zażądał spowiedzi i sakramentów. Wezwany ksiądz Atanazy przyjechał natychmiast; głos dzwonka rozlegający się w milczących pokojach oznajmiał tajemnicę przybycia Boga.

Hrabia kazał przywołać Annę...

Anna weszła do pokoju cicho.

Blada twarz Ornowskiego lekkim oblała się rumieńcem, załzawione oczy cichym spokojem spojrzały. Patrzał na stojącą przed sobą, w pełni wdzięków rozkwitającéj młodości kobietę, któréj nie umiał szanować, i drżącą rękę wyciągnął po dłoń białą.

— Straciłem niebo na ziemi—wyszeptał—oby mi tam je dano!..

Przytulił rękę Anny do warg drgających i dwie łzy duże spłynęły mu po licach.

— Przebacz mi!.. bo wspomnienie gniewu twojego nie opuści mnie i w nocy grobu, wieko trumny straszną myśl zamknie wraz z ciałem na mękę pamięci... Anno! dobra! piękna! nieszczęśliwa przeze mnie!..

Dobra i piękna schyliła się nad duchem upadłym, bliskim rozwiązania strasznéj zagadki śmierci i położyła na czole zimnem pierwszy i ostatni pocałunek.

Ksiądz zbliżył się do łoża, nachylając ucho do przyjęcia win ciężkich. Anna opuściła pokój chorego.

Hrabia Ornowski jednał się z Bogiem Miłosierdzia i Prawdy, poczém jakby kamień wielki spadł z piersi jego, owiała go cisza spokoju, smutna rezygnacya na podróż daleką w niepewną przyszłość.

Upłynęło jeszcze dni kilka. Hrabia poweselał, nabierał sił i zdrowia. Czasem wesołość jego przybierała wyraz lekkiego obłąkania, zamieniając się nagle w dumanie posępne jakby myśl trąciła o smutne chwil ubiegłych wspomnienia.

Pan Starża, od dnia swojego przybycia, nie opuszczał Mrugotyńskiego pałacu. Tajemnica choroby hrabiego nie była mu wiadomą, bo będąc w posiadaniu listów zostawionych przez pana Bonifacego, oddałem je wszystkie na auto-da-fe. W czasie swojéj bytności w Mrugotynie dni niemal całe przepędzał ze mną w ogrodzie, bo deszcz tylko lub wielkie zimno zmuszały go do ukrywania się pod dach dławiącego, jak mówił, powietrza. Rozmawialiśmy z sobą dużo a najczęściéj przedmiotem rozmów naszych była Anna, w któréj pan Stanisław co raz nowe a niedojrzane przedtém zalety i piękności znajdywał.

— Lat dwadzieścia dwa byłem ślepy — powtarzał — w ciągu tych lat dwudziestu dwóch dobrowolnie pozbawiłem siebie jéj pieszczot i serca. Ślepota jest straszną chorobą gdy kataraktą na duszę padnie.

Anna dotrzymywała nam najczęściéj towarzystwa i pan Starża, jakby chcąc nagrodzić sobie to pozbawienie jéj pieszczot i serca, tulił ją, całował, zachwycał się kolorem jéj włosów, świeżością ust, do których często swoje czoło przykładał szepcąc:

— Pocałuj to czoło, Anno, które kląć powinnaś. Pocałunek twój jak rozgrzeszenie kapłana do nieba mi drogę otwiera, bo ty jedna zamknąć mi ją lub otworzyć możesz.

I patrzał jéj w oczy i uderzał się w czoło...

— Lat tyle być tak ślepym! to nie do darowania!...

— Patrz, panie Adamie! — mówił gdy odchodził — jakie jéj ruchy wdzięczne! jak ona chodzi lekko, płynąć się zdaje, jednéj trawki nie ugnie swą stopką!

I brał mnie za rękę i nie wypuszczając długo z uścisku, to zapadał w głębokie zamyślenie, to mi opowiadał o wróżbie Wojtaliry, o myślach dręczących, co mu zatruwały dni ostatek.

Zwykle siadywałem z panem Starżą na kamiennéj ławce pod lipą, zkąd gmach pałacu, na niewielkiém postawiony wzgórku, malowniczo się przedstawiał.

Przed balkonem od strony parku rozciągał się piękny gazon, okolony rozrzuconemi umiejętnie kląbami drzew i krzewów kwitnących róż i jaśminów. Lewą stronę gazonu otaczał las świerków i jodeł, pod których rozłożystemi konarami wilgotny wiecznie cień panował. Czasem tylko wązka struga blasku słonecznego zabłądziła między pnie olbrzymie, czasem blade światło księżyca wkradało się między zwieszone smutnych drzew gałęzie, fantastycznie oświecając przestrzeń lasu, łamiąc cienie w kształty dziwaczne i nadając niewysłowiony urok temu posępnemu zawsze i pełnemu tajemniczéj poezyi zakątkowi. Prawą stronę gazonu otaczał piękném półkolem istny wieniec kwiatów i krzewów podzwrotnikowego nieba, które w zimowych miesiącach tuliły się w obszernych murach pałacu, ogrzewane sztuczném kaloryferów ciepłem i spotęgowanemi promieniami osłabionego słońca. Gładka szyba jeziora z nieustannie szumiącą fontanną po środku, któréj strumień brylantującéj się wody wyrzucał z misternie wyrzeźbionéj konchy spiżowy Tryton, wzdętą piersią i monstrualnie nabrzmiałemi policzkami—podmywała granitową ścianę gmachu, uderzając o jego mury z jakimś cichym płaczem i jękiem. Za jeziorem rozciągała się gładka, zieloną murawą pokryta równina, na któréj rozrzucone gdzie niegdzie grupy bzów, brzóz białych, świerków, lip i kolumny topól — patrzyły niewypowiedzianym wdziękiem, rzucając długie cienie na szmaragdowy kobierzec traw. Daléj wzrok bujał swobodnie w niezamąconéj niczém przestrzeni, na tle któréj rysowały się wstęgi lasów dalekich; bliżéj, na łagodnie pochyloném wzgórzu, wioska ze swemi sadami, białemi jak puch łabędzi chatami, nad któremi wznosiły się domy boże: trzykopulasta cerkiew i lekka wieżyczka kościoła katolickiego.

Był-to dzień trzeci choroby hrabiego. Słońce już zaszło dawno, zostawiając ognisty pas tylko na skłonie nieba. Na ławie pod lipą siedziałem z panem Starżą przypatrując się pięknemu krajobrazowi, oświetlonemu dogorywającemi już blaskami zachodu. Anna z pochyloną głową ku piersi, chodziła aleją lipową.

Wieczór był cichy, niebo czyste, jednostajny wiatr przebiegał górą, pochylając lekko konary drzew. Słowik się odezwał jeden, drugi, i w pół śpiewu umilkł. Dzięcioł tylko gdzieś stukał i nietoperze fantastyczne koła rysowały w powietrzu. W państwie ptaków zapanowała cisza —nawet gwarliwe zwykle żaby milczały i ko-

mary nie dzwoniły w szklanne skrzydła swoje. Była to chwila jakiejś modlitwy przyrody całéj—wiatr tylko uroczyście szumiał i przykro zgrzytała żelazna chorągiewka na dachu wieżycy.

Mrok zapadał—w salach pałacu nie zapalono jeszcze świateł, w jedném tylko oknie na piętrze gdzie leżał chory świecił blady, migocący się płomień lampki.

Posępny wieczór nie usposabiał nas do gawędki—monotonny szmer wiatru i pisk chorągiewki, nie rozpędzały tęsknego duszy nastroju. Pan Starża wodził oczyma za przechadzającą się w milczeniu Anną, w czém oczywiście dotrzymywałem mu towarzystwa.

Właśnie Anna zbliżała się do nas, gdy nagle, spojrzawszy na pałac wstrzymała kroku.

— Co ci, Anno? zapytał Starża, widząc nieruchomie wpatrzoną w jakiś przedmiot daleki.

— Dziwnie jasnym płomieniem zaświeciło okno gabinetu Tytusa jakby lampka tam paląca się ostatni rzuciła blask i zagasła.

Spojrzeliśmy na pałac.

Jedyne światło jakie gorzało w pokoju hrabiego musiało przygasnąć—ciemność rozlała się do koła, tylko wiatr gwałtowniéj zahuczał i zgrzytliwiéj zapiszczała chorągiewka na dachu.

— Panie Adamie! odezwała się Anna—podaj mi rękę, sama boję się iść do pałacu.

Podałem ramię Annie i udaliśmy się do chorego.

Wziąwszy świecę palącą się w przedpokoju, weszliśmy do gabinetu hrabiego.

Mała lampka stojąca w rogu komnaty, dogasającym migotała płomykiem—hrabia Tytus leżał spokojnie, trzymając ręce skrzyżowane na piersi.

Anna zbliżyła się do łoża.

— Tytusie!.. szepnęła zcicha—i kładąc rękę na czole męża, lekko krzyknęła.

Czoło było zimne jak lód.

Na jedwabnéj pościeli leżał blady trup Ornowskiego.

XXXII.

Wieść o śmierci hrabiego Tytusa rozbiegła się szybko po całéj prowincyi—telegramy zaniosły ją do najdalszych zakątków kraju, wzywając znajomych i krewnych na smutną uroczystość pogrzebu. Najśpieszniéj przybyli spadkobiercy hrabiego po kądzieli.

Dzień był pochmurny—wicher dął z całéj siły. Dzwon z wieżycy kościelnéj jękiem długim huczał w powietrzu.

Ponury orszak z murów świątyni wychodził na cmentarz, pośrodku którego, w otoczeniu drzew iglastych, widniała kaplica, gdzie spoczywały zwłoki wszystkich przodków hrabiego.

Szeregiem wyciągniętym szły chorągwie, borykając się z wichrem gwałtownym, co miotał niemi niemiłosiernie i słupami pyłu na idących uderzał—na przodzie świecil krzyż srebrny z rozpiętym Chrystusem, daléj posuwały się roje księży z pieśnią żałobną, za nimi wóz czarny ciągniony przez sześć koni okrytych czarnemi kapami, na nim trumna brązowa z wypukłorzeźby dębowych liści i herbem złamanym na wierzchu. Za trumną liczni znajomi i krewni nieboszczyka postępowali w takt marszu, który wykonywała huczna orkiestra z dętych instrumentów złożona.

W téj pieśni żałobnéj, szumie wichrów, szelestach jedwabnych chorągwi, przy ołowianych chmurach okrywających niebo całe—coś gnębiącego było.

Nie chciałbym nigdy odchodzić do grobu z taką okropną powagą, któréj towarzyszyła pycha zimna nie łza serdecznego żalu. Jedna tylko Anna, w sukni czarnéj bez białéj obszewki u dołu, szła w poważném milczeniu. Piękne jéj czoło zmarszczyła bruzda myśli głębokiéj, usta poruszały się modlitwą. Reszta gości smutnego obrzędu była zajęta jakąś rozmową, niejedne usta nawet śmiech krzywił, szeptano sobie nowiny, treść których nie koniecznie właściwą była chwili obecnéj.

Orszak pogrzebowy wszedł na cmentarz—otworzyły się podwoje kaplicy wiodącéj do grobów.

Mowę pogrzebową miał jakiś prałat, bo ksiądz Atanazy wymówił się od tego ciężkiego obowiązku, pamiętając że: *de mortuis aut veritas aut nihil.* Prawdy nie mógł powiedziéć, więc wolał milczyć.

Mowa, którą wygłosił dostojnik kościoła, była długa i przepełniona pochwalami zmarłego. Prałat mówił o licznych zasługach, których szczegółowo nie wyliczał jakoś—o wielkiéj pobożności hrabiego, o jego nieposzlakowanéj zacności, o wielkiéj stracie jaką w nim ludzkość cała poniosła, czego najlepszym dowodem miał być żal głęboki, który na twarzach obecnych się przejawiał.

Spojrzałem na otaczających mówcę.

Połowa słuchaczów ziewała, druga połowa nie miała wprawy do odegrywania komedyi smutku. Westchnienia za ciężkie, szybki ruch powiekami dla zdławienia łez nie pojawiających się—były jedyną oznaką chęci wzbudzenia owego żalu.

Mowę zakończył zwrót do pozostałéj żony hrabiego, żeby nie oddawała się rozpaczy i boleści nieutulonéj i słowa pociechy, że w wieczności znowu z ukochanym małżonkiem się połączy.

Trwożne drgnięcie Anny było najlepszą odpowiedzią na myśl powtórnego połączenia się.

Trumnę złożono w porfirowym grobowcu, na którym późniéj skromny wyryto napis wymieniający tylko nazwisko, rok urodzenia i śmierci hrabiego.

Ułożenie napisu rodzina Ornowskiego zostawiła Annie jako żonie, która żal swój najlepiéj okazać potrafi.

Goście przybyli ze stron dalszych bawili dni kilka jeszcze w Mrugotynie. Rodzina tylko nieboszczyka została na czas dłuższy zajęta odebraniem na siebie pięknego spadku, jaki im po śmierci ostatniego z rodu, przypadał. Nie mam potrzeby mówić, że Anna nie przyjęła przypisanéj prawem części fortuny męża, co w zachwyt wprowadziło spadkobierców po kądzieli. Uważając siebie za małżonkę hrabiego, tylko z formy nie z ducha, będąc żoną jego z nazwiska tylko—nie rościła do niczego prawa. Prócz kilku wazonów z kwiatami sadzonych swoją ręką, nie wzięła najmniejszego cacka, słowem nic, coby mogło przypomnieć jéj życie dawne. Z przeszłością chciała zerwać zupełnie. Z niecierpliwością oczekiwała wyjazdu gości, żeby módz jak najprędzéj opuścić ściany Mrugotyńskiego pałacu.

Nareszcie pożądana chwila nadeszła.

Powozy pana Starży zaszły przed ganek—i Anna powróciła do dawnéj siedziby swojéj.

Posępny dwór Maliniecki ożywił się przybyciem drogiego gościa. Starża rozpłakał się z radości, witając córkę przestępującą znowu próg jego domu, zdawało się, że mu lat dwadzieścia wróciło, zmarszczki zniknęły z czoła i usta zapomnianém dawno weselem się śmiały. Ksiądz Atanazy dom poświęcił, wypędzając złe duchy jak mówił Wojtalira. Był niezwykle poważny i smutny.

— Nie dziw się smutkowi mojemu—mówił do mnie—od lat trzech raz pierwszy przestąpiłem próg tego domu. Wspomnienia dawne całą siłą wtłoczyły się do duszy i echa komnat odżyły i odzywają się do mnie głosem uroczym—wiesz czyim!..

Chodziliśmy z księdzem Atanazym po balkonie otoczonym splotami dzikiego winogradu.

— Tutaj—mówił kapłan—czytaliśmy z nią razem... Tutaj—pamiętam!.. tak samo jak teraz słońce czerwone rzucało promienie i twarz jéj oblało. Spojrzałem na nią—i musiałem wzrok opuścić

na książkę i serce dłonią przycisnąć. Były to narodziny miłości— wiecznéj jak Bóg!.. Ty sam ją kochasz—przebaczysz więc łatwo smutek mój!..

Objął moję głowę drżącemi rękami i całując w czoło, dodał:

— Kochaj ją! bądź dobrym dla niéj—a uszczęśliwisz i mnie!

W dzień przybycia Anny zeszła się niemal wieś cała z powitaniem pani dobréj. Rówiennice i towarzyszki dawne zabaw jéj i wycieczek w lasy samotne, otoczyły ją wieńcami polnych kwiatów i ziół, jak to robiły niegdyś, i całowały ręce „panienki“ otrzymując dary pocałunków, które na czoło im kładła. Starża przyjmował starców przynoszących chléb i sól—Anna swobodna, wesoła ugaszczała dziewczęta wiejskie.

Były to zrękowiny ze zmartwych powstałem szczęściem.

Jakkolwiek wiedziałem, że pan Feliks niecierpliwie oczekiwał mojego powrotu, zatrzymywany przez pana Stanisława i Annę, nie mogłem opuścić gościnnego ich domu. Parę tygodni minęło jak chwila jedna, jak jedno marzenie o szczęściu, które niezakłócone już niczém schylało się do nas...

Było to wieczorem.

W czarnéj sali, koło płonącego jak zawsze, siedzieliśmy ognia. Anna miała na sobie suknię lilową i nieodstępny na szyi sznur pereł. Pan Starża chodził wzdłuż pokoju z towarzyszącym mu Karmelukiem—zatrzymywał się czasem koło nas, na koniec wyjmując z zanadrza kawał różowego papieru, zbliżył się do Anny.

— Zapomniałem ciebie o jedną rzecz zapytać, Anno. Po ostatnim balu w Malińcach, znalazłem koło krzyża w ogrodzie ten list. Pismo twoje—tak?

I podał różowy papiér Annie.

Anna spojrzała na podany przedmiot i rumieniec oblał twarz jéj całą.

— Tak—ojcze! odpowiedziała—to mój list—mój list, pisany do pana Adama.

— Dla czego ty się zarumieniłaś, Anno? zapytał Starża.

— Mówią ojcze—odrzekła—że zwykle rumienią się ci co kochają...

Wzięła mnie za rękę.

— Panie Adamie! dla czego ty nic nie mówisz? czy mnie już nie kochasz?...

Przytuliłem jéj rękę do piersi.

— Czy ciebie kocham? Anno moja!—skarbie mojego życia!

Pochyliliśmy się do nóg Starży.

Starża zapłakał jak dziecko—drżące dłonie położył nam na czołach—łzy z oczów, z ust słowa błogosławieństwa biegły.

— Jedź, panie Adamie, do ojca i powiedz mu, że Starża za dni parę będzie u niego.

XXXIII.

Tegoż wieczora wyjechałem z Maliniec, śpiesząc z pożądaną wiadomością do pana Feliksa.

Przejeżdżając przez Dzierdzijówkę, zauważyłem okropną pustkę w domu pana Piskały. Drzwi były pootwierane, szyby w oknach pobite, burza pół dachu zdarła, który nagiemi świecił krokwiami—wszystko patrzyło opuszczeniem i ruiną. Niezamącona niczém, panowała cisza, psy nawet, niekarmione już ręką niczyją, opuściły zagładzie czasu oddane mieszkanie.

Noc była miesięczna—księżyc smutnym blaskiem oblewał pustkowie. Ponury jęk puszczyka, który objął w posiadanie mury opróżnionego domu, przykro rozchodził się w powietrzu.

Nagle—coś zaskomliło, jakieś żyjątko poruszyło się w ganku opustoszałego dworu i cień długi zarysował się na ścianie.

Kazałem Piotrusiowi zatrzymać konie i wysiadając z powozu podszedłem do ruszającego się przedmiotu.

Był to Florek—jedyny stróż osamotnionego domu. Siedział przytulony do muru, nagi prawie—twarz miał zapadłą, oczy wsunięte głęboko świeciły ledwie.

— Florku! zawołałem, zbliżając się do dziecka.

Chłopak podniósł się leniwo, stękając, i wpatrzył się we mnie nieprzytomnemi oczami.

— Gdzie pan? zapytałem.

— Zwarjował—odpowiedziało dziecko—kopał jamki, zbierał liście suche i chował je do wydrapanych palcami dołków, zasypując ziemią. Jeżeli kto się zbliżał, krzyczał okropnie, zasłaniając łachmaném podartego surduta uzbierane listki, jakby to było złoto. W pokoju pana znaleziono kawał podłogi pod piecem wyjęty. Tam musiało coś być—złodzieje wykradli—i pan zwaryował. Później przyszli ludzie jacyś, wzięli pana na sznurek bo iść niechciał, i poprowadzili—het precz—daleko! Pana poprowadzili... ja sam zostałem... sierota!..

Załkał głośno.

— Czy tobie żal twojego pana, że płaczesz?

— Żal—jęknęło dziecko. Bił i dobrze bił, ale choć chleba dał kawałek!.. Teraz z głodu przyjdzie umrzéć—wszyscy odpychają

mnie mówiąc że mama była wiedźma, ojcem cygan a bezpięty (1) do chrztu trzymał...

Łzy polały się z oczów biedaka, zakrył twarz podartym łachmankiem i płakał strasznie.

Przesąd naszego ludu zamknął przed sierotą najlepsze serca nawet.

— Florku! rzekłem wzruszony—a pojedziesz ty ze mną?

Chłopiec podniósł głowę i jakby nie zrozumiał pytania idiotycznemi spojrzał na mnie oczyma.

— Będziesz służył u mnie—dam ci ciepłą strawę i ładne ubranie, ładniejsze niż ci pan Piskała dawał.

— Pan... mnie... chce wziąć?.. zapytał i oczy mu błysły radośnie.

— Siadaj ze mną—pojedziemy razem! rzekłem, gładząc długie włosy dziecka.

Biedak od dni kilku nic nie jadł. Zajechałem do karczmy i kupiłem malcowi pożywienie, które z żarłocznością dzikiego zwierzątka spożył.

— Dobry pan! mówili znajdujący się w karczmie włościanie, przyjął dziecko wiedźmy staréj, żeby go tylko zło jakie nie spotkało!

Słońce jeszcze niezupełnie z rannéj mgły się otrząsło, gdy wjechałem w bramę dziedzińca swojego domu.

Pan Feliks, który każdego dnia mnie oczekiwał, widząc zdaleka kłęby pyłu toczącego się po drodze i będąc pewnym mojego na koniec powrotu—wyszedł na ganek.

Kiedym wysiadał z powozu i zbliżył się do ucałowania ręki ojcowskiéj, widziałem, że miał brwi groźnie ściągnięte.

— A co to waćpan—zawołał umykając rękę za komedye wyprawiasz—hę?

Spojrzałem na ojca zadziwionemi oczami.

— Nie rozumiem ciebie, ojcze?

— Oczekiwałem waćpana z piękną kobiétą a waść jakieś dziecko cygańskie przywiozłeś! rzekł, pokazując stojącego na uboczu i trzęsącego się Florka.

Zaśmiał się.

— Uspokuj się, mój drogi ojcze! wszystko się dobrze splątało choć byłem świadkiem strasznéj tragedyi. Chodźmy do twego gabinetu—opowiem ci rzecz całą.

---

(1) Bezpiatyj—tak lud ukraiński nazywa diabla.

Rozkazawszy pani Walentynie, żeby Florka natychmiast przebrała i nakarmiła—udałem się z ojcem do jego sypialni, opowiadając mu wyżéj opisane sceny. Pan Feliks słuchał z zajęciem ale nie weselał—gdym skończył przeszedł się niecierpliwie po pokoju i targając siwego wąsa, odezwał się:

— To źle! to bardzo źle! rzeczy wzięły obrót wcale dla mnie niepomyślny.

— Dla czego? spytałem zdziwiony.

— Dla czego? . Ja tak ślicznie marzyłem w czasie nieobecności waścinéj. Zdawało mi się, żem ciebie widział unoszącego tę czarodziejkę—późniéj, że się o tém Starża dowiedział i wściekł się i wpadł do mnie, wołając: Panie Feliksie! syn waści dziecko mi ukradł! panie Feliksie! syn waści jest nikczemnikiem!.. A ja go wzrokiem przeszyłem i zamknąłem mu usta słowami. Czy lepszym, panie Starżo byłeś? tyś mi żonę—on córkę ci porwał, z tą tylko różnicą, żeś ty ją i mnie unieszczęśliwił—on dziecku twojemu raj stworzył! Syn mój szlachetniéj zemścił się niż ty!... A teraz—dodał po chwili—wszystko przepadło!.. żadnego już figla panu Starży wypłatać nie można.

I znowu zaczął chodzić niespokojnie.

— Prawda, mój ojcze, że figiel przepadł, ale nie przepadło szczęście nasze. Pan Starża po jutrze odwiedzi ciebie.

Ojciec zatrzymał się nagle—pokraśniał i pianą zaszły mu usta.

— On!.. u mnie? tu!.. Starża u mnie?! Czy waćpan oszalałeś?... Toż ściany się tego domu poruszą i nas swojemi zasypią gruzami!!.. Starża tu! u mnie?.. cha! cha! cha!.. Czy chce żeby się ziemia rozpadła pod nim?..

Chodził szybko i śmiał się...

— Ojcze drogi! rzekłem ujmując dłoń jego—nie mąć gniewem niesłusznym zbliżającego się szczęścia. Starża pierwszy ci dłoń zgody podaje—i—ojcze! w progi twojego domu wejdzie—Anna!

Pan Feliks stanął—ściągnięte brwi rozsuwały się powoli, oczy łagodny blask rzuciły.

— Anna! szepnął cicho i westchnął głęboko—Anna! powtórzył. Dla niéj duszę bym oddał Lucyperowi i w dom swój zaprosił—no! to i Starżę przyjmę!..

— Ojcze mój! rzekłem—nie daj mu uczuć tylko swojego gniewu i żalu.

— Panie Adamie! zawołał pan Feliks opryskliwie—nie waćpanu mnie uczyć gościnności dawnéj, o któréj wy już pojęcia nie macie. Wyście już zapomnieli, że gość w dom—Bóg w dom!

Pan Feliks był—czemu się nie sprzeciwiałem—za przyśpieszeniem o ile można dnia wesela.

— Bo widzisz waćpan—mówił—staremu jedną godzinę przeżyć, to już dar Pana Boga.

Wiadomość o mojém ożenieniu się napełniła niewypowiedzianém weselem dom cały. Wojciech skakał z *rajdości*, że byłem niespokojny o jego stan umysłowy—pani Walentyna obiecywała młodą panią nauczyć nowego sposobu przyprawienia salcesonów a reszta czeladzi z kucharzem na czele udała się do Arona za moje pić zdrowie. Nie mogłem zabronić téj wesołości, która z najszczerszych pochodziła pobudek. O sobie nic nie mówię—do cichego mojego domku miała wejść Anna—to dosyć!

Tegoż samego wieczora przyjechał do mnie Leoś i, jak zawsze, z okrzykiem radości rzucił mi się w ramiona.

— Cóż, panie Adamku! jedziesz do bieguna północnego—odezwał się—czy nie?

Nie wiedziałem sam co odpowiedzieć—chłopak śmiał się do rozpuku.

— Możesz już jechać spokojnie—zawołał.

— Jakto spokojnie?

— Jagusia przyrzekła najsolenniéj czekać na ciebie lat piętnaście...

Ręce mi opadły i czułem, że mi się niedobrze robiło.

— Ale co to córka adwokata—paplał wyrostek—na wszelki wypadek, jeżelibyś, panie Adamku, złamał przyrzeczenie—zaręczyła się z panem Trumbińskim.

— A bodaj byś... zawołałem uradowany.

— Cha! cha! cha! a już myślałeś, panie Adamku, ża ci sądzono być braciszkiem takiego jak ja warjata.

Ucałował mnie serdecznie.

— Co to gadać! dla niéj, choć to moja siostrunia—szkoda ciebie! Pan Trumbiński w sam raz dobry na małżonka dla Jagusi. Żebyś ty widział, panie Adamku, jak oni ślicznie gadają z sobą. On—ani słowa nie mówi, tylko przykrzywiwszy nieco główkę zerka bokiem, a moja Jadzia—także nic nie mówi, tylko w sucharku dziurki dłubie. Tatusiowi żal trochę ciebie bo mama, po ostatniéj awanturze, ustatkowała się jakoś i z pana Baltazara rada, jak by kto jéj zrobił prezent z masła niesolonego... A teraz do rzeczy. Zaledwiem wpadł na dziedziniec, Piotruś mi powiedział, że się żenisz z panią po Ornowskim—czy tak?

Nie zaprzeczyłem.

— Pamiętajże, panie Adamku, i mnie prosić na wesele, bo wy-

zwę cię na pojedynek zaraz na drugi dzień po ślubie i zabiję—to oczywista!

Leoś otrzymał zaprosiny i uszczęśliwiony udał się wraz ze mną na spoczynek, myśląc o jutrzejszém polowaniu na sroki.

XXXIV.

Nadszedł dzień przybycia pana Starży. Pan Feliks z pewnym niepokojem oczekiwał dawno niewidzianego gościa. Od lat dwudziestu kilku unikali wszelkiego spotkania się z sobą, na zjazdach obywatelskich nawet dowiadywali się wprzódy o sobie i najczęściéj, z obawy przypadkowego zobaczenia się, siedzieli w domach. Dziś zbliżał ich tylko nadzwyczajny wypadek.

Pan Starża czuł, że wiele był winien Annie. Mimo wewnętrznego może uporu, nie chciał zakłócać jéj szczęścia, nie sprzeciwiał się w niczém a zresztą—powoli, z całą powagą ludzi dawnych, przygotowywał się do zaświatowéj podróży.

— Kto wie? powtarzał—dziś, jutro, może przyjdzie mi opuścić tę ziemię—niech więc z grudką ziemi rzuconéj na trumnę, żadne nie padnie przekleństwo. Pojednanie się z ludźmi jest pierwszym węzłem łańcucha, po którym do Boga się idzie.

Pan Starża należał do rzędu tych ludzi, którzy błąd własny dostrzedz umieją i po przejściu namiętności widzą całą jego ohydę, nie starając się go uniewinniać ni maskować, bo by się zaprzéć własnego musieli rozumu. Prawda, że namiętności u ludzi takich za długo czasami trwają; że nie raz starość dopiero, ściąwszy lodem krew w żyłach, całą im prawdę odsłoni.

Pan Feliks stał na zupełnie przeciwnym biegunie. Przewodnią rolę brał u niego upór, któremu nawet i rozum ulegać musiał. Ręki zgody nie podałby śmiertelnemu swojemu wrogowi i w godzinie śmierci; gdyby upiorem mógł przyjść i męczyć go—przyszedł by niezawodnie. Kobiéta tylko robiła na nim niezwykłe wrażenie. Jéj urokowi opierał się z trudnością i choć się zżymał, szedł w słodkie jarzmo choćby najkapryśniejszéj istoty. Starzec lat sześćdziesięciu uległ uroczemu spojrzeniu Anny. Dla niéj—tylko dla niéj, podawał dzisiaj panu Stanisławowi dłoń zgody.

Koło godziny pierwszéj popołudniu, na jasno-złotym, krwi arabskiéj, ogierze—podjechał pan Starża pod dworzec mojego ojca. Pan Feliks, podtrzymywany przezemnie, bo czułem, że drżał i serce mu silnie kołatało w piersi—stał na ganku z lekko namarszczonemi

brwiami. W drzwiach domu trzymał Wojciech na srebrnéj tacy trzy puhary tokaju.

Oddawszy konia Wojtalirze, pan Starża krokiem poważnym, zbliżył się do nas. Uchylił czapki i dłoń wyciągając, przemówił:

— Panie Feliksie! staje przed tobą wielki winowajca—czy przebaczysz mu?..

Pan Feliks spojrzał w twarz odwiecznego wroga. Czułem jak drżał—jak serce mu z siłą niezwykłą grzmotnęło w piersiach; widziałem z trwogą jak brwi mu się gwałtownie zsunęły na widok nienawistnego człowieka—i zauważyłem ruch ręki, którą po mału w tył usunął.

— Nie mogę!.. wyszeptał prawie—i pochylił się tak nagle, żem musiał dobyć sił wszystkich dla usadowienia go na drewnianéj ławie, chroniąc od upadku.

Spojrzałem z trwogą w twarz pana Starży, na któréj myślałem, że pioruny się gniewu zapalą—ale pan Stanisław stał spokojnie i z wyrazem niemego bólu patrzał na kalekę.

— Wielem zawinił ludziom—wyrzekł głosem posępnym—przebaczyli mi wszyscy!.. ty jeden tylko chcesz mi drogę do nieba zamknąć. Kto na tém ucierpi? Ja!—ale czy tylko ja?.. i syn twój panie Feliksie—i moja droga, dobra Anna!..

Słowo to miało siłę czarodziejską.

Pan Feliks podniósł się—wyprostował, i widząc postać łagodną Starży, oba wyciągnął do niego ramiona.

— Role się nasze zmieniły! zawołał—teraz ja jestem winowajcą, nie szanującym nawet praw staropolskiéj gościnności. Panie Stanisławie!... czy przebaczysz?

Rzucili się w ramiona.

I była chwila, w któréj płacz dwojga tych ludzi słyszałem.

Co wywołało te łzy z oczów męzkich?..

Wspólne wspomnienia szczęścia, zawodów i boleści—duch Maryi był w téj chwili między nimi.

Wniesiono puhary — kryształowe kielichy brzękły —wypito toast zgody.

Weszliśmy na salę. Pan Starża prowadził pan Feliksa.

Dzień ten się skończył naznaczeniem dnia ślubu naszego.

XXXV.

Upłynęło miesięcy dwa od wyż opisanych wypadków.

Kościół w Mrugotynie jaśniał od świec tysiąca... Ksiądz Atanazy z twarzą rozpromienioną, z oczyma wzniesionemi w niebo, łączył

dłonie moje i Anny. Świątynię napełniali liczni goście, z różnych stron kraju na dzień naszego wesela przybyli.

Gdyśmy wychodzili z kościoła przy poważnym marszu organów—Wojtalira zbliżył się do pana Starży i pochylając mu się do nóg, powiedział:

— Arab mój, panie!

Usta dobrego pana dotknęły czoła wróżbity.

Niebo było pogodne—słońce z jakąś jasnością wielką zapadało za glob ziemi.

W czarnéj sali gwar był niezwykły—puhary krążyły z rąk do rąk, szczere życzenia szczęścia spływały na głowy nowożeńców z ust życzliwych. Pan Feliks nie odstępował Anny—całował jéj paluszki i coś szeptał na ucho. Raz doszłyszałem jak mówił:

— Wierz mi moja najprześliczniejsza—że gdyby nie ta kula, nie oddałbym ciebie tak łatwo panu Adamowi. Kochaj go, bo dobre to licho—ale i mnie czasem nie pożałuj buziaka!

Wszystkie komnaty staréj Starżów siedziby drżały gwarem wesela i śmiechem radości.

W tém jakiś huk rozległ się w przyległych pokojach i ryk, jak rżenie rumaka, przeraził obecnych.

Na złotym łańcuchu, pan Starża ręką własną, wprowadził araba z białą gwiazdą na czole.

— Wojtaliro! rzekł, kładąc dłoń łaskawą na ramieniu wiernego sługi. Za szczęście, które mnie dziś spotkało, takiego konia ze złota bym ci ulał. Ale mnie nie stać na to! Za wróżbę dobrą przyjm dar ten niewielki od swego pana i druha.

Wojtalira ze łzami radości ucałował rękę pańską i odpinając łańcuch złoty, zbliżył się do Anny, któréj dłoń trzymałem.

— Konia przyjmuję, bo to rzecz kozacza—złota mi nie trzeba. Z łaski twojéj panie!—tu pokłonił się Starży—mam ziemię własną i chatę białą. Pozwól mi więc panienkę swoję tym złotym łańcuchem związać z panem młodym i dać go jéj w upominku ślubnym.

Ujął dłonie nasze i wiążąc złotemi ogniwami łańcucha, mówł:

— Jak ten koło ręki waszéj złoty wąż się wije, niech tak cicho wiek wam spływa, szczęście w dłonie bije. A do roku—nim ten krótki szczęściem rok przegoni—Wojtalira może nową wróżbę wam wydzwoni.

— Przyjmuję dar ten od was—odpowiedziała Anna—lecz ponieważ już moją własnością, oddaję go na szkołę wiejską, którą mąż mój ma w swojéj Ordynce zbudować. Prawda Adamie?

Pocałunek w czoło był moją odpowiedzią.

Zabrzmiała muzyka z chóru czarnéj sali. Anna nie chciała tańców—uroczystość więc skończyła się ucztą długą. Leoś tylko był nie rad, że nie udało mu się mazura poskakać.

Na niebie księżyc stał duży kiedym unosił skarb swój do siebie. Wiele pocałunków otrzymały usta Anny—niech wam powiedzą złote gwiazdy w błękicie.

W lat kilka w okolicach moich zakupił duży majątek jakiś pan zdaleka przybyły. Nazywał się Franciszek Świdruś. Zrazu ludzie rozmaicie mówili o nabytéj fortunie; ale złoto ma cudotwórczą własność. W bardzo prędkim czasie należał do rzędu—porządnych ludzi...

Pana Piskałę widziałem w zakładzie obłąkanych.

Kazimierz Gliński.

WSPÓŁCZESNA POWIEŚĆ WE FRANCYI.

IV.

BRACIA GONCOURT.

I.

Temperament.

„Niezmiernéj liczbie ludzi, nawet ludzi wykształconych, tak dalece brakuje zmysłu artystycznego, że jeżeli ze zmysłem artystycznym pracuje się nad formą artystyczną, jeżeli do idei formy dodaje się formę idei... oh! to wtedy nie jest się już rozumianym wcale. Krytyki i pochwały będą krytykować i chwalić nie rozumiejąc ani słowa: nie powiedzą nic nawet o prawdziwéj wartości autora, o tém że jest *człowiekiem, dla którego świat widzialny istnieje.*“ I utwory braci Goncourt, jak utwory bohatera ich pierwszéj powieści *Karol Demailly*, nie zostały zrozumiane również dlatego, że zadużo w nich „idei formy“ obok „formy idei,“ za dużo duszy artystycznéj w analizie „świata widzialnego.“ A przytém „publiczności literackiéj, któraby smakowała w literaturze, niema wcale; jest tylko pewna ilość ludzi lubiących czytać dla strawności, jak się pije szklankę wody po filiżance czekolady; ludzi żądających prozy potoczystéj i jasnéj, wody oczyszczonéj z Sekwany; ludzi, którzy chcą ażeby książka pełna dykteryjek opowiadała im je w podróży, w powozie, na kolei żelaznéj; ludzi czytających nie książkę ale za dwadzieścia soldów.“ Jeżeli jednak publiczność, jeżeli tłum nie zasmakował w dziele artystycznem braci Goncourt, niema w tém nic dziwnego; wszakże „tłum nie lubi ani prawdy ani prostoty: lubi tylko legendę i szarlatana“ (*Myśli i Wrażenia*).

Dla czego jednak krytyka, która ostatecznie musiała oddać sprawiedliwość Stendhal'owi, Balzac'owi, Flaubert'owi, Zoli i Daudet'owi, braci Goncourt zbyła komplementem ogólnym?... Na to pytanie łatwo znaleść odpowiedź w *Karolu Demailly*, i to odpowiedź

tém ważniejszą dla nas, że nie odnosi się do jakiegoś kółka literackiego lub kliki estetycznéj, ale obejmuje całość, jeżeli tak wyrazić się można, cechu krytycznego we Francyi.

„W krytyce — rzuca autor od niechcenia pomiędzy dwoma urywkami dyalogu — są dwa rodzaje krytyków: krytycy niżsi i krytycy wyżsi od dzieł jakie sądzą. Pierwsi chwalą lub ganią w miarę swoich zdolności, sił, często w niewinności sumienia, a nierzadko przez urazę zazdrości. Drudzy, o wiele liczniejsi, robią sobie z krytyki ów rodzaj literacki, który, do tego zawodu prawie zawsze niegodnego ich, najwięcéj może talentów przynęca zapłatą stałą, wynagrodzeniem przyzwoitem i jedynym zarobkiem literackim, pewnym i prowadzącym do czegoś poważniejszego. Ci krytycy, wyżsi od dzieła jakie stosownie do swojego posłannictwa mają polecać lub zabraniać publiczności, nie myślą nawet, ma się rozumiéć, iść za autorem krok w krok, skrobać wyraz po wyrazie, grać rolę podrzędną i nudną profesora retoryki poprawiającego ćwiczenia ucznia szóstéj klasy. Przeskakując przez książkę, któréj tytuł wypisują w nagłówku artykułu, robią na ten temat improwizacye i waryacye osobiste.

„Lecz po za tym wiecznym brakiem poziomu jednakowego pomiędzy sędzią a myślą mającą być sądzoną, krytyka naszego kraju i naszych czasów jest dotknięta inną jeszcze chorobą szczególną. We Francyi nie ma wcale tych wielkich przeglądów krytycznych jakie posiada Anglia; tych organów poważanych i wpływowych, wolnych od wszelkich namiętności politycznych, które w wyroku literackim przynoszą bezstronność absolutną i wysoki sceptycyzm krytyki czysto literackiéj, sceptycyzm publiczności i artystycznego *jury* w idei. Nasza krytyka zaciągnęła się pod chorągiew dziennika; należy mniéj lub więcéj do jego barwy, do jego dążności, i jeżeli nie do jego przesądów to w każdym razie do jego zasad. Wskutek tego narażoną jest codziennie na konieczność zajmowania się dążnością książki przed jéj wartością. Nie wolno jéj wcale uwielbiać w cudzym obozie, ani wygwizdywać w swoim. Jeżeli powieść ma za bohatera katolika, krytyk dziennika liberalnego uzna powieść za okropną; jeżeli powieść ma bohatera-wolteryanina, krytyk dziennika katolickiego przeklnie powieść a może nawet i autora. I tym sposobem naszéj krytyce literackiéj zdarzyło się największe nieszczęście jakie jéj tylko zdarzyć się mogło, nieszczęście, że stała się krytyką stronnictwa białego, czerwonego, niebieskiego, stosownie do trybuny z wysokości któréj przemawia.“

I trzeba dodać, że już nie fikcyjna książka: *Burżuazya* fikcyjnego autora, Karola Demailly, ale cała twórczość artystyczna braci

Goncourt „potknęła się o to wszystko.“ W *Karolu Demailly* „dwu krytyków wyższych oszczędziło mu nieprzyjemności: jeden z powodu jego książki naszkicował historyą *burżuazyi* przed Chrystusem, a drugi narysował prześliczny artykuł o burżuazyj rozpatrzonéj w jéj stosunkach z Daumier'em.“ W rzeczywistości stało się nie inaczéj. Zola z powodu śmierci jednego z braci Goncourt, Juliusza, napisał o sobie i swojéj doktrynie naturalizmu, a Julijusz Lemaitre o Zoli i jego *nienaturalizmie*. Zresztą co tu mówić! Pomimo „sympatyi“ jaką bracia Goncourt cieszą się u krytyków, ich „sympatyczne utwory doczekały się w przeszłym roku dopiero drugiego wydania, kiedy inne, mniéj interesujące, mniéj artystyczne, mniéj oryginalne, mają ich już po sto i więcéj; a o ich życiu, które przecież stanowczo wpłynąć musiało na charakter książki, tyle tylko wiadomo ile Zola w pobieżnéj obronie *Powieściopisarzy naturalistycznych* powiedział.

„Było ich dwu braci: Edmund starszy a Julijusz o jakie dziesięć lat młodszy. Dziś Julijusz nie żyje, a Edmund ma blisko sześćdziesiąt lat wieku. Nie odstępowali się nigdy chyba w tym dniu okropnym, kiedy młodszy odszedł na zawsze unosząc z sobą połowę starszego. Przez dwadzieścia lat pracowali przy jednym stole. Było to współpracownictwo jakby naturalne, którego śladów i wysiłku niepodobna doszukać się w ich książkach. Publiczność przyjęła ich jako jedną istotę. Nie ma ani jednego wiersza z podpisem Edmunda lub samego Julijusza. Krytyka, zatrzymując się z uszanowaniem przed tajemnicą tego współpracownictwa, nie starała się nawet wykryć udziału każdego z dwu braci w pracy. Co zaś do pisania razem, to rzecz tak się miała: w odosobnieniu żyli jednym przedmiotem długo. Obserwując naturę, przejmując się miejscém w którém epizody miały się rozwijać, nagromadzali znakomitą ilość notat. Następnie omawiali plan, decydowali razem o wielkich scenach, wytykali linie dla całego dzieła. Kiedy przyszło do wykonania, które nie dopuszcza ustnych rozpraw, po ostateczném przygotowaniu kawałka jaki chcieli napisać w ciągu dnia, zasiadali do jednego stołu: każdy ze swojéj strony redagował z osobna, i ztąd powstawały dwie wersye różne, stosownie do osobistych sposobów widzenia rzeczy. Obie te wersye, po przeczytaniu ich sobie wzajemném, zostawały następnie zlewane w jedną: zatrzymywano z każdéj strony to co było najszczęśliwszego. Tym sposobem jeden nie pisał téj stronnicy a drugi tamtéj, lecz przeciwnie, każda stronica należała do obydwu. I trzeba nadmienić że ostatecznie, przy téj ciągłéj wspólności rodzenia, obydwa mózgi myślały i wyrażały się jednakowo: prawie zawsze ta sama myśl, ten sam obraz przycho-

dziły obydwom naraz. Tak więc potrzeba było tylko wybrać w odcieniach. A to braterstwo w tworzeniu szło tak daleko, że nawet charakter ich pisma pod koniec stał się jednakowy.

W młodości byli tak wrażliwymi na *świat widzialny*, że o mało co nie zostali malarzami. Julijusz rytował i robił akwaforty; obydwa zaś rysowali i malowali akwarelami. Z tych pierwszych prac zostało się im staranie o nałożenie farby dokładne, o wykwintność i malowniczość rysu, o całość techniczną tonów i ich wartości. Nawet późniéj dla zrobienia głównego opisu chodzili zdejmować widoki horyzontu i przynosili do pracowni akwarele jak inni przynoszą notatki piśmienne w katalożyku. Ztąd łatwo zrozumiéć całą wierność jaką nadawali obrazom wskutek takiego postępowania.

Zanim zabrali się do powieści, przetrząśli wiek XVIII-ty we wszystkich kierunkach, będąc pociągnięci ku téj epoce elegancyi, wdzięku swobodnego i płodności nadzwyczajnéj, podobieństwem temperamentu. Wydali studya historyczne wielkiego interesu i wysoce oryginalne jak: *Kobieta w XVIII wieku*, *Portrety XVIII wieku*, *Kochanki Ludwika XV*, *Historya Maryi-Antoniny*, *Historya społeczeństwa francuskiego podczas Rewolucyi*, *Historya społeczeństwa podczas Dyrektoryatu*, *Sztuka w XVIII wieku* w trzech seryach, poświęconych takim mistrzom epoki jak Watteau, Prudhon, Greuse, Chardin, Fragonard. I ze szczątków XVIII wieku zrobili sobie styl, czerpiąc go u źródła nawskróś francuskiego, w wieku w którym geniusz narodu się rodził. Tym sposobem nie ma w nich nic klasycznego: pochodzenie ich jest czysto z tradycyi francuskiéj.

Pierwszą powieść wydali około 1860 roku, a w przeciągu dziesięciu następnych lat napisali sześć innych (1). Niepowodzenie ostatniéj otworzyło w sercu młodszego z braci ranę nieuleczalną: „Julijusz umarł na obojętność tłumu.“

Dziś Edmund pisze na swoję rękę, może nawet jak w *Braciach Zemgano*, pod wrażeniem świeżem jeszcze i nie zatartem głosu Julijusza; cokolwiekby jednak dało się powiedzieć o jego czterech ostatnich powieściach, to zawsze brak dawniejszéj śmiałości, dawniejszéj barwności stylu, dawniejszéj kompozycyi oryginalnéj i dziwnéj, aż nadto wyraźnie byłby w stanie nam pokazać, że te dwa umysły potrzebowały się wzajemnie pobudzać i wspierać. Nie ma tam ani téj niezwykłości pomysłów, ani tych nerwów obnażonych, ani téj ironii gryzącéj głupotę burżuazyi, ani tych łez nad niedolą uciśnionych lub z natury nieszczęśliwych, ani też tego z czasów

---

(1) Karol Demailly w 1859. Siostra Filomena w 1861. Irena Mauperin w 1863. Germinija Lacerteux w 1864. Maneta Salomon w 1866. Pani Gervaisais w 1868.

wspólnéj pracy humoru iście francuskiego, który bawi i krwawi na każdéj niemal stronicy.

Podwójnemi nerwami czując, bracia Goncourt wrażeniom osobistym, wskutek ich natężenia, musieli nadać pozór myśli głębokich: temperament artystyczny zastąpił im w części wiedzę, nerwy wzroku zdolność abstrahowania, potrzeba wyrażania uczuć „władzę skupiania pojęć, która — jak mówi Taine — wzniesiona po nad postrzeganie, zamiast łączyć zjawiska i zdobywać nowe, bada znane fakty i określa ich istotę.“ To téż bracia Goncourt, przy całéj bystrości w spostrzeganiu i analizie zjawisk świata zewnętrznego, nie wznoszą się nigdy do uogólnień wyjaśniających mechanizm tych zjawisk: wypowiedzenie się z wrażeń odebranych od życia, ludzi, przedmiotów i rzeczy wystarcza im za cały wysiłek mózgowy. Już nie czują ale myślą nerwami i zmysłami. „Jest-to bowiem jednym z objawów stanów cywilizacyi, że przemienił szyk natury pierwotnéj człowieka, że przeniósł wrażenia fizyczne do *sensorium* moralnego i dał zmysłom duszy taką bystrość i taką czułość jakie stan dziki daje słuchowi, powonieniu i wszystkim zmysłom ciała.“ „Świat materyalny zdaje się mieć dla nich fizyognomią, słowo, tę właściwość tajemniczą, która wytwarza sympatye lub antypatye. Atomy niewidzialne, dusza, która się wyłania z otoczenia człowieka, znajdują w nich echo. Meble są dla nich przyjacielem lub nieprzyjacielem. Brzydki kieliszek wywołuje w nich odrazę do dobrego wina. Pewien odcień, kształt, barwa papieru, materya jakiegoś fotela usposabiają ich przyjemnie lub nieprzyjemnie i przeprowadzają ich humor przez tysiące modulacyj wrażeń.“

Lecz kiedy się jest ulepionym z gliny tak czułéj na wpływy świata zewnętrznego, że się kocha lub nienawidzi meble, cóż dziwnego zatém że „ta wrażliwość nerwowa, te wstrząśnienia ustawiczne wrażeń po największéj części nieprzyjemnych, drapiących raczéj niż pieszczących delikatność wewnętrzną artysty“ zrobiły z braci Goncourt melancholików? „Nie ażeby mieli być melancholikami jak książka, o wielkich frazesach; przeciwnie, są to ludzie, którzy zaledwie wydają się smutnymi. Ironia ich jest tylko właściwością śmiania się i pocieszania, ale ironia tak zręczna, tak ukryta, że często są ironicznymi tylko dla siebie, w tajemnicy swojego śmiechu wewnętrznego.“

I kto wie czy „tajemnicy ich talentu niezwykłego, nerwowego i wybornego w obserwacyach, zawsze artystycznego, lecz nierównego, pełnego podskoków i niezdolnego do osiągnięcia spokoju, łagodności linii, zdrowia dzieł prawdziwie wielkich i prawdziwie pięknych“ nie należy szukać, tak samo jak u Karola Demailly

w „temperamencie, w ciele prawie zawsze cierpiącém?“ Kto wie bowiem „czy dla melancholij wytwornych dzieła, dla fantazyj rzadkich i wykwintnych jakie się wygrywa na drgającéj strunie duszy i serca, nie potrzeba chorobliwego zakątka w samym artyście? Czy nie potrzeba być, jak Henryk Heine, Chrystusem swojego dzieła, cokolwiek chociaż ukrzyżowanym fizycznie?“ (*Myśli i Wrażenia*).

Bracia Goncourt twierdzą, że „wszyscy obserwatorowie są smutni i powinni być takimi, ponieważ patrząc jak się żyje nie są aktorami ale świadkami życia. Nie poddają się omamieniu lub upojeniu. Pogoda melancholijna jest ich stanem normalnym“ (*Myśli i Wrażenia*). Lecz czy istotnie dosyć jest obserwować życie, aby już przez to samo stać się smutnym? czy dosyć jest być lekarzem, fizyologiem, który bada życie, aby przez to samo nie wyjść już nigdy po za koło „pogody melancholicznéj“ myśli? Wprawdzie bracia Goncourt w inném miejscu swojéj książeczki aforyzmów: *Myśli i Wrażenia* „spostrzegli się ze smutkiem, że literatura, że obserwacya zamiast w nich stępić wrażliwość rozszerzyła ją, wyrafinowała, rozwinęła, odsłoniła do naga. Ten rodzaj pracy nieustannéj jakiego się dokonywa na sobie samym, na swoich wrażeniach, na ruchach swego serca, ta autopsia ciągła i codzienna własnéj istoty, doprowadza do odnalezienia włókien najczulszych i do wprawienia ich w stan najsilniejszéj drżączki. Tysiące źródeł, tysiące tajemnic cierpienia odkrywa się w sobie. I wskutek tego studyowania się, obserwator zamiast zahartować się, staje się odartym moralnie i zmysłowo, zranionym na najmniejsze wrażenia, bez obrony, bez powłoki, cały broczący krwią.“ Lecz czy to prawda? Wszakże „urok dzieła sztuki jest prawie zawsze w nas i jak gdyby w usposobieniu chwilowém oka. Gdyż kto wie czy wszystkie nasze wrażenia rzeczy zewnętrznych nie pochodzą nie od tych rzeczy ale od nas samych? Są przecie dni słoneczne, które wydają się szaremi dla duszy i nieba szare, o których się wspomina jako o najweselszych w świecie. Dobroć wina— to kieliszek; chwila, miejsce—stół przy jakim się pije. Piękność kobiety—to miłość która na nią patrzy“ (*Myśli i Wrażenia*). A zatém obserwator, ów „świadek życia,“ który „patrzy jak się żyje“ nie dla tego jeszcze jest smutnym że patrzy, ale dlatego że z natury już swojéj jest „jak Henryk Heine, Chrystusem swojego dzieła, cokolwiek ukrzyżowanym fizycznie,“ że wskutek nadczułości nerwów nie może odbierać wrażeń innych jak „przejmujące i bolesne.“

Ztąd téż pewnie bracia Goncourt jak ich Karol Demailly „winni są cały swój charakter rozstrojom nerwowym organizmu, które wprowadzając nieład do uciech i utrapień ludzkich, odejmują im proporcyą i równowagę, popychają je na krańce nadużyć zmysłowych

i umysłowych," na krańce uczuciowości i pesymizmu. Wszakże „Opatrznśoć—według nich—była zmuszoną odciągnąć nam połowę życia, abyśmy mogli je przyjąć. Bez snu bowiem, który jest śmiercią doczesną smutku i cierpienia, człowiek nie czekałby aż do śmierci."

W sposobie ich czucia jest coś kobiecego, coś histerycznie kobiecego, nawet wtenczas kiedy pożądają rozkoszy niezmysłowych. „Zawsze marzyłem o tém—i to nigdy mi się nie zdarzy. Chciałbym nocą wejść przez małe drzwi, które widzę, z zamkiem zardzewiałym, wciśniętym, ukrytym w murze; chciałbym wejść do parku, któregobym nie znał, do parku małego, wąskiego, tajemniczego; księżyca niewiele albo wcale; mały pałacyk; wewnątrz kobiéta, któréj nigdy nie widziałem a która byłaby podobną do portretu jaki widziałem; wieczerza zimna, bez ceremonii; pogawędka w któréj nie byłoby mowy o żadnéj rzeczy bieżącéj ani o czasach obecnych; uśmiech *Pięknéj z gaiku drzemiącego*, służących wcale... I odejść nic nie dowiedziawszy się, jak o szczęściu do którego zostało się zaprowadzonym z zawiązanemi oczyma i nawet nie szukać kobiety, domu, drzwi, zamku, ponieważ z marzeniem trzeba być ostrożnym... Lecz nigdy, nigdy mi się to nie zdarzy. I ta myśl mnie smuci."

Nie trzeba jednak sądzić ażeby bracia Goncourt byli prostymi marzycielami, bujającymi „na krańcach nadużyć zmysłowych i umysłowych," nienawidzącymi „rzeczy bieżących i czasów obecnych" pogardzającymi światem i życiem za to, że są takimi jakimi są. Przeciwnie. Ze wszystkich powieściopisarzy, jacy kiedykolwiek życie współczesne wzięli za przedmiot analizy, bracia Goncourt najsilniéj „trzymają je za wnętrzności," najgwałtowniéj „drżą od téj saméj gorączki któréj ogień opisują," najgoręcéj „kochają swój czas za to co on ma rozumnego, czarującego, świetnego, szalonego, chorego. Kochają go jako psychologowie i jako malarze."

Właściwie nawet mówiąc, nie widzą i prawie nie chcą widzieć nic innego nad swój czas. „Przeczytać jakieś kilkaset tomów autorów starożytnych, pokazać notatki na kartach, napisać książkę o sposobie w jaki się Rzymianie obuwali, lub objaśnić jakiś napis, to się nazywa erudycyą. Z tém jest się uczonym: jest się człowiekiem poważnym, ma się wszystko. Ale weźcie wiek bliższy was, wiek olbrzymi, przebierzcie morze dokumentów, trzydzieści tysięcy broszur, dwa tysiące dzienników; wyciągnijcie z tego już nie monografią ale obraz społeczeństwa, a będziecie tylko przyjemnymi szperaczami, ładnymi ciekawcami, ślicznymi zdrajcami. Lecz dużo jeszcze czasu upłynie zanim publiczność nabierze poważania dla historyi, która ją interesuje."

Nie można powiedzieć ażeby bracia Goncourt dla swojego dzieła „przebrali morze dokumentów, trzydzieści tysięcy broszur i dwa tysiące dzienników.“ Erudycya, którąby im pozwoliła wejść do Instytutu, nie sięga tak daleko. Znają sztukę i literaturę XVIII-go wieku do gruntu; znają życie współczesne z jego strony subtelnéj aż do najtajniejszych zakątków serca, aż do najbardziéj nieuchwytnych obrażeń nerwów; znają muzea artystyczne całego niemal świata. Jeżeli więc o erudycyą chodzi, to cały ich ładunek naukowy ogranicza się na historyi sztuki, na znajomości *de visu* postępu jaki sztuka zrobiła od początku świata. Naprawdę jednak, historyczne wczoraj obchodzi ich mało. Nie wiele by nawet potrzeba było ażeby oddali całego Rafaela za jeden krajobraz Décamps'a lub Diaz'a. Bo zresztą któż-to jest Rafael? „Rafael stworzył typ klasyczny Najświętszéj Panny doprowadzając piękność pospolitą do doskonałości; wprost przeciwnie aniżeli piękność jaką Vinci chciał znaleść w wytworności typu i niezwykłości wyrazu. Ten typ ma w sobie charakter pogody całkiem ludzkiéj, rodzaj dobroci okrągłéj, zdrowie prawie Junony. Jego dziewice są matkami dojrzałemi i dobrze się mającemi, są małżonkami św. Józefa. A przy tém realizują program jaki sobie wielka publiczność wiernych zrobiła z Matki Boga, i pozostaną wiecznie popularnemi, ponieważ ze wszystkich Najświętszych Dziewic katolickich są przedstawieniem najjaśniejszém, najogólniejszém, najprzystępniejszém, najbardziéj filistersko (le plus bourgeoisement) świętem, najlepiéj zastosowaném do gustu sztuki religijnéj. Jego *Madonna w krześle* będzie zawsze *akademią* bozkości kobiéty.“

Lecz wyraz: *akademia* nie znaczy tu bynajmniéj tyle co najwyższy, najdoskonalszy *ideał* sztuki, owo piękno bezwiedne, naturalne, niewyuczone; gdyż nietylko „wszystkie wielkie dzieła idealne zrobione były w czasach i przez ludzi, którzy nie mieli pojęcia o *ideale*,“ ale nawet „odkąd założoną została szkoła (*akademia*) czegoś, to coś żyć już przestało.“ (*Myśli i Wrażenia*). „*Akademia* więc bozkości kobiéty“ jest tylko przycinkiem artysty, który wszędzie i we wszystkiem szuka życia tętniącego prawdą ale nie sztuką, choćby idealnie nawet sztuczną. A przy tém, bracia Goncourt nie lubią „spokoju linii, owego zdrowia dzieł prawdziwie wielkich i prawdziwie pięknych.“ Dla ich temperamentu potrzeba czegoś co targa nerwami, co dech w piersiach zapiera. W Molierze widzą tylko „przyjście burżuazyi do władzy, wielką deklaracyą duszy stanu trzeciego. Jest-to inauguracya rozumu praktycznego i zdrowego rozsądku, koniec wszelkiéj rycerskości i wszelkiéj wysokiéj poezyi we wszystkich rzeczach. Kobiéta, miłość, szały szlachetne i świetne sprowadzone

zostały u niego do ciasnéj miary życia domowego i posagu. Wszystko co tylko jest uniesieniem i pierwszym popędem otrzymuje tam przestrogę lub naganę. Tym sposobem Corneille jest ostatnim heroldem szlachty, a Molière, pierwszym poetą burżuazyi“ (*Myśli i Wrażenia*). Ze wszystkich „wielkości dawnych, którym publiczność dlatego przebacza że jéj nie poniżają“ bracia Goncourt podnieśli tylko jednę: Diderot’a. „Dla całego świata Voltaire jest nieśmiertelnym a Diderot tylko sławnym. Czemu? Voltaire pogrzebał poemat epiczny, baśń, wierszyk i tragedyą. Diderot dał początek powieści nowoczesnéj, dramatowi i krytyce sztuki. Pierwszy jest ostatnim umysłem Francyi dawnéj; drugi pierwszym geniuszem Francyi nowéj.“ Wszystko zatém co bliższe nas, co choć w zarodzie nosi na sobie piętno XIX-go wieku, ma dla nich więcéj uroku niż cała wielkość starożytności klasycznéj. Wszakże nawet „piękność twarzy starożytnéj była tylko pięknością linij,“ czemś nieskończenie niższém od „piękności twarzy nowoczesnéj, która jest wyrazem namiętności. Mamy przecie pięknych potworów jak Lekain i Mirabeau,“ których twarze robią większe wrażenie na braciach Goncourt niż cały Olimp w rzeźbie starożytnéj.

Ale „piękno nowoczesne“ bez bliższego określenia jest tylko wyrazem: chcąc więc je rozumiéć w tém znaczeniu jakie ono ma dla braci Goncourt, trzeba je w ich słowa oblec. „Nowoczesność? mówi estetyk z *Manety Salomon*—wszystko tu jest. Wrażenie intuicya człowieka współczesnego, intuicya zjawiska o które się łokciami trącacie, teraźniejszości, w któréj czujecie jak wrą namiętności wasze i coś z was samych. Ach! wiem. Nie brak artystów marzycieli, tych nawlekaczów frazesów o krwi białéj, którzy mówią, że trzeba się oderwać od swojéj epoki, którzy szlachetność, żywotność lub geniusz znajdują tylko w rzeczach i ludziach mających pięćset lat na karku... Dziewiętnasty wiek nie mogący wydać malarza? Ależ to nie do pojęcia! Wiek który tyle cierpiał, wielki wiek niepokoju nauk i trwogi o prawdę... Prometeusz chybiony, ale Prometeusz!... Tytan, jeżeli chcecie, chory na wątrobę... Taki wiek ognisty, miotający się, broczący krwią, jakże chcesz żeby nie znalazł formy dla wyrażenia się. A jednak, ileż-to rzeczy w tym przeklętym dziewiętnastym wieku! Jest tam do dyabła dla wszystkich gustów!... I jeżeli to za mało dla was, te obyczaje czasu, te sceny, ta ulica, to macie także i coś wielkiego, olbrzymiego, epicznego w tych czasach... Dotknijcie się tylko wzruszeń ludzkich, a będą również klasyczne, również uświęcone jak i najstarsze! Homer, ciągle Homer i to Homer z Instytutu! Ależ po Achilesie mieliśmy jegomościa, który robił epopeje co dzień, pewnego Napoleona, który codzień zbierał sławę do

malowania... Pożar Moskwy, przecie, może stać obok pożogi Troi.... a odwrót dziesięciu tysięcy zbladł chyba cokolwiek od czasu odwrotu z Rosyi... Otóż-to ramy! otóż to stronice! Homeryczności w nich tyle ile się wam podoba!“

Nie trzeba więc sądzić ażeby ideał powieści nowoczesnéj braci Goncourt nie wychodził po za granicę szarości i powszedniości codziennego życia. Wprawdzie Pommagest w *Karolu Demailly* woła z przesadą że „stare blagi romantyzmu skończyły się i sądzi że publiczność ma dosyć frazesów karmelkowych; sądzi, że poezya jest tylko rodzajem wiatrów w żołądku; sądzi że prawda naga i surowa jest sztuką; sądzi że trzeba zakasać rękawy i zacząć grzebać w izbie stróżów i idyotyzmie burżuazyi: jest tam cały świat nowy dla tego, kto będzie miał dosyć sił do położenia na nim ręki.“

Bracia Goncourt jednak nie idą tak daleko. Jako artyści wrażliwi na wszystko co drażni zmysły, na świat widzialny i namacalny, żądają od „malarstwa ażeby wróciło się do *natury naturalnéj*, do studyowania rzeczy w jakich hartowały się i odświeżały cywilizacye stare, do poszukiwania piękności prostych, skromnych, naiwnych;“ od literatury zaś ażeby przestała zajmować się „rzeczami wiecznemi i już przeszłemi.“ Zresztą, nie ma jak *nowoczesność*! „Jak-to mieć swój czas przed sobą i nie widzieć go? Nie! nie! nie! Ale, bo czyż artyści, wielcy artyści wszystkich czasów, nie ze swoich—to czasów wydostali Piękno? Czy myślicieli może że Piękno dane jest tylko jednéj jedynéj epoce, jednemu narodowi? Ależ wszystkie czasy noszą w sobie Piękno, jakiekolwiek Piękno, i mniéj więcéj tuż na wierzchu, dające się uchwycić i wyzyskać... Być może, że Piękno dzisiejsze jest osłonięte, zakopane,ześrodkowane... Być może że dla odkrycia go potrzeba analizy, lupy, oczu krótkowidza, nowych sposobów fizyologii... Ależ Balzac?... czyż Balzac nie znalazł wielkości w pieniądzach, w życiu domowem, w brudzie rzeczy nowoczesnych, w stosie rzeczy, w których wieki przeszłe nie dopatrzyłyby się sztuki za szeląga?.. Wiem o tém dobrze: kostium, czarne ubranie... zawsze wam ciskają w nos to czarne ubranie! Ale gdyby Rembrandt przyszedł... czy myślicie że czarne ubranie malowane przez niego nie byłoby piękném?... Dawniéj byli malarze złotogłowiów, jedwabiu, aksamitu, materyi zbytkownych, ubrania z obłoków... A więc potrzeba teraz malarza sukna: przyjdzie i zrobi rzeczy wspaniałe całkiem nowe z tego czarnego tła naszego życia socyalnego, zobaczycie!.. Ach! ludziom zdaje się że ta kwestya, kwestya nowoczesności, skończyła się ponieważ dano karykaturę Prawdy naszego czasu: *realizm*!... ponieważ jakiś pan zrobił religią pokojową z brzydoty głupiéj, z pospolitości źle podjętéj i bez wyboru, z nowoczesności

gminnéj, bez charakteru, bez wyrazu, bez tego co jest pięknością i życiem Brzydoty w naturze i sztuce: bez *stylu*!

Lecz i w dziewiętnastym wieku, w téj *nowoczesności* typów, życia i natury, bracia Goncourt spotykają tyleż rzeczy sympatycznych co i antypatycznych. Kochają wszystko to co jest artystyczne, chore, niezadowolone, nieszczęśliwe, uciśnięte. „Nie mogą obojętnie patrzyć jak ktoś ubliża wielkiemu zwyciężonemu, gdyż to im przypomina owego lwa, którego jakiś mieszczuch drażnił parasolem.“ Wszystko zaś co tylko nosi na sobie znamię *burżuazyi* i jéj wpływu na charakter XIX-go wieku jest dla nich wstrętném. Żadna śmieszność, żadna płochość myśli i uczuć, żadna ignorancya „nie mogą się tak dobrze skryć pod płaszczykiem cywilizacyi i postępu, ażeby ci obserwatorowie kochający lub nienawidzący „ludzi i przedmioty które są dla nich albo przyjaciołmi albo nieprzyjaciołmi,“ nie mieli ich dostrzedz, przeczuć „zmysłami duszy.“ Nie uwierzą w postęp dopóki ludy nie będą miały Boga po amerykańsku, Boga po ludzku, ze świadectwami małych dzienników! Boga który się doczeka w kościołach już nie obrazu elastycznego i według wyobraźni malarza, nie obrazu powiewającego na chustce Weroniki, ale portretu na kartach fotograficznych. Tak—wystawiają sobie Boga fotografowanego, który będzie miał okulary. Tego dnia cywilizacya dojdzie do szczytu: pokażą się gondole parowe.“ Możnaby nawet założyć się że ta myśl nie raz przechodziła przez głowę Zoli przy pisaniu traktatów o sztuce, tyle w niéj jest ideału mieszczańskiego, tyle *dziewiętnastowiekowości filisterskiéj*, jakby powiedział Teofil Gautier przez nienawiść znowu artystyczną do wszystkiego co nie jest *średniowiekowém* nieskończenie od nas odległém.

„Mizantropią w głupcu uważają za bezczelność,“ „homeopatyą za protestantyzm w medycynie,“ a „religią bez nadnaturalności za wino bez winogron.“ Tym „którzy naprawdę nienawidzą natury“ odpowiadają że widocznie dla nich „obrazy są przyjemniejsze aniżeli krajobrazy, a konfitury smaczniejsze aniżeli owoce.“ Tym zaś, którzy chcą widzieć poezyę w naturze, przypominają że „nie ma nic mniéj poetycznego jak natura i rzeczy naturalne. Urodzenie się, życie, śmierć, te trzy wypadki bytu, są działaniami chemicznemi. Ruch zwierzęcy świata jest ciągłem rozkładaniem i składaniem cząsteczek gnoju. Człowiek zaś tylko nad tą całą nędzą, nad tym cynizmem materyi, rozwiesił zasłonę, obraz, symbol, duchowość szlachetną.“

Lecz „we Francyi wolno jest tylko gorszyć historyą. Można pisać że Neron był filantropem a Dubois świętym człowiekiem. W sztuce i w literaturze jednak, opinie uświęcone są święte. I być może, że w dziewiętnastym wieku mniéj jest niebezpieczném dla

człowieka stąpać po krucyfiksie aniżeli po pięknościach tragedyi.“ (*Myśli i Wrażenia*). Bracia Goncourt, patrząc na życie innemi oczami niż wszyscy, czując jego piękno i brzydotę nerwami, które obrażają „opinie uświęcone w literaturze i sztuce,“ w całéj swojéj artystycznéj działalności „stąpają po pięknościach tragedyi.“ I dlatego to może utwory ich, utwory *człowieka, dla którego świat widzialny istnieje*, po śmierci dopiero jednego z braci doczekały się drugiego wydania. Widocznie „dla zostania sławnym trzeba pogrzebać dwa pokolenia: pokolenie swoich profesorów i pokolenie swoich przyjaciół z gimnazium.“

II.

Kompozycya.

Jedną z nadziwniejszych stron twórczości artystycznéj braci Goncourt jest ich kompozycya. Zkąd ją wzięli? od kogo zapożyczyli? Trudno odpowiedzieć stanowczo. Może od La Bruyère'a, może od Diderot'a, którego uwielbiają, może od Rétif'a de la Bretonne, z którego szydzą, może od malarzy współczesnych, dla których wywalczają sympatyą w swoich powieściach?

Wprawdzie w *Germinii Lacerteux* a po części i w *Siostrze Filomenie* widać ślady fabuły na dawny ład, kiedy-to historya człowieka, miłości, życia, rozwijała się na wypadkach jednorodnych i w myśl akcyi dramatycznéj, któréj koroną była wieczna śmierć lub wieczny ślub,—w *Karolu Demailly* jednak, a następnie w *Manecie Salomon* i *Pani Gervaisais* układ scen nie ma nic wspólnego z kompozycyą szematyczną ani starych ani nowych mistrzów. Na setnéj stronie powieść się jeszcze nie zaczyna, w połowie tomu jeszcze nie rozwija, a na ostatniéj jeszcze się nie kończy. Rzeczy i ludzi w nich pełno: co jednak jest treścią powieści, kto jest jéj bohaterem, a kto nim nie jest—trudno odpowiedzieć od razu. Jest-to ten sam kłopot co i ze sprawozdaniami z krajobrazów dzisiejszych, które i dlatego-to może w takiém lekceważeniu są u krytyków tak zwanéj wielkiéj sztuki, że sto, że tysiąc razy łatwiéj napisać arcydzieło sprawozdawcze z jakiejś nędznéj alegoryi, z jakiegoś bladego obrazu historycznego, aniżeli mierny artykuł o liniach, o kolorze liści, o cieniu lasu, o horyzoncie dalekim, o blasku słońca, o harmonii barw, o poezyi krajobrazu.

Gdyby chodziło o porównanie, powieść braci Goncourt możnaby nazwać galeryą literacką pejzażów, obrazów martwéj i żywéj natury, scen domowych, wydarzeń, epizodów luźnych i sam Bóg wié nie czego jeszcze, które jakiś amator o wysokim guście artystycz-

nym sprowadził do swojego muzeum z całego świata. Że jednak amator ten z natury swojéj jest zawziętym nieprzyjacielem wszelkiego eklektyzmu, pomiędzy jego obrazami więc, pomimo całéj różnorodności przedmiotów, panuje jedność charakteru i wykonania,—prawie jednostronność gustu.

Na pierwszy rzut oka nic się tam nie trzyma razem; po bliższém jednak rozpatrzeniu się w tym chaosie obrazów barwnych, rysunków powykręcanych, akwareli krzykliwych w tonie, portretów malowanych szerokiemi plamami farb lub najsubtelniejszym pędzlem Denner'a, posągów modelowanych z gwałtownością Michała-Anioła, szkiców architektonicznych przerastających wielkością i fantastycznością indyjskie świątynie, cacek snycerskich mogących iść w zawody z dłutem Cellini'ego,—widać że artysta miał swój cel i w myśl tego celu działał: chciał pokazać piękność nerwową *nowoczesności* i swój zapał do wszystkiego co jest *nowocześnie pięknem*. Nie jest-to wprawdzie muzeum zawierające wszystko co XIX-sty wiek wydał pięknego i brzydkiego, dobrego i złego, mądrego i głupiego, dowcipnego i nudnego, ale galerya, skromna galerya tylko piękna, dobroci, rozumu i dowcipu ludzi patrzących czułem okiem na charakter naszych czasów.

Bracia Goncourt nie obejmują całości życia: *Maneta Salomon* charakteryzuje wprawdzie epokę artystyczną pomiędzy 1830-ym a 1860-ym rokiem; lecz napróżno szukalibyśmy w niéj choć jednego strzału z 1848 roku, choćby jednéj mowy, choćby jednéj próbki polityki retoryczno-teoretycznéj, choćby lada śladu marzycielstwa socyologicznego z owych czasów ciekawych, tak samo jak napróżno szukalibyśmy ich w *Karolu Demailly*, którego życie i działalność literacka rozgrywa się w ramach epoki romantyzmu i realizmu, jakkolwiek literatura jeżeli nie więcéj to przynajmniéj wyraźniéj niż sztuki plastyczne związaną jest z politycznėm, socyalnėm i etycznėm życiem narodu. Ale bracia Goncourt nie troszczą się o całość życia: ich dysekcya nie dotyka całéj choroby wieku. Jeden człowiek, jeden artysta, jedna kobiéta nieszczęśliwa, jeden umysł oddany na pastwę udręczeń moralnych, jedna ofiara nerwów, ot! i wszystko co w ich książce znaleść można.

Flaubert w *Wychowaniu Sentymentalném* miał na myśli psychologią Fryderyka Moreau jako rys charakteru epoki. Ztąd cała kompozycya powieści zasadzała się na nagromadzeniu takich scen różnorodnych, takich wypadków i takich zdarzeń, w których-by dusza Fryderyka w zupełności i ze wszystkich stron pokazać się mogła na tle życia całego społeczeństwa.

Wprawdzie pomysł komponowania powieści w taki sposób jak natura, jak rzeczywistość komponuje życie, należy do Goncourt'ów, którzy go naszkicowali w *Karolu Demailly* w 1859 roku, czyli na całe dziesięć lat przed *Wychowaniem sentymentalném*, sformułowanie jednak jéj datować się musi od Flaubert'a, ponieważ on ją rozszerzył, wypełnił i na wielką skalę zrealizował. I dla tego-to w *Wychowaniu sentymentalném* nie ma ani jednéj takiéj sceny, którąby z powieści bezkarnie usunąć było można: psychologia Fryderyka straciłaby na jasności; dla jakiegoś szczegółu zniknąłby motyw, dla jakiegoś skutku przyczyna determinująca, dla jakiegoś aktu psychologicznego nie stałoby aktu fizyologicznego, gdyż każdy szczegół powieści odnosi się tam albo do psychologii tego człowieka, albo też do życia, do bliższego lub dalszego otoczenia, do wpływów, które jeżeli go nie urobiły w całości, to przynajmniéj do takiego a nie innego działania w znacznéj części zmusiły.

Z powieści Goncourt'ów tymczasem, bez wielkiéj szkody dla psychologii osób a nawet bez wielkiéj szkody dla całości obrazu, możnaby niektóre rozdziały usuwać, przestawiać, przenosić do innych, opuszczać w czytaniu lub przerzucać. Czytelnik straciłby na tém jakiś barwny obraz, jakąś błyskotliwą wiązankę paradoksów, jakieś trafne spostrzeżenie nad życiem w ogólności, ale nie więcéj, ponieważ kompozycya ich powieści nie nagina się do wymagań psychologii jednego człowieka, rozbieranéj i przedstawianéj we wszelkich możliwych jéj objawach, i nie ma swemi liniami naśladować linii życia rzeczywistego, ale po prostu zależy od kaprysu artysty, który je paczy, wykrzywia, rozszerza i zacieśnia stosownie do tego czy analizuje duszę danego człowieka czy téż chce wyrazić swoję.

Taki rodzaj kompozycyi nadawał się cudownie do natury umysłu Flaubert'a, który nie opuszczając nigdy gruntu przedmiotowości, umiał panować nad liniami, umiał w nich zakuć życie całego jednego społeczeństwa. Taki rodzaj kompozycyi stał się zresztą potężném narzędziem w rękach Zoli, który, udając tylko przedmiotowość i obojętność obserwatora-analisty, umiał ją z mniejszém lub większém szczęściem zastosować do swoich ponurych obrazów życia. Lecz bracia Goncourt, prawdziwi wynalazcy tego *procederu* niekomponowania w komponowaniu, nie umieli albo raczéj nie mogli go sami zużytkować w swych powieściach, które wskutek tego robią na czytelniku wrażenie całkiém inne aniżeli oni je na nim wywołać chcieli. Jedno z dwojga bowiem: albo zupełna przedmiotowość w obserwowaniu życia i w pisaniu, albo też całkowite poddanie się wrażeniom zarówno w patrzeniu na fakty jak i w przedstawianiu ich na papierze. Bracia Goncourt tymczasem palą Bogu

świéczkę a dyabłu ożóg. Rozbierają człowieka do naga, dysekują go do krwi, drażnią najdrobniejsze włókna jego nerwów ze spokojem i obojętnością lekarza-eksperymentatora w jednym rozdziale, a tuż zaraz w drugim, kiedy krzyk eksperymentowanego drży jeszcze w powietrzu, kiedy krew nie zakrzepła na lancecie, pozwalają sobie na wycieczki w krainy filozofii, metafizyki, estetyki, fantazyi arabskich, ponieważ ślina przyszła na usta, ponieważ jakiś „przedmiot, który był dla nich przyjacielem lub nieprzyjacielem“ podrażnił ich umysł w tym kierunku, ponieważ *forma* na to pozwoliła.

„W Szkocyi—mówią bracia Goncourt w swych *Myślach i Wrażeniach* — zdarza się często widzieć na wsi jak jakiś jegomość, który się przechadzał, otwiera nagle coś, co trzymał pod pachą: jest-to katedra do kazania, na którą wstępuje i każe. Dzieła, książki i powieści, w których kazania wychodzą z krajobrazów, przywodzą mi na pamięć owego jegomościa.“

Bracia Goncourt w układzie swych powieści są tym jegomością na odwrót: nie kazania bowiem wychodzą u nich z krajobrazów ale krajobrazy z kazań. Możnaby lata całe wczytywać się w jakieś rozdziały z *Karola Demailly* lub *Manety Salomon* i jeszcze nie dopatrzéć się coby takiego mogło skłonić autorów do opisu pływania łódką po Sekwanie, kiedy nikomu na chwilę przedtém ani się śniło o pływaniu, o łódce, o Sekwanie; do czego mogłaby służyć scena pomiędzy małpką a wieprzkiem w pracowni malarza (*Maneta Salomon*), kiedy wszyscy zapomnieli o małpie a wieprzka dla wyprowadzenia na scenę, wygrać dopiero trzeba było na loteryi za kulisami. Łączność pomiędzy scenami i rozdziałami istnieje: ani słowa! ale łączność-to taka sama jak w kojarzeniu się wyobrażeń u ludzi roztargnionych z natury. Woda przywodzi im na myśl śmierć Napoleona, ponieważ woda... rzeka... Berezyna, a parasol Nową-Kaledonię, ponieważ parasol... Thiers... Zgromadzenie Narodowe... Wersal... Komuna.

Był czas kiedy mówiono że ten lub ów czyn jest w sprzeczności z charakterem ogólnym psychologii danéj osobistości, tak samo jak mówiono że ta lub owa scena psuje piękność kompozycyi. Nic bardziéj fałszywego, nic bardziéj powierzchownego pod słońcem powieściowém. W psychologii nie ma sprzeczności a tylko są niedokładności, niejasność w przedstawieniu obserwacyi, niedbałość w motywowaniu faktów; tak samo jak w kompozycyi niema pięknych lub brzydkich linij, właściwych lub niewłaściwych scen, a tylko jest ruch zgodny lub niezgodny z założeniem autora, wyrażający lub nie-wyrażający w zupełności charakter życia i ludzi wprowadzonych do powieści. Dziś sąd o kompozycyi znacznie się rozszerzył:

znaczenie tego wyrazu nabrało téj elastyczności jaką się cieszy psychologia.

Lecz u braci Goncourt, pomimo świetnych obserwacyj, psychologia szwankuje na pełności, na dokładném motywowaniu szczegółów a nawet częstokroć i charakteru ogólnego; nic dziwnego zatém że kompozycya, która w zupełności zależy od psychologii, od pochodu szczegółów natury psychicznéj, utyka tam gdzie obserwator życia i duszy ludzkiéj pozostawił luki. Wprawdzie jeżeli się charakteryzuje *Germiniją Lacerteux*, kobietę histeryczną, która do rozpaczy przyprowadza sprawiedliwość, kodeks kryminalny i etyczny, to nie można dramatu jéj życia zamknąć w pięknych, spokojnych liniach Racine'a, którego Phedra jest tylko retoryczną figurą namiętności. Czego jednak za zaletę uznać nie można, to tych bezpotrzebnych dystrakcyj, tego nadużywania swobody formy powieściowéj, która nuży uwagę, oślepia migotliwością blasków, ogłusza chaotycznością dźwięków. I dla tego-to jakkolwiek bracia Goncourt najwięcéj może spostrzeżeń trafnych i niezwykłych rzucili na dziwne kartki *Karola Demailly* i *Manety Salomon* najwięcéj może wypowiedzieli tam uogólnień ścisłych i głębokich, to jednak ze względu na harmoniją pomiędzy treścią i formą, pomiędzy przedmiotem i kompozycyą, w oczach publiczności większém powodzeniem cieszyć się będą trzy inne ich powieści: *Irena Mauperin*, *Siostra Filomena*, a szczególniéj *Germinija Lacerteux*, ponieważ łatwiéj się czytają i z mniejszym wysiłkiem uwagi wchodzą w głowę. W każdym jednak razie o prostotę kompozycyi pomawiać ich nie można. Dla wyrażenia nerwów literata w *Karolu Demailly*, delikatnéj uczuciowości zakonnicy w *Siostrze Filomenie*, umysłu panny wychowanéj po męsku razem z chłopcami w *Irenie Mauperin*, nerwów służącéj-histeryczki w *Germinii Lacerteux*, a wadliwości mózgu kobiety wykształconéj w *Pani Gervaisais*, bracia Goncourt zabierają się w sposób dość dziwny i niezwykły.

Karol Demailly jest literatem rasowym, który ma namiętność do literatury jak inni do obrazów, do rzeźby, do wódki, do kobiet. Od pierwszych słów wypowiedzianych w redakcyi dzienniczka *Scandale* czuć w nim człowieka wyższego, człowieka idei i zasad. Żadne propozycye nie mogą sprowadzić go z drogi cnoty, która bez fałszywéj pruderyi, instynktownie prawie, nie pozwala mu kalać swego pióra artystycznego w kałamarzu blagi dziennikarskiéj. Niepowodzenia hartują tylko jego duszę. Publiczność przyjęła chłodno powieść *Burżuazyą*, w któréj Demailly „starał się wznieść do syntezy socyalnéj, odmalować w swoim pełnym rozkwicie *plutokracyą XIX* wieku, i zająć uwagę publiczności, nie przez tragedyą wypad-

ków, *zderzenie się* faktów, grozę i wzruszenie materyalne intrygi, ale przez rozwój i dramat psychiczny wzruszeń i katastrof moralnych.“ Krytyka zakrzyczała dzieło. Karolowi Demailly nie pozostało nic innego jak sprobować teatru: *Ul zaczarowane* nie ujrzało światła kinkietów. Autor rozczarowany życiem, zmęczony intrygami, wycofał sztukę w dzień przedstawienia i.... w kilka dni czy w kilka tygodni potém zwaryował. Obłąkanie było skutkiem nieuniknionym nadczułości nerwów z urodzenia i ustawicznych podrażnień z zewnątrz. Lecz Demailly „nie znający innéj namiętności jak literaturę,“ pada ofiarą nie literatury, ale... kobiéty. Marta, aktorka bez serca, bez téj nawet finezyi umysłu, która kobiecie już jeżeli nie rozumiéć to przynajmniéj odgadywać pozwala talent swego męża, zabija wielkiego reformatora literatury brakiem dlań uczucia, drobnemi złośliwościami postępowania i nareszcie cudzołóztwem, i to cudzołóztwem z wyrachowania, z pociągu do teatralności, z potrzeby robienia źle na zimno. Dla pokazania nerwowości téj jednéj postaci, która wypełnia całkowicie 400 stronic książki, autorowie malują wnętrze redakcyi dziennika *Scandale*, do któréj Demailly nie należał, poruszają wszystkie doktryny estetyczne piękna i dobra, jakie w téj epoce panowały, wyprowadzają na scenę salon literacki taki jakim on był zanim go „dziennik nie zabił,“ dają próbki listów, urywki komedyi i wyjątki z pamiętników, przytaczają rozmowy w restauracyach, za kulisami i na balach maskowych, piszą korespondencye z Badenu i z prowincyi francuskiéj, dają sprawozdania wyczerpujące z dzieł i broszur socyologicznych, które są tylko ich inwencyą, każą ludziom dyskutować przez całe godziny o istocie małżeństwa, powtarzają słowo w słowo wszystko co doktór powiedział podczas swojéj wizyty u chorego, charakteryzują życie w Paryżu, na prowincyi, na wsi i w miejscach kąpielowych, krytykują traktaty o chorobach nerwowych i sposobach leczenia nerwów, przedstawiają rękopism waryata, który dla pokazania że nie jest waryatem zmusza się do pisania, i nareszcie kończą obrazem sali w domu waryatów. A przytém ile krajobrazów i opisów, ile scen wstawionych pomiędzy dwa rozdziały historyi życia literackiego i choroby nerwów! Od natłoku ludzi, od kalejdoskopu wypadków drobnych i daleki tylko związek mających z życiem autora *Burżuazyi* w głowie się kręci. Doprawdy nieraz przy czytaniu powieści przychodzi na myśl pytanie, czy bracia Goncourt z wiedzą i celem zszywają książkę z kartek tak różnorodnéj treści, czy też to jest prostém tylko niedbalstwem? Ale nie. To samo postępowanie odnajdujemy w budowie *Manety Salomon*, téj modelki o kształtach ciała tak pięknych, jak tylko niektórym artystom widziéć się zdarza, a o duszy

tak płaskiéj jak rzadko nawet pomiędzy temi samicami bez temperamentu spotkać można.

Jak w *Karolu Demailly* tak i w *Manecie Salomon* kobiéty zjawiają się dopiero w drugiéj połowie tomu: nie o ich psychologią tu autorom chodziło, ale o ich wpływy na artystów.

Według widzenia braci Goncourt „z chwilą kiedy dwie warstwy stykają się z sobą, warstwa niższa pochłania wyższą. Wszystkie stany podrzędne, podporządkowane pod władzę innych *de jure*, stają się ostatecznie wyższemi *de facto*. Dziś artysta jest podwładnym kupca, architekt—przedsiębiercy, rolnik—najemnika, literat—wydawcy,“ a... mężczyzna—kobiety. Wadliwość kompozycyi, która jest tylko następstwem niedokładności w psychologii, nie pozwoliła autorom dowieść tezy w sposób namacalny. Zajęci charakteryzowaniem pewnych stanów duszy, konstatują fakt i na tém koniec: niech czytelnik obserwacyami z pierwszéj ręki, z własnego doświadczenia wypełnia sobie luki jeżeli je dostrzega pomiędzy dwowa momentami dramatu psychologicznego pozornie sprzecznemi. Ich rola ogranicza się na rzuceniu myśli, na wskazaniu drogi postępowania, na zwróceniu uwagi tam gdzie czytelnik jéj jeszcze nie zwrócił. Być może że spostrzeżenie braci Goncourt jest najzupełniéj trafném; czy jednak jest wystarczającém dla uogólnienia naukowego, wątpić należy nawet ze stanowiska samego psychologa (Goncourt), ponieważ zarówno w *Karolu Demailly* jak w *Manecie Salomon* fakty nieliczne i niedokładne zestawione są z sobą bez wielkiéj ścisłości.

Modelka z kochanki staje się matką, a z gospodyni w domu kawalera żoną prawą. Coriolis de Naz po wielu latach życia na wiarę, ucieka chyłkiem z sali aktów cywilnych merostwa: pognębiony owém „poddaniem się warstwie niższéj,“ kryje się przed okiem ludzkiém. Maneta w Coriolisie zabiła malarza, jak Marta w Karolu Demailly literata. Tu i tam, choć drogi były różne, skutek został się ten sam: temperamenty, umysły i dusze artystyczne zmarniały w zetknięciu się z kobietami bez temperamentu, bez umysłu, bez duszy i bez... nerwów artystycznych, które są przecie czemś innem niż nerwy kobiety.

Błędném jednak byłoby mniemanie, że braciom Goncourt chodziło tu o walkę pomiędzy mężczyzną a kobietą, pomiędzy artystą a jego kochanką, pomiędzy umysłem a zmysłami. Na przeprowadzenie jakiejkolwiekbądź tezy albo lepiéj na demonstracyą faktów tak ścisłą i pełną ażeby ją za jedno z uogólnieniem wziąść było można, braciom Goncourt brak stosownéj cierpliwości i odpowiedniego spokoju. Rzuciwszy na papier kilka świetnych spo-

strzeżeń, które często wahają się pomiędzy głębokością a paradoksem, zaznaczywszy kilka co najwydatniejszych rysów temperamentu i charakteru, niby malarz, który kilkoma plamami naszkicował cały krajobraz ziemi, lasu, wody, nieba, słońca, cienia i światła, nie troszcząc się o harmonią tonów, bracia Goncourt idą daléj, jakby za wolą nerwów, jakby pędzeni potrzebą ruchu, byle daléj, byle więcéj zanotować, byle więcéj myśli rzucić. Tym sposobem i *Maneta Salomon* nie jest owém studium psychologiczném, w którém „rozwój i dramat psychologiczny wzruszeń i katastrof moralnych“ byłyby osią obrazów, linią wytyczną kompozycyi.

Ale bo téż bracia Goncourt więcéj niż psychologami, więcéj niż zimnemi obserwatorami duszy ludzkiéj, są artystami kochającymi sztukę współczesną i wszystko co tylko ze sztuką ma bliższy lub dalszy związek. Czytelnik do połowy tomu nie domyśla się jeszcze że Coriolis będzie postacią główną powieści, a pod koniec dawno już zapomniał, że Coriolis i Maneta żyli kiedykolwiek na świecie, tyle tu sztuki, sztuki, sztuki, a potém krajobrazów, krajobrazów, krajobrazów.

Maneta Salomon jest rodzoną siostrą *Karola Demailly*, a starszą siostrą *Wychowania Sentymentalnego* Flaubert'a, któremu jedynie tylko dlatego dorównać nie może pod względem interesu, że jéj linije zacieśnione do dziwacznego świata artystów nie obejmują całości życia. Lecz za to świat artystyczny, którego Coriolis jest jednym okazem, tak samo jak w *Wychowaniu Sentymentalném* Fryderyk Moreau był jednym okazem całego społeczeństwa tam odmalowanego, nigdzie i nigdy nie został przedstawiony tak realnie, tak pełno i tak wyczerpująco we wszystkich swoich ujemnych i dodatnich objawach. Dla przeważenia *Manety Salomon* potrzebaby było na szali położyć chyba *Salony* Diderot'a, *Życie cygańskie* Murgera, *Pannę de Maupin* Gautiera i *Colombę* Merimée'go, tyle tam scen z życia artystów, tyle tam poglądów na sztukę, tyle tam łez i śmiechu, bólu i wesela, nędzy i rozpusty, głupoty i talentu tego świata dobrowolnie skazującego się na łzy, ból i nędze.

Lecz z *Manetą Salomon* kończy się u Goncourt'ów namiętność do kompozycyi w linijach życia rzeczywistego, do owego układu scen w myśl wrażeń nie zaś planu wyrozumowanego, w myśl nerwów artysty, który chce się *wyrazić*, nie zaś potrzeb umysłu przeciętnego czytelnika, który do celu trafić umie tylko po utartych drogach. Już *Siostra Filomena* trzyma się prościéj, a w *Irenie Mauperin* i *Germinii Lecerteux* sceny zazębiają się tak silnie, że psychologia pojedyńczych osób nic zdaje się nie cierpieć na nerwowéj wrażliwości autorów. *Pani Gervaisais* ten dramat walki kościoła

z umysłem kobiety, w któréj kościół zwyciężył, stoi dumnie po nad wszystkiemi powieściami jako posąg z bronzu artystycznego języka na piedestale granitowym psychologii. W miarę zatém jak przedmiot się zmieniał, kompozycya zmieniała się także, ponieważ nie można było charakteru świata mieszczańskiego (*Irena Mauperin*), najniższéj warstwy społecznéj ludu paryzkiego (*Germinia Lacerteux*), służby szpitalnéj (*Siostra Filomena*), lub mózgu kobiety wykształconéj (*Pani Gervaisais*) zamknąć w tych samych liniach co i charakter świata literackiego i artystycznego.

A przytém bracia Goncourt są „nowatorami na łeb i na szyję.“ Nie dosyć dla nich zmienić kompozycyą klasyczną dramatu powieściowego; nie dosyć odrzucić wszelką konwencyonalność w układzie scen! Ich temperament nerwowy nie byłby w stanie poruszać się swobodnie w formie, która im dla innych celów dwa razy już służyła. A więc jakkolwiek w czterech pozostałych powieściach dramat posiekany jest na cząsteczki najdrobniejsze, jakkolwiek nić historyi tak samo jak pierwéj porwaną jest na kawałeczki lub powiązaną z obrywków różnorodnéj przędzy, jakkolwiek ciąg powieści wymyka się im ustawicznie z pod pióra, kompozycya jednak, czyli następstwo scen, trzyma się ściśle momentów psychologicznych jednéj osobistości i tę osobistość stawia wyłącznie przed oczy czytelnika.

Jak *Karol Demailly* i *Maneta Salomon* stanowią datę w historyi rozwoju kompozycyi, tak *Germinia Lacerteux* i *Pani Gervaisais* stanowią znowu datę w historyi przedmiotu obserwacyj. Abstrahując od indywidualności artystów, która nie pozwala mieszać ich prac z pracami innych autorów, o takie powieści jak *Irena Mauperin* lub *Siostra Filomena* nie trudno w stosie powieści francuskich współczesnych i to tak dobrze pod względem trafności spostrzeżeń nad życiem mieszczańskim, jak i pod względem rozbioru tego potulnego świata zakonnic, który ma za ideał poświęcenie się, a za bodziec życia odnawianie się ran moralnych przeszłości.

Lecz *Germinia Lecerteux* to całkiém co innego. „Potrzeba bowiem uprzedzić publiczność — mówią bracia Goncourt w przedmowie — co się tam znajduje.

Publiczność lubi powieści fałszywe: powieść ta jest powieścią prawdziwą.

Publiczność lubi książki, które mają pozór światowy: ta książka przychodzi z ulicy.

Publiczność lubi dziełka łobuzoskie, pamiętniki ladasznic, spowiedzi alkow, brudy erotyczne, skandal który się podgina w obrazkach, za szybami księgarni: to zaś, co będzie czytać, jest

surowe i czyste. Niech nie spodziewa się wcale fotografii dekoltowanéj *Przyjemności*: studyum, które ma nastąpić, jest kliniką *Miłości*.

Publiczność lubi także czytanie anodynowe i pocieszające, przygody kończące się dobrze, wyobraźnie, które nie zakłócają ani jéj strawności ani jéj spokoju: ta książka, ze swojemi smutnemi i gwałtownemi zboczeniami, jest zrobiona naumyślnie w celu podrażnienia jéj zwyczajów i zaszkodzenia jéj hygienie."

Myliłby się jednak każdy, ktoby sądził że bracia Goncourt napisali *Germinią* jedynie w celu zeskandalizowania gustu publiczności. Autorowie „żyjąc w XIX wieku, za czasów głosowania powszechnego, demokracyi i liberalizmu, zadali sobie tylko pytanie, czy to co się nazywa „warstwą najniższą" nie ma prawa do powieści; czy ten świat pod światem, czy motłoch ma na zawsze zostać pod ciosem interdyktu literackiego i pogardy autorów, którzy aż dotąd zachowywali milczenie o jego duszy i sercu."

I bracia Goncourt w 1864 roku, a zatém na dziesięć lat przed sławnym *L'Assomoir*, a na szesnaście przed sławniejszą jeszcze *Naną* Zoli, napisali powieść, „któraby pokazała nędzę uczciwą, cierpienie ludzkie i łzy jakiemi się płacze na nizinach społeczeństwa." Ponieważ jednak chcieli łzami téj niziny społecznéj do łez wzruszyć wyżynę społeczeństwa, nie zaś, jak Zola, pokazać tylko mechanizm występku, przeto czytelnik odrzucił *Germinią Lacerteux*: brud życia nie wydał się jéj dość brudnym, dość interesującym, dość podrażniającym zmysły. A przytém bracia Goncourt do téj „kliniki Miłości" nanieśli tyle kwiatów sztuki, tyle łez współubolewania, tyle uśmiechów dobroci i pobłażliwości, że publiczność istotnie nie wiedziała czy ma do czynienia z brudem czy nędzą życia.

Germinia tymczasem jest tylko kobietą nieszczęśliwą; czémś, co w swéj roli prostéj służącéj niema prawa kochać, marzyć, cierpieć; czemś; co swoją miłością, marzeniem i cierpieniem na swój sposób, na sposób służącéj, nie jest wstanie wzruszać a nawet interesować. A jednak żyjemy w „wieku, który ma uszanowanie dla ludzi uczciwych a sympatyą dla łotrów" — według trafnéj obserwacyi Goncourt'ów w *Myślach i Wrażeniach*; więc postać tak obrażająca uczciwość konwecyonalną jak Germinia, powinna-by była wzbudzić w publiczności większe zajęcie niż każda inna. Gdzież tam! Publiczność interesuje się „fotografią dekoltowaną Przyjemności" nie zaś „kliniką Miłości," *Germinia Lacerteux* tymczasem jest tylko kliniką, w któréj operator zamiast czarować lub gorszyć audytoryum nagością preparatu, wyjaśnia przyczyny choroby, usprawiedliwia konieczność jéj istnienia.

Powieść jest studyum kobiety nerwowéj, która przez wpływy z zewnątrz stała się pastwą namiętności histerycznéj, która pomimo że kochała stale i gorąco, a raczéj dla tego może że kochała stale i gorąco, po szczeblach upadku zeszła aż na dno występku. Jest-to historya powszednia wszystkich kobiet publicznych, którym śmierć w szpitalu przeszkodziła zaopatrzyć się w książeczkę upoważnienia od rządu do oddawania się nierządowi. Jest-to cykl stacyi, przez jakie biedna dziewczyna, oszukana, wyzyskana i porzucona, szła na górę Kalwaryi, cierpiąc i jęcząc. Lecz „łzy jakiemi się płacze na dole nie mogą pobudzić do płaczu tak łatwo jak łzy któremi się płacze u góry.“ Gdyby *Germinia* była królową hiszpańską, jéj nieszczęście zmieniłoby kodeks cywilny i etyczny: jako prosta pomywaczka w garkuchni za młodu, a zwyczajna kucharka na starość, nie ma nawet prawa do wzruszania serc swoim brakiem szczęścia w życiu. A jednak jéj życie swojemi „otchłaniami smutku powinno by było zatargać sercem myśliciela i myślą lekarza,“ tak cierpienie jéj jest wielkie a zguba nieuchronną.

Pani Gervaisais jest powieścią bez intrygi, bez dramatu miłości, bez kochanka. Chodzi tu po prostu o studyum psychologiczne, o analizę jednego mózgu. Kompozycya zamknięta w liniach skończonych, tak dobrze sprowadza sceny różnorodne do wyrażenia jednéj myśli, że psychologia rozwija się od początku do końca bez najmniejszych zboczeń, bez żadnych przeskoków, bez żadnego wysiłku w nawiązywaniu faktów.

I dziwna rzecz! kiedy Flaubert w budowie swych powieści przechodził stopniowo od linii względnie prostych (*Pani Bovary*) do niesłychanie złożonych (*Wychowanie Sentymentalne*), kiedy Zola i Daudet, pod wpływem braci Goncourt, im daléj posuwali swoją indywidualność tém więcéj skłaniali się ku epizodyczności kompozycyi na wzór *Karola Demailly* i *Manety Salomon*, bracia Goncourt, wyszedłszy ze złożoności posuniętéj do ostatnich granic, skończyli na prostocie budowy przerastającéj w *Pani Gervaisais* wszystko co tylko dzisiaj się pisze.

Pani Gervaisais, bogata wdowa, przyjeżdża ze swym kilkoletnim synkiem do Rzymu. Zapał do sztuki i wysokie przygotowanie filozoficzne, pozwalają jéj uprzyjemniać sobie czas przeznaczony na pielęgnowanie dziecka (idioty z urodzenia) przebywaniem w muzeach, obcowaniem z filozofią pogańską, wnikaniem w istotę świata starożytnego. Nagłe wyzdrowienie kaleki, prawie cudowne powstanie dziecka z tyfusu, uderza tak silnie jéj mózg aż dotąd sceptyczny i rozważny, że mistyczne słowa jakiejś nieznajoméj, atmosfera Rzymu pobożnego i zręcznie zastawiane sidła Jezuitów pozbawiają ją

rozumu. *Pani Gervaisais* po stopniach wiary powoli schodzi na dno przepaści i, wyrzekłszy się siebie i swojego dziecka, umiera w ekstazie na widok papieża. Cała kompozycya zredukowaną tu została do opisów Rzymu i notowania faktu po fakcie, dnia po dniu, wpływów po wpływach, skutków po skutkach, a cała dramatyczność intrygi do walki rozumu z mistycyzmem, z wiarą i ekstazą religijną, które ostatecznie powalają rozum o ziemię.

Życie zatém ludu paryzkiego w jego najwstrętniejszych i najdramatyczniejszych objawach w *Germinii Lacerteux*; życie mieszczańskie, co ono może wydać najszlachetniejszego obok głupoty i śmieszności w *Irenie Mauperin*; umysł kobiéty prostéj, która pod wpływem kościoła staje się siostrą miłosierdzia, matką nieszczęśliwych, aniołem czystości i dobroci w *Siostrze Filomenie*; umysł kobiety wykształconéj, która pod wpływem mistycyzmu dostaje obłędu religijnego w *Pani Gerwaisais*; świat literacki, co on ma tylko najbrudniejszego w małych najemnikach i najczystszego w apostołach literatury w *Karolu Demailly*; i nareszcie świat artystyczny, co on ma najsmutniejszego i najweselszego w *Manecie Salomon*, — to ramy utworów braci Goncourt; które pod względem śmiałości, oryginalności, indywidualności, nie mają wiele sobie równych pomiędzy współczesnemi. I jeżeli rozdziały ich powieści tak krótkie, że ich po siedemdziesiąt i po sto w jednym tomiku zmieścić się może, nie zawsze połączone są z sobą w sposób właściwy do utworzenia całości jednolitéj; jeżeli częstokroć obejmują takie nawet przedmioty, które do pogłębienia psychologii danéj osobistości lub do charakterystyki ogólnéj życia całego społeczeństwa nie są potrzebne,— to niemniéj przeto każdy z nich po za czarem języka, po za niezwykłością myśli i trafnością spostrzeżeń, ma swoje znaczenie: przynosi bodaj cegiełkę, bodaj okruszynę nerwowości indywidualnéj do tego wielkiego gmachu choroby wieku: *newrozy*, jaki bracia Goncourt ze spostrzeżeń nad życiem swojego społeczeństwa i swojém własném postawić chcieli.

Zresztą zamętu, niepokoju, spustoszenia, choroby nerwów, spokojnemi liniami wyrazić się nie da. Bracia Goncourt potrzebowali wyrazić chorobę nerwów, i to jest najlepszém usprawiedliwieniem niepokoju ich kompozycyj.

(*dok. n.*) *Antoni Sygetyński.*

PODWÓJNA WRAŻLIWOŚĆ ZMYSŁÓW.

E. Bleuler i K. Lehmann. Zwangsmässige Lichtempfindungen durch Schall und verwandte Erscheinungen auf dem Gebiete der andern Sinnesempfindungen. Leipzig 1881. VIII, 96.

Ogden N. Rood opowiada, że już w roku 1795 fizyk Pfaff wpadł na pomysł drażnienia nerwu wzrokowego elektrycznością. Doświadczenie to powtarzano odtąd wielokrotnie zawsze z jednakowym skutkiem, to jest że pod wpływem takiego podrażnienia nie doznajemy bólu ale dostrzegamy przed oczyma świetlane zjawiska. Nawet w zupełnéj ciemności widzi się plamy nieraz tylko jasne, innym razem czerwone, zielone, fioletowe czy inaczéj barwne, które przemykają przed okiem jak błyskawica i znów powracają.

Chcąc się przekonać że światło nie jest jedyną podnietą nerwu wzrokowego, dość jest zamknąć oczy i nacisnąć powiekę. Pod wpływem takiego podrażnienia nerwu ocznego dają się widzieć kręgi świetlane zawsze—jak mówi Majer w swéj fizyologii zmysłów—„ze strony odwrotnéj względem naciskanego miejsca, zresztą u różnych osób odmienne, u mnie np. środkiem ciemne z obwódką ognistą.“ Ja zaś, naciskając oko i poruszając przytém powiekami, widzę szczególniejszą grę barw jakby w kalejdoskopie poruszanym z tą różnicą, że i barwa tła od czasu do czasu się zmienia, po którym barwne kółki, iskry, kreski i t. p. postacie rozbiegają się i zbiegają.

Zdaje się że silne uderzenie czy to w czoło czy w kark, może spowodować jednorazowe, świetlane wrażenie w oczach. W pospolitym bowiem mówieniu siła uderzenia właśnie oznacza się tém następnym zjawiskiem np. „takiém go w kark trzasnął aż mu świeczki w oczach stanęły!“

Tak więc światło, elektryczność i dotykanie, oraz silne wstrząśnienie nerwu wzrokowego są przyczynami powszechnie znanemi, które wywołują obrazy świetlane czy barwne zarazem.

Zdarzają się téż wyjątkowo osoby u których barwne obrazy powstają pod wpływem podniety własnéj woli. Tak opowiada Hieronim Cardano, że mógł widziéć każdy przedmiot jako rzecz świecącą jeżeli tylko *chciał*. Podobnie w nowszych czasach newrolog H. Meyer, który z zamkniętemi oczyma każdy myślą wywołany przedmiot mógł widziéć, jeżeli chciał, w przyrodzonéj jego wielkości i barwie.

Jednakże do niedawnego czasu było rzeczą zupełnie nieznaną, żeby podnieta, która drażni zazwyczaj pewien tylko zmysł, mogła jednocześnie być podnietą dla drugiego jeszcze zmysłu. Żeby np. dźwięk, woń lub dotykanie skóry mogło wywiązywać współcześnie wrażenia światła czy barwy. Bywają jednak ludzie obdarzeni taką *podwójną wrażliwością zmysłów*, i do takich właśnie należy jeden z autorów pracy, o któréj tu napisać zamierzam. Ta właśnie jego zdolność była przyczyną, że on i jego kolega, także student medycyny, wzięli się do pracy mającéj na celu zebranie danych: czy ta podwójna wrażliwość zdarza się u licznych osobników ludzkich i czy objawia się u wszystkich w jednakowy sposób.

Całość pracy rozdzielona jest na cztery części. Pierwsza omawia podwójną wrażliwość różnych zmysłów, druga ogólne właściwości wrażeń następczych, trzecia literaturę, a ostatnia podaje tablice i szczegółowe wiadomości.

Z zestawienia wszystkich wypadków pokazało się że podwójna wrażliwość zmysłów objawia się wielorakim sposobem a mianowicie że:

1) Rozmaite dźwięki wywołują jednocześnie wyobrażenie światła t. j. barwy oraz postaci i 2) odwrotnie.

3) Smak i 4) woń jednoczą się z wyobrażeniami barwy.

5) Barwy i postacie są wywoływane przez uczucie bólu, ciepła, czy dotykania.

6) Pewne postacie wywołują pewne barwy.

Nie każda jednak osoba, podwójnie wrażliwa, ulega wszystkim sześciu dopiero co wymienionym dodatkowym wrażeniom, owszem, takich wogóle jest bardzo mało. Najwięcéj jest takich, u których tylko pewne i to *bardzo nieliczne* dźwięki wywołują odpowiednie barwy. Wiele osób przypomina sobie, że w młodości coś podobnego odczuwały, ale z wiekiem zdolność tę zupełnie utraciły. Pie-

lęgnując, można ją wykształcić daléj. Ma się tu zatém rzecz zupełnie podobnie, jak z dowolném poruszaniem ucha. Posiadamy wszyscy założenia muszkułów i nerwów do tego sposobnych, a kto od młodości zacznie się w tém ćwiczyć, ten z pewnością na starość może strzydz uszami, chociaż takich ludzi jest wogóle bardzo mało.

To więc, co w zasadzie właściwém jest każdemu człowiekowi, to występuje tylko mniéj lub więcéj spotęgowaném u ludzi podwójnie wrażliwych. Objawia się to u nich najpospoliciéj w ten sposób, że dźwięki, głosy czy szelesty wywołują jednocześnie wyobrażenie światła i barwy.

Gdyby się to komu wydawało bardzo dziwném, że możemy wogóle doznawać wrażenia barwy, na którą nie patrzymy, ten niech przypomni sobie co powiedziano na wstępie, że prócz światła także elektryczność, dotykanie czy mechaniczne wstrząśnienie nerwu wzrokowego wywołują wrażenia barwne.

Z pomiędzy 76 osób, poznanych przez autorów jako wogóle podwójnie wrażliwych, 28% należy do téj grupy, w któréj ton wywołuje współcześnie barwę. Wogóle wysokość tonu wpływa przedewszystkiém na to, czy barwne zjawisko jest jasne czy ciemne i każdy łatwo zrozumie, że z wysokiemi tonami wiążą się jasne, z niskiemi ciemniejsze świetlane wrażenia. Wiele osób widzi przytém tylko światło jaśniejsze lub mniéj jasne, ale niezabarwione; dla innych wysokie tony są białe, pośrednie szare, a niskie czarne. Są tacy, u których kolejny porządek tonów, zaczynając od najwyższych, wiąże się z barwami w takim szeregu: czarna, ciemno-brunatna, brunatno-czarna, czerwona, pomarańczowa, żółta aż do białéj.

Te barwne złudzenia tonów mają swoję powierzchnię i przezroczystość, zależące od instrumentu, z którego są wydobyte. Tak opowiada ktoś podwójnie wrażliwy: „że C_1 grane na fortepianie jest żywo żółtawo-białe, niebłyszczące, prawie zupełnie przezroczyste, o granicach niewyraźnych, rozpływających się. Ten sam dźwięk na skrzypcach (grany *forte*) jest tylko nieco przezroczysty, ćmowy i nieco szorstki, tak jak zwykły papier, granice są przytém wyraźniejsze; na flecie zaś jest niezmiernie przejrzysty i ostro odgraniczony.“

Jeżeli zamiast jednego tonu odezwie się ich kilka, w akordzie czy melodyi, to występuje obraz pomięszanych i najrozmaiciéj ułożonych barw albo téż wszystkie spływają w jedną barwę. Podobnie nieraz i całe sztuki. Pewien młody człowiek opowiada, że jak tylko w *Walkiryi* Wagnera dojdzie do pierwszych taktów *des Feuerzaubers*, który ma oddawać płomienie ogarniające skałę Brunhildy zaraz widzi jaskrawo-czerwoną barwę. Wobec tego można zrozu-

mieć, co pisał Ludwik Ehlert o Symfonii Schuberta: „Pieśń A-dur w scherzo jest tak słoneczna, tak gorąca i trawiasto-zielona, że mi się na sercu tak dobrze robi, jakbym w południe wdychał zapach młodych gałązek jodłowych... Nie! jeżeli A-dur nie oznacza „zieloności“ to wówczas nie pojmuję chyba należycie barw tonów.“

A ktoś tak podwójnie wrażliwy ale niemuzykalny mówi: „Nie wiem właściwie co w tém jest, ale gdybym był malarzem i muzykiem, to mógłbym robić najdokładniejsze barwy dla każdego tonu i odnaleść tony dla każdéj barwy, nie wyłączając wszelkich zgrzytów i musianoby nam przyznać, że mamy przyrodzoną zdolność odnajdywać i odtwarzać związek, jaki zachodzi między światłem i dźwiękiem.“

Te same osoby, które są wrażliwe na tony, są téż i na rozmaitego rodzaju szelesty. Najpospolitsze barwy wywoływane przez takie nieharmonijne dźwięki są brunatne i szare; w różnych odcieniach, żółte a szczególniéj niebieskie i zielone są rzadsze, czerwonych dotąd nie napotkano. Wybrałem następujące przykłady: wdychanie powietrza — żółto-czerwone; szelest (np. potoku) — srebrzysty; mruczenie psa—brunatne; zegarek kieszonkowy idący — jasnożółty; tarcie drewna — zielone; tłuczenie młotem—niebieskie; ostrzenie np. kosy, czy noża — żółte, grzmot—szary; drapanie—zielony; wóz jadący—czarny; klaskanie w dłonie—niebieskawe. Co jest szczególnego to mianowicie to, że takie barwne złudzenia szelestów mają właśnie te osoby, w których tony wywołują tylko mniéj więcéj silną jasność bez barwy.

Natężenie dźwięku przy szelestach wpływa daleko więcéj na barwność wywołaną, niż przy tonach muzycznych. Tak np. ciche syczenie wywołuje wrażenie jakby szaréj pary, ale jeśli staje się głośném, to daje obraz najpodobniejszy do nieprzezroczystéj, szorstkiéj bryły srebra.

Mówiliśmy tak wiele o tym współczesnym barwnym obrazie dźwięku bez poruszenia może najciekawszéj kwestyi: gdzie on powstaje? Najczęściéj tam zkąd wychodzi dźwięk. Przy grze na gitarze struny są barwne, przy flecie otwór, do którego usta przykładamy, na fortepianie każdy klawisz uderzany, a jeżeli gra jest silną cały instrument; przy grze na organach dają się widzieć postacie jakby ognistych języków a przy tabakierce grającéj błyszczące kropelki. Te barwne obrazy zazwyczaj nie są ściśle ograniczone, co jest naturalne, bo gdy np. struna jest poruszona to nietylko drga cała ale i powietrze w koło niéj, jest téż w ruch wprawione, więc i obraz jest nieokreślony. W ogóle osoby badane pod tym względem nie dawały bliższych objaśnień, ze względu żeby się z prawdą nie minąć; je-

dna z nich zrobiła uwagę, że przecież patrząc na tę samę chmurę można widzieć, stosownie do fantazyi, rozmaite postacie, otóż przy tych barwnych złudzeniach nie można osobistéj fantązyi wykluczyć i dać wskutek tego objektywnéj odpowiedzi. Tylko to da się w ogóle powiedzieć, że wyższe tony dają obrazy ściśléj odgraniczone a głośniejsze dźwięki często większe niż cichsze. Różne osoby widzą téż różne obrazy. Tak np. głos trąby niski wydaje się jednemu ciemno-szary, biało upstrzony, a dwom innym na tle ciemno-brunatno-żółtym upstrzony jasno-żółtemi wyraźnie zarysowanemi wrzecionowatemi prążkami. Jak tylko dźwięk się zmienia, to zmienia się téż i jego obraz i barwa w mgnieniu oka. Jeżeli zaś zmienia się stopniowo i powoli to obraz może się tylko wydłużyć, tak np. jeżeli gwizd bieży przez długą skalę to przedstawia obraz rogu, którego podstawa ciemniejsza odpowiada niższym tonom. Podobnie ma się rzecz z szelestami tak np. gdy wóz jedzie po bruku, to daje się widzieć mnóstwo okrągłych ciemnobrunatnych wyniosłości, które w miarę podskakiwania wozu, wydłużają się w różne strony zawsze jednak wiążąc się z poruszającym się wozem.

Z tych wszystkich przyczyn naturalną jest rzeczą, że różne osoby słuchając koncertu doznają bardzo różnych wrażeń barwnych. Jedni widzą tylko ciągle zmieniającą się światłość, drudzy przeskakujące barwy różnych dźwięków; inni — dopóki ton główny się niezmienia — tę samę barwę tylko różnie jasną, a jeszcze inni barwy przeważającego w téj chwili w orkiestrze instrumentu. Tak np. Joachim Raff podał już przed dwudziestu pięciu laty, że dźwięki fletu były dla niego — niebieskie; oboju—żółte; rogu — zielone; trąby — szkarłatne; puzonu — purpurowe i fioletowe; fagotu — czarniawoszare.

Przechodzimy do dźwięków mowy. Towarzyszące im objawy świetlane są niezmiernie rozpowszechnione między podwójnie wrażliwemi osobami, zwłaszcza co do samogłosek. Byłoby naturalném, żeby szereg ich, zaczynając od jasnych, a postępując ku ciemnym, był taki: i, e, a, o, u. Nie wszyscy jednak podają taki porządek, chociaż ze statystyki przez autorów przeprowadzonéj wypada, że tak jest w znacznéj większości razów. Dla 37 osób jest *i* białe, dla siedmiu żółte, 4-ech zielone, 3-ech czerwone, a tylko dla 2-óch niebieskie, przeważają więc rzeczywiście jasne barwy. W 28 wypadkach jest *e* żółte. Barwy: czarna, niebieska i czerwona przeważają dla *a*, które jednak dla 6 osób jest białe. Tymczaseom *o* jest żółte, czerwone, brunatne, niebieskie i czarne, tylko dla 1 osoby szare, dla nikogo białe, ani zielone. Wreszcie przy *u* przeważają kolory: czarny, czerwony, szary i brunatny zatem *ciemne*.

Jeżeli samogłoski odpowiadają pewnym charakterystycznym tonom, to spółgłoski są pod pewnym względem podobne do ściśle oznaczonych szelestów; ale pod pewnym tylko względem, bo ponieważ przy ich wymawianiu tylko niektóre części gęby i ust są poruszane, przeto inne mogą wpływać na resonans ich dźwięku. Podobnie też jak szelesty wywołują spółgłoski barwy ciemne, między szarą i brunatną się mieszczące, chociaż zdarzają się i wszystkie inne barwy tylko daleko rzadziéj. Przeciętnie da się tylko o *h*, *l* i *u* powiedziéć że są jaśniejsze, zaś o *z* (1), *v* i *f* że są ciemniejsze od innych.

Ponieważ autorowie przekonali się, że u pewnych osób, jakieś figury czy znaki pisane wywołują barwność, przeto zadali sobie pytania, które szczegółowo rozbierają; czy zjawiska barwne widziane przy słyszeniu wyrazów odpowiadają ich dźwiękom czy téż postaciom które je wyobrażają? i dochodzą do przekonania że tu chodzi o dźwięki.

Stosownie do dźwięków, z jakich się wyraz składa, wywołuje téż różnobarwny obraz i to najczęściéj obraz kolorowych liter, pisanych, czy drukowanych, z których się wyraz składa. Mogą się jednak litery zacierać i tylko barwne paski, niby widma słonecznego, pozostają. Niema jednak między niemi ścisłych granic, ani cała barwna smuga nie jest z góry i dołu ściśle odgraniczona. Barwa pewnego dźwięku wpływa na barwę przed nim stojącego, tak np. dla pewnéj osoby jest *p*, w wyrazie „Pinsel“ — jasnożółte; w „Pater“ — ciemnobrunatne; w „Polen“ — czerwonożółte, a w „Paul“ niebieskawo-brunatne. U sześciu osób całe wyrazy dawały jedną barwę, bardzo często przeciętną z barw dźwięków w ich skład wchodzących. Tak opowiada ktoś, że z biblijnych postaci „Joseph“ przedstawia mu się żółto, „Adam“ niebieskawo, „Ewa“ jasno-niebiesko. Dla innéj „Sophie“ jest czerwona piramida; „Gritli“ biały owal; „Samstag“ czarny trójkąt; „Heiri“ jasny słup. Zależy tu przeciętna barwa nieraz od akcentu, tak np. Rudolf zielony (dla téj osoby *u* jest zielone), a przeciwnie Rudolf żółty, bo *o* jest pomarańczowe w tym razie. Zresztą siła głosu, jego „barwa“! — jak się to mówi, szybkość wymawiania, wszystko wpływa na pewną barwność wyrazu, ztąd wynika, że mało kto jest w stanie bez namysłu odpowiedziéć dokładnie, jak pewien wyraz jest dla niego zabarwiony.

Najpospoliciéj wyrazy, oznaczające imiona, nazwy miesięcy, dni tygodnia i liczby mają stałe barwne obrazy.

---

(1) Nie należy zapominać że to piszą Niemcy więc z wymawiają odmiennie niż my i to się tyczy ich dźwięku.

Tu samo przez się nasuwa się pytanie: czy w takich razach, kiedy chodzi o imiona własne, raczéj nie inne wpływy działają. Któż bowiem, widząc raz w młodości starą „Brunhildę," np. ubraną w czerwoną suknię, na myśl tego wyrazu nie będzie widział zaraz czerwonéj barwy. Albo, jeżeli obok nas w klasie siedział Antoś, któremu papa kazał zrobić majteczki z bilardowego sukna, gdy je rozdarł, to potem Antoś i zieloność będą zawsze w naszym umyśle chodzić w parze. Autorowie ściśle tę rzecz badali i przekonali się, że tak rzeczywiście bywa, że wspomnienia młodości *niekiedy* są rozstrzygające, ale tylko wyjątkowo.

Co do mowy, to ta niespodziewanie przedstawia się tylko szaro lub brunatno. Z toku rzeczy wypadałoby inaczéj i autorowie téż zaznaczają swe zdziwienie, zapominając, że mojem zdaniem ludzie pospolicie miewają rzeczywiście szare i bezbarwne mowy!... Trzebaby spróbować z... jakim biegłym i logicznym mówcą. Barwa głosu, jego wysokość decydują o większéj lub mniejszéj jasności szaréj barwy.

Dla pewnéj osoby język niemiecki był szary, w porównaniu z tym, francuski ciemno, — angielski jasno brunatny, włoski, stosownie do prędszego, czy powolniejszego wymawiania, brunatnawy lub niebieskawy, a jeden tylko staro-grecki wybitnie jasny, bo żółtawy. Wątpię wobec tego, czy zdanie: „chrząszcz brzmi w trzcinie," nie byłoby czarne podobnie, jak—zawsze dla tego samego indywiduum—język hebrajski.

* * *

Tylko u czterech z 76 osób światło wywoływało niekiedy jednocześnie i wrażenia dźwięków. Ale jednę rzecz prawie wszystkie odczuwały, to jest po zachodzie słońca, choćby w koło nich było bardzo gwarno, uczucie szczególniejszéj *ciszy*, kiedy zwykli śmiertelnicy psychicznie odczuwają wówczas tylko spokój. Właściwie to, co słychać, to nie są głosy, ale szelesty, które można porównywać do dźwięków spółgłosek i samogłosek. Tak np. księżyc w pełni wywołuje szelest, jakby złożony z *l* i głębokiego a tępego *o*.. Przy patrzeniu się na księżyc przez zielone szkło szelest staje się dźwiękiem *öä*. Gwiazdy świecące wydają się trzeszczeć jak sól w ogień wrzucona, dla kogoś innego dają głos, jak tryskanie cienkiego strumienia wody.

* * *

Daleko pospoliciéj mają smaki i zapachy swoje barwy. Badania w tym kierunku są jednak trudniejsze niż z dźwiękami, bo zazwy-

czaj smaki i zapachy są mięszane, prócz tego drażnią nieraz i inne nerwy, dalej w praktyce trudno ich oddziaływanie rozdzielać, a wreszcie ich ciała są często barwne, i tém samém muszą zmieniać wpływ barwnego złudzenia.

Na 76 było takich osób 12. Z tych cztery oświadczyły, że barwa wonnego przedmiotu przeważała we wrażeniu barwę złudzenia, spowodowaną jego wonią. Nie było téż ani jednéj osoby, w którejby wszystkie smaki i zapachy wywoływały *odrębne* barwy. Kilka przykładów: Smak i zapach wanilii—lila; amoniak—biały; ocet—czerwony; zgnilizna—barwa gotowanéj fasoli; woda kolońska zdala—czerwonawa, pod nosem—szara; śledź—blado-żółty, innym razem srebrzysto-szary; cebula i anyż—szary itd.

Najłatwiéj barwne wrażenie występuje, jeżeli zapach nagle uderza. Przyjemne zapachy mają jaśniejsze i weselsze barwy, niż smrody. Najpospolitsze barwy są: żółta, brunatna, czerwona i szara; fioletowa i niebieska rzadsze, a zielona bardzo rzadka.

Co do smaków, to słodkie i słone wywołują barwy przeważnie jasne, kiedy gorzkie dają zawsze czarno-brunatne czy czarne, a co do kwaśnych to zdania są podzielone. Najczęściéj barwa jest żółta, brunatna lub czerwona, często zielona, rzadziéj niebieska, szara i czarna.

Tak jak przy dźwiękach barwa występowała w miejscu ich powstawania, tak podobnie tutaj część gęby, w któréj doznajemy wrażenia smaku, jest téż siedliskiem barwnego wrażenia. Ztąd jasne, że nie mogą być na łokieć wielkie. Przy zapachach barwa nietylko siedzi w nosie, ale otacza ciało woniące lub przestrzeń, w któréj zapach się rozchodzi.

* * *

Równie często téż dotykanie skóry powoduje barwne wrażenia. Autorowie wyliczają takich osób 12, a jak widzą przez porównanie, jest między niemi 8 takich, które były téż na zapach i smak wrażliwe. Te wrażenia są najczęściéj czerwone, żółte i szare, brak fioletowych. Występują w miejscach podrażnienia mechanicznego i odpowiednią do tegoż jest ich wielkość i postać. Bóle mają jasne barwy, chyba że są tępe, to znacznie czernieją.

Brzmi to bardzo oryginalnie, że szczypanie jest żółte, i tém jaśniejsze, im silniejsze; krajanie ciała—jasno-różowe; swędzenie—szare: kolki—jasno-żółte albo czerwone czy brunatne kule. Dla téj saméj osoby zimno—białe; letnio—bezbarwne; ciepło—czerwone; gorąco—żółte lub białe. Dla innych: ból brzucha—ciemno-czerwony

czy żółty; ból zębów—czerwony, ból głowy—brunatny czy czerwony lub zielony; ból żołądka—pięknie niebieski; łechtanie—żółte; duszenie—szare, itd.

* * *

U czterech tylko osób wywoływał widok figur barwności, ztąd trudno coś ogólnego pod tym względem powiedziéć. Dla jednego jest np. kwadrat ciemno-czerwony, trójkąt czarny, koło jasno-czerwone. Rozmaite kreski wydają się jasne czy ciemne, ale z niewielu faktów nic pewnego prócz szczegółów niepodobna podać.

W części drugiéj zaznaczają autorowie przedewszystkiém, że u osób, których o to zapytywali (takich było tylko 7, to znaczy zaledwie 10%), te pochodne wrażenia zmysłowe są tak dalece *koniecznym* następstwem właściwych czyli pierwotnych, że osoby te nie mogą sobie nawet *pomyśléć* jakiegoś tonu, szelestu czy zapachu bez odpowiedniéj im barwy.

Przekonano się téż, że ta sama podnieta zmysłowa wywołuje zawsze takie same wrażenie pochodne czyli następne, a czy to ostatnie występuje mniéj lub więcéj żywo, to już zależy tylko od chwilowéj uwagi.

Odwrotnie téż wrażenia pochodne mają pewien wpływ na nasze wyobrażenia, zwłaszcza te, które powoduje mowa. Tak np. wiadomość, że pewna osoba ma właściwe sobie imię wpływa na wyobrażenie jakie sobie o niéj robiémy, a to stosownie do dźwięków jakie w skład tego imienia wchodzą.

To naprowadza mnie na myśl, że ten fakt może nam przynajmniéj pod pewnym względem tłómaczyć to, co nazywamy uprzedzeniem czy sympatyą. Jeżeli bowiem imię osoby, nieznanéj nam jeszcze, brzmi jasno lub ciemno, to już z góry usposabia nasz umysł dobrze lub źle względem téj osoby; daléj przy spotkaniu się z nią jéj głos może wpływać na jasność czy barwność wrażeń następczych i znów dobrze czy źle usposabiać. Perfumy jakich ta osoba używa nie mogą być pod tym względem obojętne a teorya odoriferów Jessena znajduje w téj pracy niewątpliwe poparcie pewnego przynajmniéj wpływu.

Wogóle można powiedziéć, że wrażenia następcze są czynnikiem, który na nasz umysł pod względem jego stanu i na nasze estetyczne usposobienie wpływa zupełnie tak samo jak zwykłe wrażenia.

Zajmują się dalej autorowie zestawieniem: o ile podania różnych osób o następnym wrażeniu wywołanym tą samą podnietą są z sobą zgodne. Z toku opowiadania widzieliśmy już, że u różnych osób bywa to różnie, a z wielu wypadków można jakieś ogólniejsze zasady wyprowadzać.

Podwójna wrażliwość jest dziedziczna, zwłaszcza zaś usposobienie do niéj, tak dalece, że jeżeli w pewnéj rodzinie jeden członek starszego pokolenia ma pewne charakterystyczne wrażenia barwne, to one powtarzają się w jego dzieciach. Wiadomości autorów ograniczają się jednak tylko do dwu pokoleń.

Autorowie zapytywali 596 osób, z pomiędzy których 76, a zatém 12½%, miało podwójną wrażliwość. Procent to ogromny i niewątpliwie ogólnie za wielki, bo sami autorowie zaznaczają, że im więcéj osób wciągali w zakres swych badań, tém stosunek ten, podwójnie do pojedynczo wrażliwych, stawał się mniejszym.

W zbieraniu danych byli bardzo ostrożni, bo zadawali tym samym osobom pytania, na które otrzymali już raz odpowiedzi, powtórnie, po upływie pięciu kwartałów i jeżeli nie było zupełnéj zgodności między temi dwoma podaniami, to odrzucali całe spostrzeżenie jako niewiarogodne. Z drugiéj znów strony, osoby, obdarzone podwójną wrażliwością, nieraz przeczą jéj istnieniu.— W rozmowie o tym przedmiocie, w kółku filologów, kiedy inni przemawiali za, inni przeciw, tylko jeden stanowczo rzeczy przeczył, dodając jednak: „naturalnie, że *i* nie może być czarne, bo jest jasne, a odwrotnie *a* nie można sobie wyobrażać białem czy zielonem, bo jest czarne, ale na téj podstawie utrzymywać, że istnieje podwójna wrażliwość zmysłów jest nonsensem!“

Statystyka jest więc trudna, a trudność zwiększa się jeszcze wobec tego, że *niema ścisłéj* granicy między zwykłą a zdwojoną wrażliwością zmysłów. Są bowiem osoby, u których każda podnieta wywołuje następcze wrażenia, są inne, u których tylko bardzo nieliczne podniety są wstanie barwność wywołać. Wobec zaś tego co powyżéj powiedziałem, że przynajmniéj w założeniu ta zdolność jest właściwa wszystkim ludziom, zwłaszcza w granicy tonu i barwy, jasną jest rzeczą, że znajdujemy wszystkie możliwe przejścia między ludźmi zupełnie niewrażliwemi następczo i bardzo wrażliwemi.

Następuje teraz próba rozbioru w jaki sposób wrażenia następcze powstają, niedoprowadza jednak ona autorów do żadnego zadawalniającego wyniku. W odsyłaczu jednak robią uwagę, że osobiście (to znaczy że i to tłómaczenie nie uważają za mogące wytrzymać krytyki naukowéj) uważają podwójną wrażliwość za pewien rodzaj *atawizmu*, sięgający jeszcze tych czasów, kiedy podział pracy

zmysłów nie był dokonany i kiedy ta sama podnieta wywoływała rozmaite wrażenia. Moim zdaniem jest to omijanie trudności i mijanie się z prawdą, kto bowiem zna najniższe ustroje i ich fizyologiczne właściwości, ten by podobnego zdania à la Haeckel łatwo wszystko tłómaczącego nie wypowiedział.

Także kwestya czy taka podwójna wrażliwość nie jest właściwą osobom mającym skłonność do psychozy zajmuje autorów i rozbiór jéj prowadzi do negatywnéj odpowiedzi.

Co do literatury, to autorowie cytują tylko wzmiankę w pierwszym wydaniu Wundta: Physiologische psychologie, 1874, p. 452, 668 i 850; tudzież pracę F. Nussbauma w Wiener medicinische Wochenschrifft 1873, N. 1—3, które się wprost tu odnoszą. Zwrócono mi uwagę, że u Keisera: Compendium der physiologischen Optik z r. 1872 znajduje się już opisany wypadek osoby, u któréj każdy wyraz wywoływał barwę.

Po za tym znajdują się w literaturze liczne uwagi, które dziś wiedząc o co chodzi, można podciągać pod te zjawisko, które jednak nie są jasno wypowiedziane tak u H. Lotrego czy w Geschichte der Farbenlehre, którą skreślił Goethe.

Ostatnią część zajmują szczegółowe opowiadania 77 badań, dokonanych na różnych podwójnie wrażliwych osobach. Jest-to rzeczywistą zasługą autorów, że i daty te ogłosili drukiem; nadaje to ich pracy wielką wartość, bo przedstawia krytycznie zebrany materyał, który każdy może przejrzyć i na podstawie tegoż wyprowadzać samodzielne wnioski. Zresztą będzie to zawiązkiem dla dalszych badań nad tym samym przedmiotem.

Wyniki całéj pracy zestawiają autorowie na samym końcu książeczki w następujących 10 zdaniach:

1) Jasne wrażenia barwne bywają wywoływane przez: wysokie gatunki dźwięków, silne bóle, ostro zarysowane dotykania, małe i śpiczaste formy, kiedy odwrotne podniety wytwarzają ciemne wrażenia barwne.

2) Wysokie dźwięki powstają pod wpływem: jasnego światła, ostrego odgraniczenia, małych i śpiczastych form, niskie dźwięki przez rzeczy odwrotne.

3) Wrażenia barwne ściśle ograniczone jako téż niewielkich rozmiarów i ostre, bywają wywoływane przez wrażenia wysokich dźwięków.

4) Najpospolitsze barwy wrażeń następczych są: czerwona, żółta i brunatna, niebieska jest pośrednia, a fijoletowa i zielona są rzadkie.

5) Różne osoby miewają odmienne wrażenia barwne czy wogóle następcze.

6) Pierwotne wrażenia, które są nam przyjemne mogą wywoływać nieprzyjemne następcze i odwrotnie.

7) Stan umysłu wpływa o tyle na wrażenie następcze o ile może wpływać na pierwotne, ale zresztą wrażenia następcze, są niezmienne.

8) Wrażliwość podwójna jest dziedziczna.

8) Ślady wrażliwości podwójnéj są niezmiernie rozpowszechnione, a $1/8$ osób badanych miała ją widocznie rozwiniętą.

10) U osób z pewną psychozą wrażliwość podwójna nie jest częstsza jak u zupełnie zdrowych.

Dr. J. Rostafiński.

NAJNOWSZE BADANIA PODAŃ I ICH ZBIORY.

(*Dokończenie*).

V. Podania litewskie.

Podstawą i niezbędnym warunkiem badań nad podaniami, ma się rozumiéć, są ich zbiory. Im ich jest więcéj i im są dokładniejsze, tém studya podanioznawcze stają się szerszemi i pewniejszemi.

Na zachodzie Europy gromadzenie dzisiejszych bajań ludowych i odgrzebywanie dawnych legend i podań znakomicie naprzód się posuwa. Powstają stowarzyszenia i zbioropisma umyślnie temu celowi poświęcone; a oprócz tego w czasopismach starożytniczych, etnograficznych, nawet teologicznych i dziejowo-prawniczych bardzo często spotkać można materyały i rozprawy podanioznawcze. Nic w tém dziwnego; z jednéj strony przekonano się, iż początkowe okresy każdéj nauki owiane są mgłą mityczną, tem gęstszą, im w odleglejszéj przeszłości poszukiwania się odbywają; z drugiéj zaś strony dostrzeżono i zrozumiano, że w układzie pojęć dnia dzisiejszego niepoślednim czynnikiem jest mniéj lub więcéj szczątkowa tradycya owych czasów zamierzchłych; że zatem, dla poznania i zrozumienia wyobrażeń i wogóle całéj cywilizacyi dzisiejszéj, niezbędną jest metoda genetyczna czyli rozwojowa, a ta koniecznie wstecz prowadzi i nakazuje dotrzeć do źródeł, nad któremi zawsze buja mgławica mityczna.

Owóż od nowego roku zaczął w Londynie wychodzić miesięcznik, poświęcony gromadzeniu, wyjaśnieniu i porównywaniu rzeczy ludowych, bez ograniczenia zakresu samą tylko Anglią; tytuł tego pisma jest „The Folk-lore Journal,“ a objętość zeszytu pierwszego dość skromna; jest to ciąg dalszy dziesięciotomowego zbioru, już

ogłoszonego pod tytułem „Folk-lore Record.“ Wyraz *folklore* (dosłownie wiedza ludowa) wchodzi w użycie u uczonych romańskich wraz z odpowiedniemi badaniami i wydawnictwami, bo oto na rok 1882 we Francyi ogłoszono „Almanach des Folkloristes“, zawierający kalendarz ludowy, adresa „folklorystów“ francuzkich i zagranicznych, bibliografią dotyczącą rzeczy ludowych za rok 1882, nieco podań i pieśni; a w dalekiéj Hiszpanii ukazało się rok temu również zbioropismo pod napisem „El Folklore andaluz“ (Sewilla, 1882); we Włoszech Pitrè i Sabatini wydają „Rivista di letteratura popolare“ od r. 1877; nie mówię już o licznych zbiorach oddzielnych i o rozprawkach, rozsianych po czasopismach wszystkich krajów ucywilizowanych; słowem ruch na tém polu ogromny i zapowiadający piękne wyniki.

Niżejpodpisany starał się i naszą publiczność zachęcić do zbierania rzeczy ludowych (1), zdaje się jednak iż dotychczas bez szczególnego powodzenia. Tylko niezmordowany O. Kolberg i krakowski zbiór wiadomości do antropologii krajowéj (dotychczas tomów sześć) nieustannie zbogacają archiwa literatury gminnéj. To jednak, co się u nas na tém polu robi, ani w dziesiątéj części nie odpowiada potrzebie i mnóstwo materyałów możnaby jeszcze zebrać u ludu naszego, a są okolice prawie nietknięte, jak np. Żmudź, o czem łatwo się przekonać, zajrzawszy do nadzwyczaj zajmującego zbioru Veckenstedta, o którym poniżéj nadmienię.

Obecnie zamierzam przejrzéć objawy ruchu tego na dwóch najmniéj odwiedzanych polach, z wielu względów bliżéj nas obchodzących litewskiém i łużyckiém. „Należy się od nas nauce w ogólności i bratniemu a niepiśmiennemu plemieniu w szczególności więcéj niżeśmy zrobili. Jeszcze czas, możemy dług ten spłacić, byleśmy umiejętnie a gorliwie jęli się pracy. Wkrótce może być za późno: mogą nas ubiedz Niemcy, jak już w wielu rzeczach ubiegli;“ tak pisałem w r. 1874 (2), nie przeczuwając że nie będę fałszywym prorokiem; a jednak od owego czasu my nie zrobiliśmy prawie nic w tym kierunku, a Niemcy dosyć wiele. Posiadamy z dawniejszych czasów: kilka prac Jucewicza (Ludwika z Pokiewia), zawierających trochę podań i przysłów, parę drobnych zbiorków pieśni; zbiorek przysłów, wydany (bezimiennie) przez biskupa Wołączewskiego; szczupły zasób urywkowych notat w czasopismach ilustrowanych; (obchód

(1) Ogłoszony w r. 1871 mój „Poradnik dla zbierających rzeczy ludowe“ rozesłałem przy czasopismach i oddzielnie w kilku tysiącach egzemplarzy; przedrukował go kalendarz wileński na r. 1882.

(2) Rozprawy i sprawozd. z posiedzeń wydz. filolog. Akad. Umiej. II, 330.

weselny w powiatach sejnskim; kalwaryjskim... przez H. Giegużyńskiego, *Kłosy*, t. 7 i 8 i inne, rozprawkę Mierzyńskiego o Łasickim,— oto i wszystko, bo o zaciekach Narbutta w I tomie Dziejów narodu litewskiego i o Kraszewskiego Litwie niepodobna mówić jako o źródłowych zbiorach rzeczy ludowych, gdyż prawie nic w nich z pierwszéj ręki niéma; do tego skromnego zasobu ostatniemi czasy przybył tylko zbiorek pieśni litewskich, dostarczony przez Kolberga (1) komisyi antropologicznéj krakowskiéj i pieśni oraz opis wesela Litwinów wielońskich Juszkiewicza (2). Wprawdzie te ostatnie prace tak są ważne i tak starannie wykonane, że do pewnego stopnia pocieszyć mogą w niedostatku obszerniejszych i wszechstronnych zbiorów, lecz tylko pocieszyć, ale nie zastąpić takowe. Niemcy tymczasem założyli towarzystwo literackie litewskie w Tylży, w r. 1882 wydawali pięć czasopism w języku litewskim, a do ogłoszonych poprzednio zbiorów pieśni Rhesy i Nesselmanna, zbiorów podań, pieśni i przysłów Schleichera, gramatyk jegoż i Kurschata, słownika niemiecko-litewskiego tegoż Kurschata, dwóch wydań „Roku“ Donalejtysa (Schleichera i Nesselmanna), słownika litewsko-niemieckiego Nesselmanna, dodali: zbioropismo towarzystwa litewskiego tylżyckiego (3); przedruki różnych zabytków litewskich XIV wieku (4); studya nad wyrazami obcemi, używanemi w mowie litewskiéj (5); przyczynki do dziejów języka litewskiego na podstawie tekstów XVI i XVII wieku (6); teksty wschodniolitewskie, z objaśnieniami (7); zbiór pieśni i podań litewskich z okolic Wilkiszek i Godlewa, z dodatkami porównawczo-podanioznawczemi Wollnera, słowniczkiem i uwagami gramatycznemi (8); wreszcie wymieniam tu razem ogłoszone w Moskwie r. 1873 przez Millera i Fortunatowa pieśni litewskie, drukowane cyryllicą, z przekładem rosyjskim. Prócz

(1) W trzecim tomie zbioru wlad. do antropol. krajowéj.

(2) Lietùviškos dájnos, Kazań, tomów trzy, 1880—1882; Svotbìnė vėda, tamże, 1880.

(3) Mittheilungen der litauischen literar. Gesellschaft, Heidelberg, od r. 1880 zeszytów sześć.

(4) Bezzenberger, Litauische und lettische Drucke des XVI Jahrhunderts, Getynga, zeszytów trzy, 1874—1882; Geitler, Litauische Studien, Praga 1875 (autor jest Chorwatem, ale pisze po niemiecku).

(5) Brückner, Litu-slavische Studien, część I: Die slav. Fremdwörter im Litauischen, Weimar, 1877.

(6) Bezzenberger, Beiträge zur Geschichte der litauischen Sprache, Getynga, 1877.

(7) Baranowski i Weber. Ostlitauische Texte, zeszyt I, Weimar, 1882 (pismo to, chociaż głównie prałatowi Baranowskiemu z Kowna zawdzięczamy, zaliczam do niemieckich, gdyż po niemiecku wychodzi).

(8) Leskien i Brugmann, Litauische Volkslieder und Märchen, Sztrasburg, 1882.

tego nie mało jest oddzielnych artykułów, odnoszących się do rzeczy litewskich, a także drobniejszych zbiorów zabytków tak zwanéj literatury ludowéj w zbioropismach Jagicza (Archiv für slavische Philologie), Bezzenbergera (Beiträge zur Kunde der indogermanischen Sprache), w Altpreussische Monatsschrift i innych. Zapowiedziana jest nadto gramatyka litewska H. Webera, a w Heidelbergu wychodzi zeszytami na wielką skalę zamierzony zbiór mitów i podań żmudzkich Veckenstedta (1), tego samego, który przed trzema laty ogłosił podania łużyckie; o obu tych wydawnictwach poniżéj się rozwiodę.

Widzimy z tych wskazówek, jak dalece obcy nas zawstydzają w zbieraniu rzeczy ludowych! Dla czego ogromny zastęp ukształconéj szlachty i oświeconego duchowieństwa w powiatach, gdzie lud mówi po litewsku, żmudzku i łotewsku nie pomyśli o spełnieniu swojego obowiązku? Dla czego koniecznie obcy mają być zawsze pracowitszymi i sumienniejszymi od nas? Gniewamy się, gdy Niemcy zagarniają nasze siedziby, nazywamy ich pogardliwie kulturtregerami: ale czyż zbadanie prowincyi pod względem językowym, podaniowym i innemi nie udziela pewnych praw tym, którzy nad niém się trudzili? Mnie się zdaje że dziedzic, jeźli ma być dziedzicem, powinien przedewszystkiém wiedziéć co ma i posiadać plan i inwentarz swéj posiadłości; bo inaczéj czemże praw swych dowiedzie?

Ale jeszcze czas, jeszcze dużo powetować możemy; moglibyśmy nawet dziś jeszcze ubiedz cudzoziemców, bo nam łatwiéj, przy naszéj znajomości narzeczy i stosunków miejscowych. Pozbądźmy się raz zgubnego a haniebnego ospalstwa, weźmy się raźnie do rzeczy, a wspólnemi usiłowaniami nagrodźmy dawne zaniedbanie!

Nie zamierzam tutaj referować o wszystkich wyżéj wymienionych przyczynkach do zaznajomienia się z litewszczyzną. Powiem tylko po krótce o najnowszych zbiorach rzeczy ludowych, które dopiéro co przytoczyłem; lecz przedtém kilka słów zamieszczę o badaniach wyrazów obcych, używanych przez Litwinów, jako o rzeczy bliżéj nas obchodzącéj, gdyż najwięcéj tych wyrazów z języka naszego pochodzi.

W rozprawie mojéj O języku litewskim (str. 310—324) nie mogłem obszernie rozwieść się nad tym przedmiotem, bo miałem tam wiele innych pytań do potrącenia. Ma się rozumiéć że oddzielenie wyrazów obcych od własnych w jakimkolwiek języku jest sprawą

---

(1) Die Mythen, Sagen und Legenden der Žamaiten, dotychczas zeszytów dwa, mają być dwa spore tomy.

niełatwą, a wyświetlenie jéj i spisy tych wyrazów całe tomy zająć mogą, i powinny. Ograniczyłem się więc jedynie wskazówkami dróg, jakiemi wędrować mogły wyrazy, wspierając je poglądami na geograficzne, etnograficzne, polityczne i dziejowe warunki. W parę lat po mojéj pracy, pan A. Brückner ogłosił swoją, wymienioną wyżéj. Ogłaszając ją, moją dopiero poznał po wydrukowaniu swojéj rozprawy, więc wspomniał o niéj tylko w przedmowie i dodatkach. Pochlebiam sobie, iż gdyby wcześniéj miał w ręku rozprawę moję, nie popełniłby wielu usterek w swojéj, która zresztą odznacza się wysokiemi zaletami. Nie mogę tu wchodzić w szczegółową polemikę. Powiem tylko ogólnie, o pracy p. Brücknera, iż daleką jest od zupełności i doskonałości i myślę, że na polu infiltracyi wyrazowéj polsko-litewskiéj wiele jest jeszcze do zrobienia, a monografia p. Brücknera winna być skrzętnie sprostowaną i dopełnioną.

„Teksty wschodniolitewskie“ zawierają, w pierwszym dotąd ogłoszonym zeszycie, dawno znany z kalendarza wileńskiego Iwińskiego ładny, idylliczny wiersz ks. Baranowskiego, przedrukowany pierwéj jeszcze w wymienionych „Przyczynkach“ Geitlera; tutaj pojawia się on w poprawniejszéj pisowni, ze wstępem gramatycznym i objaśnieniami narzecza z okolicy Onikszt (powiat wiłkomirski), w którym jest napisany. Narzecze to różni się nieco od górnolitewskiego, używanego np. w Augustowskiém. Widzimy tu także projekt zmodyfikowanéj grafiki i pisowni litewskiéj, proponowanéj przez ks. Baranowskiego, a opisanéj przez Webera, autora mającéj się ukazać gramatyki litewskiéj.

Te wszystkie usiłowania jednostek, celem wyświetlenia budowy i uratowania zabytków ustnych języka litewskiego, chciałoby ześrodkować i zużytkować „Towarzystwo literackie litewskie“ w Tylży. Zawiązało się ono w końcu r. 1878 i rozesłało odezwę, która się poczyna od następnych słów charakterystycznych: „Mowa litewska, jedna z najważniejszych dla językoznawstwa, szybko zmierza ku upadkowi; jednocześnie zagrożona przez języki niemiecki, polski, rosyjski i łotewski, nie długo pożyje. Z nią zaginie odrębność plemienia, które czas jakiś panowało na północy Europy, zaginą téż zwyczaje, podania i mity, zaginie poezya, która zwróciła uwagę takiego Herdera, a naśladowcę znalazła w takim Chamisso.“ Wzywa przeto odezwa, aby wszyscy specyaliści i wogóle ludzie dobréj woli przyczynili się do uratowania przynajmniéj „dokładnego obrazu tego, co z praw natury i rozwoju dziejowego zginąć musi,“ iżby „w oczach naszych nie powtórzyło się to, co nieraz się przytrafiało, ze szkodą wiedzy historyczéj: że całe ludy, zasługujące na szacunek i współczucie nasze, bez godności i śladu ginęły.“ Odezwę tę wy-

glądającą poniekąd na mówkę pogrzebową nad umierającym i zaproszenie do zdjęcia jego przedśmiertnéj fotografii, oraz spisania ruchomości, podpisało piętnaście osób, wśród których czytamy nazwiska Miklosicha, Potta, Bezzenbergera, Nesselmanna, Töppena, Gisewiusza i Mannhardta. W następnym roku zawiązało się tedy towarzystwo i ogłosiło statut, którego § 1 opiewa: „Towarzystwo literackie litewskie stanowi ognisko dążeń, zmierzających ku zachowaniu dla nauki (więc nie dla życia??) wszystkiego, co się odnosi do Litwy i Litwinów, we względzie językowym, dziejowym, ludoznawczym i t. d.“ Składka roczna członków wynosi 3 marki; towarzystwo ma wydawać zbioropismo, gromadzić bibliotekę i muzeum.

Dotychczas ogłoszono drukiem sześć niewielkich zeszytów „Mittheilungen,“ które zawierają przyczynki do słowozbioru i gwaroznawstwa, pieśni i podania, referaty o nowych odnośnych książkach, a także, jak zwykle, sprawozdania o ilości członków, stanie kasy, biblioteki i t. d. Z końcem r. 1881 członków było 192, a obrót pieniężny przez dwa lata nie przenosił 2000 marek. Obecnie główném dążeniem towarzystwa jest: 1) ułożenie skarbca czyli słownika litewskiego; w tym celu prosi ono wszystkich, którzy dopomódz mogą, o nadsyłanie przyczynków, zapisanych pisownią Schleicherowską, mogących dopełnić słownik litewski Nesselmanna; 2) zgromadzenie podań i pieśni i 3) ułożenie bibliografii litewskiéj. W tym celu prosi ono o nadsyłanie podań i pieśni, oraz opisów dawnych, rzadkich książek i wogóle druków litewskich. Adres towarzystwa: Tylża (Tilsit), Sekretariat der Litauischen Literarischen Gesellschaft. Członkiem zostać może każdy; dożywotnim zostaje opłacając z góry 50 marek.

Gdyby u nas usiłowania braci Juszkiewiczów znalazły naśladowców, tobyśmy nie mieli powodu uskarżać się na nieczynność naszą w sprawie zbierania zabytków twórczości ludu litewskiego. Szanownéj pamięci Antoni Juszkiewicz zgromadził przeszło pięć tysięcy pieśni i zanotował nutę ich, a brat jego, Jan, nauczyciel gimnazyum w Kazaniu, walcząc z przeróżnemi trudnościami, niezmordowanie pracuje nad ogłoszeniem zbiorów zmarłego księdza Antoniego i dotychczas w trzech tomach wydrukował już 1569 pieśni lub ich odmianek, czcionkami łacińskiemi. Wiadomo zapewne czytelnikowi, że pieśni litewskie odznaczają się wielką rzewnością i niezmiernie poetycznym nastrojem. Otóż i w tym zbiorze te same znamiona je odznaczają, chociaż nie mało jest i wesołych swawolnych śpiewek. Pewna część ma mitologiczne znaczenie (N. 1242—1264), inne znowu są żalami nadgrobnemi, pieniami obrzędowemi, wojennemi i t. d., a wszystkie pochodzą z okolic Wielony nad Niemnem.

Niedaleko ztamtąd, we wsiach Trobiszkach i Juniszkach (powiat kalwaryjski) panowie Fortunatow i Miller, w r. 1871, zapisali sto piosnek ludowych litewskich i ogłosili je we dwa lata w pisowni cyrylickiéj (bardzo niewłaściwéj i bez akcentów), dodając przekład rosyjski. Bardzo to cenny i zajmujący przyczynek, zawierający pieśni przeważnie nie pomieszczone w zbiorze Nesselmanna. „Jak wielka jest obfitość pieśni (na Litwie) — powiadają pp. F i M. str. 4 — z tego można sądzić, że w ciągu trzech niespełna tygodni zgromadziliśmy w dwóch wsiach 150 numerów, nie zapisując zresztą codzień; jedna tylko parobczanka dostarczyła nam 70 pieśni.“ Otóż jakie skarby mamy pod bokiem, ale trudno nam widać jest nachylić się, aby zerwać kwiatek z łąki własnéj i czekamy aż ktoś o sto i więcéj mil przyjedzie i robotę za nas zrobi!

Wszakże i profesorowie Leskien i Brugman z daleka przywędrowali, aby w Wilkiszkach, na Litwie pruskiéj i w Godlewie, pod Kownem, przysłuchać się staréj mowie litewskiéj i zapisać śpiewane w niéj pieśni i opowiadane bajania. Zbiór ich dokonany jest z wzorową dokładnością, w pisowni Schleicherowskiéj, z dodaniem uwag gramatycznych, słowniczka, przekładu bajek i nieocenionych dopisków mitologiczno-porównawczych pana Wollnera, który zadziwia niezwykłą znajomością podań słowiańskich i umiejętnie korzysta z téj znajomości, zestawiając bajki i ich wątki, przez co ułatwia badania porównawcze mitologom. Znajdujemy w sporym tomie wymienionym nasamprzód około półtorasta pieśni i dwie bajki od Wilkiszek, daléj przeszło sto pieśni, 47 podań i dwie oracye od Godlewa. Za to wszystko należy się pracowitym Niemcom szczere podziękowanie, naprzód w imieniu nauki, a powtóre w naszém, bo raczyli spełnić nasz właściwie obowiązek.

Pozostaje mi przejrzenie najciekawszéj do rzeczy litewskich książki Veckenstedta, która tylko co się pojawia w Heidelbergu. Żmudź tak mało jest zbadana pod względem mitologicznym, że wszelki zbiór podaniowy ztamtąd pochodzący niezmiernie jest pożądany. Veckenstedt jest nauczycielem w Lipawie; uprosił uczniów swoich, rodem Żmudzinów i inne osoby na Żmudzi zamieszkałe, aby mu dostarczyli zasobów mitologicznych; a gdy się stało zadość jego życzeniu, gdy się zebrało zasobów na dwa tomy, począł je ogłaszać, dołączając do pierwszego zeszytu plan i program całego zbioru. Zapowiada on nader ciekawe rzeczy i jeżeli tylko wszystko będzie pewne a niesfałszowane, to dla mitologii litewskiéj otworzy się kopalnia zupełnie nowéj rudy podaniowéj. Z pierwszych dwóch zeszytów, które dotąd się pojawiły, widać że p. V., jak i przy zbieraniu podań łużyckich, języka krajowego nie zna; obcą mu też jest

mitologia litewska, o ile ją z polskich źródeł poznać można; skutkiem tego nazwiska postaci mitycznych, nazwiska miejscowości i wogóle wyrazy litewskie pisze niepoprawnie i popełnia takie np. qui pro quo, że *Piktybe*, uosobioną złość (od str. 135, rzeczownik po litewsku, jak i u nas, rodzaju żeńskiego) przedstawia jako duch męski; czytamy takie nazwy miejscowości, jak np. *Korzian*, *Slaweit*, *Plunia* i t. p., albo też takie imiona bóstw, jak *Derpintus* (Łasickiego Derfintos), *Beslea* (Łasic. Bezlea), *Lygiscus* (Łasic. Ligiczus), *Smeije* (ma to być nasza Żmija) i t. p.; bardzo to są podejrzane i nazwy i bóstwa! Zdaje się że osoby, które zapisywały podania dla pana V., nie dość krytycznie wybierały sobie bajarzy, tak iż dopuściły do swych notat wiele książkowych wieści (z Narbutta, Kraszewskiego i in. mętnych źródeł); wiadomo bowiem, że na Żmudzi wiele podań dzisiaj snuje się z druków stosunkowo niedawnéj daty, przez co krynica rodzimych bajań mąci się, tak iż trzeba krytyki aby odróżnić, co prawdziwe a co z książek zaczerpnięte. Z drugiéj znowu stony w niektórych razach (np. str. 79, 80, 81, 83, 86, 87, 90, 98, 104, 106, 108, 109, 110, 113) tak uderzające widać podobieństwo do podań łużyckich, zebranych i ogłoszonych przez tegoż pana V., że rodzą się pewne wątpliwości, czy nie są to mimowolne reminiscencye takowych, lub czy przypadkiem kartki z zapiskami łużyckiemi nie zmieszały się jakoś ze żmudzkiemi. Nie chcę bynajmniéj posądzać pana V. o umyślne podrabianie mitów, ale podejrzewam wiele niekrytyczności w osobach, które dlań podania gromadziły. Póty więc nie uwierzę w rodzimość i źródłowość jego książki, dopóki wiarogodne miejscowe głosy nie wyświetlą prawdy. Potrzeba więc aby natychmiast zabrano się na Żmudzi do sprawdzenia i sprostowania zbiorów pana V. Inaczéj pozostaną one nazawsze pod podejrzeniem niedokładności, a bogata kopalnia mitów i wierzeń żmudzkich leżeć będzie i nadal odłogiem i czekać na umiejętne a sumienne wyzyskanie. Otóż to jeszcze jeden przykład, do czego prowadzi niezaradność nasza. Siedzimy nic nie robiąc; pojawia się cudzoziemiec, a uzbrojony zapałem i najlepszemi chęciami eksploatowania ignorowanych przez nas skarbów, bierze się do rzeczy, ale jéj podołać nie może bo nie zna słowa zaklęcia, — nie zna mowy i stosunków miejscowych, nie zna prac Narbutta, Kraszewskiego, Lelewela, Akielewicza, Mierzyńskiego; nie umie odróżnić sztucznych, książkowych naleciałości od źródeł rodzimych. Robi się więc coś cudzemi rękami, ale robi niedokładnie. Zadajmyż więc sobie trud chociażby skontrolowania i sprostowania tych niedokładności!

Ile sądzić można, pomimo pewne podejrzenia, z nowozapisanych przez Veckenstedta podań, zawierają one prawdziwe skarby

poezyi i prawdziwe rewelacye dla mitologów. I nie dziw, bo Żmudź ostatnia z rodziny aryjskiéj w Europie najdłużéj trzymała się wiary pierwotnéj, więc téż najbogatsze jéj szczątki wykazać dziś jeszcze powinna. Obszerniejszy przegląd tych wykopalin mitycznych odłożyć muszę do ukończenia druku zbiorów pana V., a tymczasem zwracam uwagę powszechną na rzadką piękność i oryginalność zawartych tam bajań, oraz na niezbędną potrzebę sprawdzenia, sprostowania i dopełnienia pracy zbieracza niemieckiego.

VI. Podania łużyckie.

Wszystkie trzy poniżéj wyszczególnione zbiory podań łużyckich (1) zawierają dużo rozproszonych ułamków jakiejś dawnéj, ślicznéj legendy o pierwszym i ostatnim „Kralu Serbskim.“ Zbieracze gromadzili i zapisywali te okruszyny sporadycznie; widać że w różnych okolicach Łużyc różnie te podania opowiadają, a każda ruina, każdy kamień większy, każde wzgórze rości sobie prawo przechowywania tego lub owego rysu legendy, każde chce być zabytkiem jakiegoś wielkiego wypadku lub przygody mitycznego bohatera narodu. Układając z rozpryśniętych kamyków ogólny obraz jego chciałoby się przypuszczać, że te okruchy bajań są złomkami wspaniałéj jakiejś, zaginionéj epopei, a przynajmniéj pieśni bohaterskich, opiewających ukochanego Krala, który, choć znikł, nie zginął jednak i kiedyś, kiedyś wróci jeszcze i rozciągnie moc i panowanie łużyckie od morza do morza.

Ogół rysów tego bajecznego rycerza tak jest odrębny od znanych skądinąd mitycznych postaci Słowian i nie-Słowian, że warto doprawdy im bliżéj się przypatrzyć. Może ktoś z poetów naszych weźmie Krala za bohatera poematu; może wreszcie ktokolwiek się zachęci do poszukania na gruncie jeszcze więcéj promieni téj świetlanéj postaci; może się znajdą urywki pieśni o niéj, bo, powtarzam, trudno się pogodzić z myślą, aby wieści o niéj tylko w urywkowych słówkach i półsłówkach bajarzy zawierać się miały.

Szukać źródła tych podań w dawniejszych lub nowszych wypadkach dziejowych zaprawdę nie warto. Podania te tak otwarcie polecają się nam jako mity, że trzebaby chyba być upartym ewhemerystą, aby w nich śledzić ziarna historycznego. Lud tylko ostat-

---

(1) *Veckenstedt* Wendische Sagen i t. d. Gradec (Graz). 1880. — *Sohulenburg* Wendische Volkssagen und Gebräuche aus dem Spreewald. Lipsk, 1880. — *Tegoż* Wendisches Volksthum in Sage, Brauch und Sitte. Berlin, 1882.

nią wojnę, ostatni głód pamięta. Co mówi o jednych zwaliskach, powtarza to samo i o innych; o czém jednemu głazowi świadczyć każe, to i kilkunastu innym przypisuje.

Postaram się tu związać rozrzucone wątki w jedno pasmo; rozproszone są one na kilkudziesięciu stronicach trzech dzieł wyżéj wymienionych.

Dawno, bardzo dawno Spreewald, czyli, mówiąc po łużycku, „Błota," była to leśna, bagnista pustynia. Ludzi prawie nie było; gdzieniegdzie mieszkali tylko jacyś nieokrzesani karczownicy, którzy nie znali ani wojny, ani króla, ani soli, ani tkactwa, ani wsi nawet. Do pewnéj wdowy przyszedł raz jakiś mąż nieznajomy a dziwny, bo pies, co zajadle szczekał słysząc jego kroki, ujrzawszy go nagle oniemiał i nigdy potém głosu nie wydawał. Cudny człowiek zapukał i prosił o nocleg. Nazajutrz prosił o pozwolenie zamieszkania nadal w tém pustkowiu. Pomagał kobiecie, leczył chore bydło, uczył ją różnych pożytecznych rzeczy gospodarskich. Potém znowu się oddalił na lat kilka i znowu wrócił, leczył ludzi i bydło, a chodził czasami bawić się i tańczyć z sąsiednią młodzieżą. Pewnego razu, gdy się pomiędzy nim a junakami miejscowemi zawiązała kłótnia i bójka, zwyciężył wszystkich, chwytając po dwóch naraz przeciwników i za drzwi wyrzucając. Powoli zjednał sobie zwolenników, utworzył z nich drużynę; sądził sprawy w okolicy, puszczał się z towarzyszami na jakieś tajemne wycieczki. Zazdrośni i niezadowoleni z przybysza zmówili się aby go napaść i zgładzić, ale on ich pobił i uśmierzył, i nie dziw, bo żaden pocisk go nie dosięgał, gdyż był dziwnie jakoś zaczarowany, że strzały odbijały się od niego nie raniące. Nosił buty drewniane, na głowie hełm ogromny, nakształt beczki; ubierał się w niebieski płócienny letnik: miecz posiadał cudowny: obosieczny, na trzy palce gruby, trzy łokcie długi, klinga jego była z węża, rękojeść z głowy żmii, okutéj w srebro i złoto, ciosy jego nigdy nie chybiały, żadna zbroja im się oprzéć nie zdołała; posiadał téż srebrny łuk i strzały czarodziejskie, zatrute, nigdy nie chybiające. Czasami nosił hełm z gwiazdą promienistą, a gdy spuszczał przyłbicę, stawał się niewidzialnym. Jeździł na dzielnym siwoszu, a gdy go za grzywę lub uzdę pociągnął, rumak wzlatywał w powietrze; wrogom się zdawało, że to kruk lata, a jeździec mógł obejrzéć z góry stanowiska i liczbę nieprzyjaciół. Niemcom się zdawało że błyska, a to podkowy siwaka w obłokach migotały. Czasami jeździł kral i wozem, to pojedynczym, to czterokonnym; wóz to był cudowny: biły od niego oślepiające blaski i pioruny, tak iż nikt się doń zbliżyć nie mógł; na drążkach wozu siedziały dwa ptaki czarodziejskie; jedni mówią że to były kruki;

które kral wysyłał na zwiady w okolicę, aby wiedzieć co kto robi i czy się nie dzieje jaka krzywda ludziom, albo do kraju lub obozu wrogów, aby się dowiedzieć o ich zamiarach i liczbie. Inni powiadają, że to były dwa orły; inni znowu że jeden był tylko orzeł, a raczéj w orła zmieniony człowiek, który niegdyś był nauczycielem krala, a teraz strzegł go, oświecał i napominał w przybranéj postaci. Gdy kral przegrał bitwę, ptak odlatywał i nie wrzpód wracał, aż uczeń jego odnosił nowe zwycięztwa. I teraz jeszcze, choć kral dawno zniknął, wierny orzeł pilnuje wzgórza, na którém stał niegdyś zamek i strzeże zakopanych skarbów.

Jak się nazywał ów bohater serbski? Różnie na to podania odpowiadają. Jedne go zwą *Lubanem* inne *Jaronem*; inne znowu prawią że był Polakiem, że się zwał *Władysław*, *Rogacki*, *Trudeski* (może Twardowski?), czy jeszcze inaczéj. Na dowód że był Polakiem, powiadają iż pierwszym mieszkańcem założonego przezeń miasteczka Borku (Burg) był téż rodak nasz *Zuski* (?), przybyły z Władysławem.

Jakkolwiekbądź, przypisuje mu tradycya łużycka zasianie pierwszych ziarn cywilizacyi w Błotach. Nauczył on warzenia soli ze źródeł pod Halą: pokazał jak we wrzącą wodę solną wkłada się pęk słomy i jak na niéj biały kryształ osiada; nauczył tkactwa, wojny, budowania zamków, leczenia chorób, poznawania ziół skutecznych; on téż pierwszy krzak bzu na Łużycach zasadził, a krzew ten w zabobonach ludowych czarodziejską moc posiada.

Założył téż nasz mityczny rodak i pierwsze zamki w Błotach. Wiele zwalisk przypisują mu podania, ale najwięcéj mgły legendowéj skropliło się około ruin na górze zamkowéj pod Borkiem. Tam, gdy już kral zgromadził dużo pieniędzy z leczenia chorób i dużo całą duszą oddanych sobie wojowników, wystawił potężny gród na wzgórzu, wystającém z okolicznych bagien i lasów. Gród to był cudowny: otaczała go woda, a nad nią świetlana mgła jakaś, jakieś niebieskawe płomienie; wieszczy orzeł unosił się nad murami, lub siadywał na wieżach; żadnego przystępu do zamku nie było; gdy kral z drużyną swoją chciał zeń wyruszyć, wówczas na rozkaz jego rozwijał się czarodziejski, czerwony, skórzany most, spadał końcem na odległe suche błonia, dawał przejście rycerzom i znów mocą własną się zwijał. Były téż i podziemne lochy, wiodące z zamczyska do wsi i miasteczek sąsiednich: ma się rozumiéć że ślady ich istnieją dotychczas i są pobożnie wędrowcom pokazywane. W razach gdy nieprzyjaciele uciskali lud okoliczny, kral spuszczał z murów czerwoną łódkę, wsiadał do niéj z nieodstępnym krukiem i płynął: wówczas wody się wzdymały i wrzały, ale on potrzebował tylko

machnąć rószczką ognistą, a wnet fale się uspokajały i rozstępowały, i łódź biegła spokojnie ku zagrożonym brzegom; tam wysiadłszy Władysław zmieniał się w zbrojnego młodzieńca, rószczkę przedzierzgał w miecz niszczący i śpieszył na wroga. Pobijał go łatwo, bo mu wojska nigdy nie brakło; miał dwa worki, jeden z owsem, drugi z sieczką; gdy wysypał owies z jednego, powstawały hufce jazdy, gdy z drugiego potrząsł sieczkę, roiły się zastępy piechoty. Wśród walki, wznosił się kral na swym siwoszu w powietrze, oglądał wojsko nieprzyjacielskie, spuszczał się na jego tyły i niespodzianie je zaskoczywszy, dobijał wrogów.

Pragnął on jednak mieć i prawdziwych, z krwi i kości wojowników: w tym celu podstępem lub przemocą porywał dzieci niemieckie, wychowywał je w swojéj wierze i mowie i tą drogą otoczył się niezwyciężonym legionem trzechset rycerzy, którzy go za życia i po śmierci, a raczéj po zniknięciu uwielbiali. O tém porywaniu dzieci przeróżne wersye spotykamy w podaniach; niektóre utrzymują nawet, że kral piekł i zjadał pacholęta niemieckie; że razu pewnego przyszło pomiędzy nim a pierwszym jego hetmanem do zaciętego sporu o to: kral chciał zjeść Niemczyka, a wódz mu odradzał; kral tak się gniewem uniósł, że chciał zabić hetmana, ale w tém orzeł wzbił się w górę i spuścił pomiędzy nich kamień ognisty: kral wnet złagodniał, ustąpił wodzowi i począł go nauczać swych tajemnic czarnoksiężkich. Nieraz udawało się Niemcom napaść znienacka śpiących Serbów i odkraść porwaną dziatwę. Kral najczęściéj korzystał z nieobecności rodziców, podpływał tratwą, zabierał dzieci, chował do worka i uwoził; gdy za nim goniono, spuszczał worki do wody, ale tak czarami urządzał, że dzieci w wodzie życia nie traciły. To porywanie pacholąt główną było przyczyną nienawiści Niemców i późniejszéj klęski Serbów.

Król ich panował w Borku pięćdziesiąt lat; toczył częste wojny; czasami pobity musiał na czas jakiś uciekać, ale znowu wracał i panowanie swe dawał uczuć sąsiadom. Jedne podania mówią, że nie miał żony i dzieci i że dla tego porywał cudze, aby wybrać i wychować sobie następcę. Inne znowu utrzymują że miał cztery żony, syna i córkę, że syn panował po nim, stracił królestwo w nieszczęśliwéj wojnie z Niemcami, a potomkowie jego mieszkali jako ubodzy wieśniacy we wsi Siwiku (Graustein, gdzie w pobliżu znajduje się kamień podaniowy), a ostatni z nich był niedawno sołtysem i przed śmiercią opowiadał o téj tradycyi w rodzie jego przechowanéj. Inne legendy prawią o ożenieniu Władysława z cudzą narzeczoną; kochanek jéj walczył o nią z kralem i tak mocno nacierał, że byłby go za-

bił, gdyby nie pomoc wiernych wojowników, którzy z tyłu napadli na odepchniętego kawalera i zadali mu śmiertelne rany; ciało jego wpadło do Szprewji i odtąd w tém miejscu widać wir nieustający. Inna odmianka podania głosi, że współzawodnicy walczyli na Szprewji w łódkach i że król pokonał sam przeciwnika, a z narzeczoną jego się ożenił.

Widać z wielu powyższych szczegółów, że był to czarodziéj i zostawał w porozumieniu z siłami nadprzyrodzonemi. Wiedział co się w jego i obcych krajach dzieje, umiał siebie i innych w różne istoty przemieniać; znał kunszta i tajemnice natury; znał przyszłość i wiedział, że Łużyczanom od Niemców zagłada grozi; wiedział, ale walczył, bo chciał i wrogów zniszczyć, choć nie tajném mu było, że swoich tém nie obroni. Proroczym duchem przewidywał, że wiara chrześcijańska i plemię niemieckie siedziby jego ludu opanują i szczególnie gdy Niemcy nad dolną Szprewją osiedli i zamek (w Berlinie) zbudowali, czuł blizki koniec swój i narodu i wiedział że nastąpi walna bitwa, że w niéj zginie i sam i naród jego: nie unikał jéj jednak, bo pragnął jaknajwięcéj nieprzyjaciół zgładzić. Wojna z Niemcami była straszna. Wybuchła głównie z powodu porywania chłopców niemieckich, których kral czasami po czterdziestu do swojego wozu ognistego zaprzęgał. Bitwę stoczono olbrzymią: różne są o niéj i o końcu krala podania, do różnych miejscowości przywiązane. Jedni prawią, że otoczony wrogami Władysław, widząc że i cudowny miecz już nie pomaga, zawołał „myśmy zgubione,“ (zkąd nazwa miasteczka Gubina), rzucił miecz w bagno (i to było przyczyną upadku niepodległości łużyckiéj, bo gdyby miecz-talizman odziedziczyli wojownicy Krala, toby naród nie zginął), a sam mężnie poległ; drużyna usypała mu kopiec w kształcie ośmiokątnéj gwiazdy, a ciało wodza pochowała w czterech drogich trumnach; piorun spalił jego zamek, a skarby wskroś ziemi zapadły. Inne podania znowu bają, że po strasznéj bitwie z Niemcami, podczas któréj tyle krwi się wylało, że z niéj rzeka płynęła i koło młyńskie obracała, Kral poddał się Niemcom, dał się ochrzcić i osadzić w wydrążonym kamieniu, czy téż na zamku jakimś; że za pomocą szatana wydostał się ztamtąd, wrócił do swoich i długo jeszcze panował, ale za to musiał dyabłu duszę zapisać; że chcąc piekła uniknąć, poszedł do sławnego jakiegoś wieszcza, a ten mu doradził, aby żył bogobojnie, kościół i klasztor koło zamku wystawił; wymurował więc Kral wspaniałą świątynię i pyszny klasztor, a koniec życia postanowił w nim jako zakonnik spędzić; lecz w dniu kiedy śluby zakonne miał złożyć, wszczęła się straszna burza z wichrem i piorunami; szatan porwał króla, a blizko zamku spadł olbrzymi głaz strasznym ogniem płoną-

cy; od niego spalił się klasztor i zamek, tylko kościół ocalał. Inna jeszcze odmianka dowodzi, że Władysław, pobity przez Niemców, wzniósł się z rycerzami w powietrze i zginął bez śladu, czy téż, jak inni powiadają, wywędrował w obce kraje i przyjął tam obcy obyczaj i mowę. Najbardziéj poetyczna wersja powiada, że czując blizki koniec, Kral zgromadził swoich wiernych, pożegnał ich i nakazał, gdy umrze, skórę swoję naciągnąć na bębnie, a potém go w bitwach używać. Tak téż zrobiono; bęben okazał się cudownym talizmanem: gdy weń uderzano, wyrastały niby z pod ziemi liczne zastępy zbrojnych wojowników, a wróg na odgłos bębna jak nieprzytomny uciekał. Lecz gdy pewnego razu ktoś za mocno w skórę uderzył, bęben pękł i odtąd upadła potęga łużycka. Wśród niezliczonych warjantów legend o końcu Krala, jedna opowiada, że pochowano go w czterech trumnach: żelaznéj, miedzianéj srebrnej i złotéj; czterem wojownikom kazano gdzieś w niedostępnych pustkowiach Błót trumnę zakopać; ale żeby nikt o miejscu nie wiedział, owych czterech grabarzy zabito.

Tak się skończyło panowanie mitycznego bohatera serbskiego. Śliczna, poetyczna legenda (zapisana u Veckenstedta na str. 407—409) opowiada, że po śmierci jego raz jeden zajaśniała jeszcze moc łużycka: z zabranéj w wojnie cudzoziemskiéj jasnowłoséj księżniczki, która umarła z tęsknoty do ojczyzny, urodził się cudny młodzieniec, którego wychowała dobra czarodziejka w lesie; zaprzyjaźnił się on z wężami, zabronił ich zabijać i za to późniéj ocaliły mu one życie; gdy dorósł, wynalazł miecz i skarby dawnego króla, stanął na czele narodu i walczył zwycięzko z Niemcami, panując na zamku, w Lubinie (Lübbenau). Nie przytaczam tego podania w całości, bo jest, jak owa druga bledsza tęcza przy jaśniejszéj, odblaskiem i powtórzeniem wspaniałego wieńca legend o kralu serbskim i właściwie do znanego już nam Władysława należy.

Wszystkie zresztą podania zgadzają się na jedno: że piorun spalił jego zamki, skarby zapadły pod ziemię a on sam zginął, ale nie nazawsze; czy piaskiem przysypany, czy w przestworzach jaskiń i podziemi górskich ukryty, czeka on w uśpieniu lepszych czasów i stanowczéj godziny. Gdy nadejdzie czas uroczy, i on, i wojownicy jego, i rycerze w czeskim Blaniku drzemiący, obudzą się, orzeźwią, wykopią skarby ukryte i staną do ostatniéj walki z dziedzicznym wrogiem Słowian; stoczy się krwawa, straszna, niebywała bitwa; Łużyczanie zwyciężą i wypędzą Niemców za Ren, aż na koniec świata; a Niemców pozostanie tyle tylko, że się wszyscy pod jedną gruszką zmieszczą. Wtedy Słowianie panować będą całemu światu, a po prawo i sprawiedliwość chodzić trzeba będzie do Pragi.

Ale tymczasem skarby leżą w ukryciu; czasami ten i ów spostrzega to płomyki nad pewnemi miejscami, to jakieś potwory ogień ziejące: to skarby „palą się,“ strzeżone przez mocy szatańskie; byli szczęśliwi, którzy potrafili dostać się do lochów i oglądać skrzynie z niezmierzoną ilością pieniędzy i klejnotów; niektórzy nawet dostawali cząstkę tych bogactw. Nad zamkiem króla unosi się duch jego, jęczy, wyrzeka, czasami straszy ludzi; mówić o nim, wspominać go nawet nie wolno, bo to sprowadza nieszczęście. Czasami na łąkach pod Luborazem (Lieberose) powstaje dziwny szum w powietrzu: ściemnia się, wichry wyją, noszą piasek, grzmi i błyska, potém znowu wszystko cichnie, niebo się wyjaśnia i płynie po niém jeden tylko obłok biały: to król przeciąga, powiadają Łużyczanie, to nasz „biały,“ nieśmiertelny pan unosi się w powietrzu; tu, w tém miejscu wzniósł się pod niebo na swym siwoszu, gdy go nieprzyjaciele wziąć chcieli, tutaj téż duch jego w obłoku buja...

Oprócz téj naczelnéj postaci bajań łużyckich, zbiory podań, które rozpatrujemy tutaj, mnóstwo innych widm mitologicznych przed oczami naszemi przesuwają. Figury to nam dobrze znane, bo pokrewne z naszemi postaciami bajecznemi; nie tylko bowiem językiem, ale i wierzeniami Łużyczanie ze wszystkich Słowian najbliższemi są naszymi pobratymcami, jako gałązka wspólnego zachodnio-słowiańskiego szczepu. Więc podania o smoku, o ludkach (u nas krasno-ludek albo karzełki), o Sowizdrzale, którego Łużyczanie z niemiecka nazywają Hajnszpiglem, o Przypołudnicy (Prezpolnica), o Marze, o Annie Zębatéj, która podrzuca *odmianków*, o Błudzie (Błędzie, co ludzi na błędne drogi prowadzi), o Zarazie i Jędzy-Zmii, Wiłkołaku, królu Wężów i o mnóstwie innych postaci,—wszystko to w zbiorach Veckenstedta i Schulenburga brzmi dobrze nam znaném echem naszych własnych bajań. Toż samo w zamawianiach, w podaniach o cudownych roślinach i zwierzętach, w lekach cudownych i w całym szeregu bajek. Czuć tu wprawdzie zetknięcie z żywiołem niemieckim: Fryderyk wielki, Hans Brandeburski, Nachtjäger (Nocny Jezdziec, przywódca Szalonéj Jazdy powietrznéj) i wiele innych postaci i rysów świadczą o oddziaływaniu mitów i podań germańskich; ale większość zasobu tchnie duchem czysto słowiańskim i brzmi nutą dobrze nam znaną.

Nie będę tu wchodził w szczegółowy rozbiór ułamków dawnéj wiary słowiańskiéj, podań i zabobonów, o ile się przechowują na Łużycach; potrzebaby na to obszernych wyciągów i porównań, które chyba w specyalnéj pracy byłyby na miejscu. Ograniczam się krótkiém sformułowaniem zdania mojego o trzech najnowszych zbiorach, których tytuły na czele artykułu wypisałem.

Po obszernym zbiorze pieśni i podań łużyckich Hawpta i Smolerja (Haupt i Schmaler), ogłoszonym czterdzieści lat temu, po urywkowych zapiskach, rozsianych w czasopismach i zbioropismach łużyckich, obecne trzy prace zbieraczy niemieckich dostarczają najobfitszego zasobu do studyów nad literaturą ludową, i mitologią serbołużycką. Obaj oni są Niemcami; Veckenstedt, jak się zdaje, zgoła po łużycku nie umie; Schulenburg niedokładnie; pomimo to dzieła ich są nader pożyteczne, umiejętnie, sumiennie i z miłością opracowane. Obaj autorowie mieszkali długi czas wśród ludu łużyckiego, zaprzyjaźnili się z nim i mówią o nim z szacunkiem i współczuciem, a o jego podaniach z zamiłowaniem. Ponieważ większość Łużyczan umie po niemiecku, nie trudno więc było tym panom kazać sobie opowiadać bajki i opisywać zabobony miejscowe; zresztą wiele zasobu dostarczyli im ludzie piśmienni. Z zapisków ich tchnie, prawda i prostota, a to już ważném jest świadectwem czystości zbiorów; a do tego w książkach obu pisarzy napotykamy mnóstwo szczegółów i rysów bardzo do siebie podobnych lub jednostajnych, a to drugi ważny dowód prawdziwości wskazówek. Słowiańskiemu czytelnikowi nie trudno jest, pod przekształconą pisownią lub przekręconém wymawianiem, poznać o co chodzi: bez wielkiego łamania głowy w takich np. imionach, jak *Smia*, *Paprosch*, *Lutchen*, *Bud*, *Pscheponiza* itp. poznajemy dobrze nam znane: Żmija, Paproć, Ludki, Błud (Błąd), Przezpołnica (tj. Przezpołdnica, zamiast Przezpołudnica) i t. d. Schulenburg podaje zresztą techniczne nazwy i wyrażenia mitologiczne po łużycku, pisownią poprawną i prawie zawsze dokładnie. Obaj autorowie na końcu książek zamieszczają próbki językowe, w kilku narzeczach łużyckich, wydrukowane poprawnie, według przez Łużyczan dziś przyjętéj pisowni.

Śmiało więc tedy polecić mogę osobom, które podobne wydawnictwa obchodzą, wszystkie trzy prace szanownych Niemców, którzy taką niemi oddali przysługę słowiańśtwu, jaką dwadzieścia lat temu wyświadczył nam w szczególności, Niemiec także dr. Roger, gromadząc i wydając pieśni górnoszlązkie. Ktokolwiek w przyszłości badać zechce zabytki staréj wiary Słowian, lub stan dzisiejszego ich obyczaju i żywota, bez zbiorów Schulenburga i Veckenstedta obejść się nie potrafi.

Jan Karłowicz.

NOWA TEORYA SŁOŃCA.

W ożywczym blasku słonecznego światła i ciepła budzi się życie i ruch na ziemi, z chwilą, gdy ostatni promyk dzienny zginie wśród wieczornéj pomroki, całą naturę ogarnia sen ciężki, który jest prologiem... śmierci...

Życie, wzrost, rozwój i śmierć jednostek organicznych, zmiany wśród natury nieorganicznéj zależą głównie od słońca, jestto sprężyna bytu i życia ziemi, źródło czarodziejskie, bez którego ziemia byłaby tylko jednym pustym cmętarzem...

Lecz czy słońce wiecznie świecić będzie?... *That is the question* jak powiedział Szekspir.

Stosownie do swéj tak ważnéj roli, jaką to ciało niebieskie odgrywa w naszym systemacie planetarnym, słońce ściągało na siebie zawsze baczną uwagę badaczów natury.

Rozmaite teorye, dziwaczne niejednokrotnie, krążyły w nauce o budowie fizycznéj słońca, z któremi ręka w rękę szły dociekania ażali energia świetlna i cieplikowa tego ciała jest niewyczerpalną lub przeciwnie. Szczególnie nasze stulecie obfitem jest w rozmaite hypotezy, usiłujące rozjaśnić kwestyą fizycznéj natury słońca. Wiele z nich dziś już uważać możemy za zupełnie zarzucone, inne dotąd utrzymały swe prawo obywatelstwa w nauce. Do rzędu tych ostatnich należą teorye *Secchi'ego*, *Faye'a*, *Zöllner'a* oraz *Kirchhoff'a* i *Bunsena*. Dwaj pierwsi z pomienionych badaczy najbardziéj zbliżają się do siebie, i to tak dalece, iż poglądy ich uważać można niemal za identyczne, różnice zboczeń dotyczą tylko szczegółów.

Wedle ich zdania słońce jest jeszcze dotąd w stanie gazowym i posiada temperaturę przechodzącą o całe niebo wszelkie możliwe stopnie ciepłoty, jakie sztucznemi środkami osięgnąć możemy. Wysokość téj temperatury wzrasta ku środkowi.

W łonie téj rozpalonéj i pod olbrzymim ciśnieniem znajdującéj się masy gazów wrą straszliwe burze powodowane siłą prężności, miejscowemi prądami. Skutkiem tych strasznych kataklizmów są potężne *plamy słoneczne*, które niejednokrotnie przewyższają kilkakroć powierzchnię naszéj ziemi. Są to zagłębienia w świecącéj powierzchni słońca czyli *fotosferze*, otchłanie powstałe z wyrzucenia w górę olbrzymiéj ilości gazów. Wnętrze ich zapełnione jest parami, absorbującemi silnie światło słoneczne wskutek czego jest ono zupełnie prawie ciemném. Dokoła plam słonecznych ukazują się jasne, nierównie światlejsze niż reszta powierzchni słońca przestrzenie, bądź szeroko rozsiadłe, bądź w kształcie żył się pokazujące t. z. *pochodnie słoneczne*. Są to wzniesienia się lokalne fotosfery do znacznych nieraz wysokości na kształt gorejących wzgórzy. Z olbrzymich mas płonących gazów, w których wodór gra główną rolę, wyrzucanych w miejscach gdzież powstają plamy słoneczne, tworzą się wspaniałe protuberancye, czyli wybuchy ognia na słońcu, które w naszych teleskopach przedstawiają się w fantastycznych kształtach purpurowéj barwy obłoków, a które mierzą w rzeczywistości tysiąc lub kilka tysięcy mil wysokości. Oto mniéj więcéj najpobieżniejszy szkic teoryi słonecznych Faye'a i Secchi'ego. Jak powiedziałem zgadzają się one tylko w ogólnych zarysach w szczegółach różnią się nieraz od siebie, szczegóły jednak nie należą już do naszego przedmiotu.

Słynny niemiecki fizyk i astronom *Zöllner* uważa natomiast słońce za ciało znajdujące się już w stanie ognisto-płynnéj masy. Plamy według niego są olbrzymiemi żużlami zestalonemi, które tonąc coraz bardziéj, w miarę przybytku swéj masy i ciężkości, w płynnéj fotosferze tworzą szeregi zjawisk poprzednio już wzmiankowanych. Dodam tylko że ta teorya liczy się do najsłabszych.

Na całkiem innném stanowisku stanęli natomiast niemieccy uczeni Kirchhoff i Bunsen. Genialni twórcy analizy spektralnéj chcą widzieć w słońcu, równie wprawdzie jak ich poprzednicy, olbrzymią kulę gazową, która jednak nieco odmienną ma posiadać naturę. Wszelkie utwory jéj powierzchni: jak plamy, pochodnie i protuberencye, mają być skutkiem przemian w atmosferze słońca się odbywających, w któréj rozgrywać się mają zjawiska analogiczne z naszemi powietrznemi zjawiskami. Jedynie ta zachodzi tu różnica, iż chmury ziemskie są z pary wodnéj, słoneczne zaś z par rozrzażonych metali. Słoneczne te obłoki, bujając wśród atmosfery słońca, w miarę oziębiania się zniżać się mają coraz bardziéj ku fotosferze, wywołując w ten sposób świetlne kontrasty. Na podstawie praw

z analizy spektralnéj wypływających chmury te wydawać się nam muszą ciemnemi lub przynajmniéj ciemniejszemi od reszty fotosfery.

Lecz czy to wszystko, czego dotąd nauczyliśmy się, rozwiązało naszę kwestyą u wstępu postawioną? Czy przekonanie o gazowym stanie słońca daje nam rękojmię, iż to słońce wiecznie świecić i grzać niezmiennie będzie? Dotychczas nie..... Idźmy więc daléj.

Że temperatura słońca musi być olbrzymią, to nieulegało nigdy wątpliwości, lecz bliższe jéj oznaczenie, napotykające na mnóstwo przeszkód, dotąd pozostaje wątpliwém. Bądź co bądź Secchi czynił w tym kierunku ile możności najściślejsze badania, z których wniósł, iż temperatura słońca wynosi około 4 miliony stopni Cel. Jakkolwiek późniejsze badania bardzo tę olbrzymię uszczupliły cyfrę, zmniejszając ją do 20000°C. (1) to jednak jestto zawsze ciepłota, tak olbrzymia, iż nawet pojąć jéj niemożemy. Odpowiednio jednak do jéj wysokości stoi utrata ciepła, jakiéj, z każdą sekundą, doznaje słońce wysyłając niezliczoną mnogość ciepła w przestwory wszechświata. Uczeni, szczególnie francuzki fizyk *Pouillet*, obliczyli w przybliżeniu tę ilość, jednakowoż jest ona tak kolosalną, iż dla czytelnika, bliżéj nie obeznanego z tą kwestyą, wątpię ażali możliwém będzie przedstawić ją sobie dokładnie.

Wiadomo, iż w dzisiejszym stanie wiedzy możemy ilość ciepła wytworzonego mierzyć ilością pracy, którą to ciepło wykonało. Z ilości pracy przez jakąś maszynę wykonanéj, wnioskować możemy o ilości ciepła zużytego przez ów mechanizm. Jako jednostkę zaś, służącą do mierzenia owéj pracy, uważamy siłę potrzebną do podniesienia 1 kg. do wysokości 1 m. dlatego zowiemy ją *kilogramometrem*. Mierząc tą miarą przeciętną ilość siły jednego konia, otrzymamy na rezultat 75 kilogramometrów na 1-dną sekundę. Zastosowawszy tę nowootrzymaną miarę do oznaczenia ilości ciepła wypromieniowanego przez słońce, przekonamy się iż praca mechaniczna, jaką słońce za pomocą swego ciepła zdolném jest wykonać, wynosi dla każdego metra kwadratowego powierzchni, w jednéj sekundzie, olbrzymią cyfrę 75 200 koni. Rozciągnąwszy ten sposób pomiaru do całéj powierzchni słońca otrzymamy liczbę, któréj na żaden sposób wyobrazić sobie nawet niemożemy, równającą się sile *482 520 trylionów koni*. Czyż więc słońce jest w stanie posiadać w sobie niewyczerpany zasób ciepła i światła, który mógłby bezustannie odwetowywać olbrzymie straty jakie to ciało niebieskie z każdą se-

(1) Temperatura minimalna.

kundą ponosi? Z obliczeń nader dokładnych wypada, iż przyjmując ciepło gatunkowe słońca za równe ciepłu wody, przy utracie siły cieplikowéj i świetlnéj przez promieniowanie w ilości powyżéj podanéj, słońce ostygłoby do temperatury 0° C. nierównie prędzéj niż w przeciągu czasu naszéj ery historycznéj.

A jednak fakty przeczą temu, słońce Homera świeci i dziś jeszcze nad głowami naszemi tym samym blaskiem olśniewającym; szle ku nam téż same ożywcze promienie, budząc lub uciszając, w miarę kolejnego przybliżania się i oddalania, gwar życia na powierzchni ziemi; słońce więc posiadać musi w sobie lub zewnątrz siebie jakiś tajemniczy środek odżywiający bezustannie świetlną i cieplikową jego energią.

Jednym z najważniejszych odkryć bieżącego stulecia jest sprawdzenie prawa niespożytelności siły, które opiewa: suma sił żywych i napiętych jest zawsze stałą. Na podstawie tego prawa łatwém jest wykazać, że ciepło jakieś, powstające przypuśćmy w kotle lokomotywy, nie znika bynajmniéj bez śladu. Przeciwnie przechodzi ono tylko w stan „utajony,“ zużywając się na wykonanie mechanicznéj pracy t. j. na przemienienie całéj masy wody w kotle w stan lotny. Znanym jest fakt, że każde ciało, padając na powierzchnię ziemi ze znacznéj wysokości, ogrzewa się. Cała żywa siła spadku znikła, kamień leży bezwładnie, lecz natomiast temperatura jego podwyższyła się. Jak poprzednio ciepło znikło pozornie, zmieniając się w żywą siłę ruchu pary, która obraca koła maszyny; tak tu znów siła spadku zmieniła się naodwrót w ciepło.

Prawo niespożytelności siły stwierdził pierwszy *Mayer*, uczony niemiecki; spróbował on zastosować je i do słońca. Energia słońca, zdaniem Mayer'a, odżywia się bezustannie spadaniem meteorytów, krążących w przestrzeniach międzyplanetarnych naszego systemu, na słońce, pod wpływem siły ciężkości. Uderzając o powierzchnią fotosfery, ci błędni wędrowcy niebios wytwarzaliby siłą spadku tak ogromną ilość ciepła, iż przypuściwszy, że w jednéj godzinie na jeden metr kwadratowy fotosfery spada jeden kilogram meteorycznéj materyi, przewyżka temperatury starczyłaby do wynagrodzenia skali szkód przez słońce poniesionych w drodze promieniowania.

Teorya powyższa upadła jednak, a to z powodu, iż nie uwzględniła przyrostu masy, jakiegoby słońce doznawać musiało wskutek ciągłego spadania meteorów. Przyrost ten równałby się warstwie, na około powierzchni słońca, 10 m. grubości mającéj. Jakkolwiek z powodu wielkiéj odległości słońca, ta warstwa nawet po 4000 lat dla nas niebyłaby widoczną, to jednak obieg ziemi już po upływie

2,000 lat o $1/8$ roku opóźnićby się musiał. Fakty astronomii przeczą jednak stanowczo temu.

Szczęśliwszym o wiele w swych teoretycznych pomysłach był *Helmholtz*. Zdaniem jego słońce, zgęszczając się i ściągając coraz bardziéj z biegiem czasu ku środkowi, wskutek tego ściskania wytwarza tyle ciepła, ile potrzeba do wynagrodzenia ubytków z promieniowania powstających. Wedle Helmholtz'a, gdyby gęstość słońca wzrosła do gęstości ziemi, wtedy nadwyżka temperatury, ztąd powstała, wystarczyłaby do powetowania utraty ciepła na 17 milionów lat. Nic nie przemawia przeciw prawdziwości téj teoryi, najznakomitsi badacze przyjmują ją bez wahania, konsekwencye jéj jednak dla życia ziemi bardzo są smutne.

Nieuniknioną jest bowiem ta chwila, w któréj słońce przestanie produkować coraz to nowe zapasy ciepła i światła, chwila, w któréj ta świetna gwiazda dzienna zagaśnie na zawsze a z nią razem tętno życia i ruchu na ziemi; a jakkolwiek katastrofa ta jest jeszcze bardzo daleką, niemniéj jednak jest ona konieczną.

Moglibyśmy więc nazwać dotychczasowe badania nad fizyczną naturą słońca, o których mówiłem poprzednio, teoryami pesymistycznemi. Natomiast rok 1882 przyniósł nam na tém polu nową zdobycz: teoryą zachowania świetlnéj energii słońca, którą w przeciwieństwie do poprzednich należałoby nazwać optymistyczną. Twórcą jéj jest znakomity fizyk angielski *Dr. C. W. Siemens*, poraz pierwszy zaś ogłoszoną została w rocznikach angielskiego „Royal Institution“ w Londynie pod tytułem: *O zachowaniu energii słońca*. Teorya ta streścić się daje mniéj więcéj w następujący sposób.

Jeżeli kwas węglowy i parę wodną w stanie silnego rozrzedzenia w próżni, o ile można dokładnéj, wystawimy na działanie światła słonecznego i chlorofilu roślinnego, natenczas wkrótce gazy te ulegną rozkładowi na samozapalne węglowodorowe połączenia, które spalając się oddają znów pierwotne produkta rozkładu. Fakt ten znanym był już nieco dawniéj fizykom i chemikom, nie przywiązywano doń jednak zbytecznego znaczenia. Dopiero Siemens począł go bliżéj badać, probując ażali gazy te w próżni, na działanie promieni słonecznych wystawione, bez pomocy chlorofilu nie ulegną rozkładowi. Przypuszczenia jego potwierdziły się. Para wodna, kwas węglowy i niektóre jeszcze gazy organiczne, w próżni tak silnéj, iż iskra elektryczna nie przechodziła przez nią, już po kilku godzinach rozłożyły się na zapalne węglowodory.

Na podstawie tego ciekawego doświadczenia zbudował Siemens całą swą teoryą zachowania energii słonecznéj. Przypuściwszy, że w przestrzeniach między planetarnych, dotąd zapełnianych tylko

niepojętym eterem, istnieje pewna ilość pary wodnéj i kwasu węglowego, pomieszanych z gazami obojętnemi, jak np. azot i t. p.; w niezwykłém rozcieńczeniu, pod ciśnieniem co najwięcéj równającém się $^1/_{2000}$ naszéj atmosfery, naówczas cząsteczki tych gazów, biegnące w przestrzeni—wedle przypuszczenia Siemens'a— z szybkością 1-go kilometra na sekundę, zbliżywszy się do słońca, uległyby, pod wpływem promieniowania tegoż, powolnemu rozkładowi na owe zapalne węglowodory, które następnie spalając się oddawałyby słońcu światło i ciepło utracone przez promieniowanie we wszechświecie. Że mimo olbrzymiego rozcieńczenia, masa spalonych gazów wystarczyłaby by powetować tak znaczne straty siły świetlnéj i cieplikowéj, to udawadnia Siemens (1) nader prostym rachunkiem, a mianowicie: Na podstawie rozmaitych obliczeń doszedł on do rezultatu, że gęstość pary wodnéj w temperaturze —130°C. nie przenosiłaby $^1/_{5000000}$ części gęstości naszéj atmosfery. Zachodzi teraz pytanie czyli możebném byłoby temperaturę przestrzeni między planetarnéj przyjąć za mniéj więcéj równającą się — 130°C. Wiadomo, iż temperaturę biegunową ziemi uczeni oceniają na — 63°C., temperaturę zaś absolutnego zera, t. j. takiego punktu, w którym ruch atomowy ciepłem zwany ustałby zupełnie, czyli ciepło istniéć by przestało na—273°C. Temperatura sfer międzyplanetarnych bądź co bądź różną być musi zawsze od temperatury biegunowéj ziemi, lecz natomiast nie może być po za punktem absolutnego zera. Przypada więc ona zatém między 63°C. a 273°, a ponieważ nie mamy sposobów dokładnego jéj obliczenia, przyjąć ją zatém możemy na — 130°C., dla któréj to temperatury gęstość pary wodnéj mamy już obliczoną. Gdyby więc atmosfera międzyplanetarna składała się tylko z saméj pary wodnéj, wtedy gęstość jéj w powyższéj temperaturze równałaby się $^1/_{5000000}$ naszéj atmosfery. Przypuściwszy jednak, iż atmosfera międzyplanetarna zawiera tylko $^1/_5$ część pary wodnéj w swym składzie, reszta zaś przypada na kwas węglowy i gazy obojętne, wtedy — zdaniem Siemensa— gęstość jéj ocenić można na mniéj więcéj $^1/_{1000000}$ naszéj atmosfery. Przypuściwszy daléj, iż składniki atmosfery międzyplanetarnéj już na odległość Merkurego od słońca t. j. na 5,500,000 km. ulegają rozkładowi pod wpływem promieni słonecznych, że zatém cała masa owych parów międzyplanetarnych, które wypełniają przestrzeń między Merkurym a słońcem, zostanie rozłożoną, wtedy na powierzchnią przecięcia téj masy otrzymamy wartość olbrzymią 140,000 km., która może nam dać wyobrażenie jak olbrzymią jest owa masa gazów ulegająca naraz rozkładowi na zapalne węglowo-

(1) Comp. rend N. 18, 1882 r.

dory, których masa wedle powyższych obliczeń wystarczyłaby ile się zdaje do powetowania strat promieniowania przez słońce ponoszonych. Rozumie się, iż przez spalenie się węglowodory z rozkładu powstałe, oddawałyby napowrót pierwotne połączenia, tak, iż w ten sposób w przestrzeni międzyplanetarnéj słońce posiada niewyczerpany zasób materyałów odnawiających w nieskończoność jego świetlną i cieplikową energią.

Sądzę, iż miałem zupełną słuszność nazywać tę teoryą „optymistyczną.“ Wedle niéj bowiem życie systemu planetarnego istniałoby wiecznie, byt jego byłby nieskończonym.....

Teorya ta sformułowana śmiało, poparta nowemi i tak interesującemi doświadczeniami, obudziła w kołach uczonych żywe zainteresowanie się. Niestety spotkały ją ze strony najbieglejszych z pomiędzy celniejszych badaczy słońca zarzuty, wobec których wątpliwą jest rzeczą ażali potrafi się ostać. Szczególnie sławny *Faye*, tylokrotnie już powyżéj wspomniany, gwałtownym jest jéj przeciwnikiem. Zarzuty jego jakkolwiek nie wszystkie słuszne pojawiły się w „Comptes rendus de l'académie des sciences.“ Paris, N. 15, 1882. Dotyczą one głównie dwu stron teoryi Siemens'a. Wspomniałem już, iż jako minimum gęstości atmosfery międzyplanetarnéj przyjmuje $1/_{2000}$ gęstości naszego powietrza. Faye krytykując ostro to przypuszczenie, przyznaje, iż dla fizyka $1/_{2000}$ gęstości atmosfery ziemskiéj jest już próżnią prawie zupełną, dla astronoma jednak jest ona jeszcze cyfrą tak kolosalną, iż niepodobna przyjąć ją jako wyraz gęstości atmosferycznéj przestrzeni międzyplanetarnych, bez narażenia całego systemu słonecznego na szereg zboczeń, mogących go zniszczyć zupełnie. Na podstawie subtelnego obliczenia, którego szczegóły szerszą publiczność niezbyt by może interesowały, wykazuje iż ciało niebieskie, co do masy równające się kuli działowéj, biegnącéj 500 m. na sekundę na ziemi, któreby posiadało ruch tylko 60 razy większy niż szybkość wzmiankowana działowéj kuli na ziemi, doznałoby już po kilku sekundach zboczenia dwakroć silniejszego niż owa kula działowa doznaje biegnąc na ziemi wskutek oporu powietrza.

Drugi, poważniejszy nierównie zarzut, stawia Faye odnośnie do masy przyjmowanéj przez Siemensa atmosfery międzyplanetarnéj. Przyjmując bowiem, iż przy normalnym ciśnieniu litr powietrza, zawierający dowolną ilość pary wodnéj, waży co najmniéj 1 gm., natenczas w ciśnieniu równającém się $1/_{2000}$ naszéj atmosfery waga powyższa zmniejszyłaby się do 0,0005 gm. czyli dla 1 m. kubicznego = 0,0005 kg.; biorąc teraz tę ważkość dla atmosfery Siemens'a, na przestrzeń od słońca do Neptuna, po przeprowadzeniu odpowied-

niego rachunku, ciężar całéj téj masy gazów przenosiłby 100000 razy ciężar słońca, czyli masa tych gazów byłaby 100000 razy większą od masy słońca! Czyż stosunki ciążenia powszechnego nie byłyby narażone przez to na znaczne zmiany?

Siemens odpowiadając obszernie na artykuł Faye'a (1), zbija argumenty tego uczonego twierdzeniem, iż rozrzedzenie, jakie on przyjmuje dla atmosfery międzyplanetarnéj, jest tak silném, iż jest w stanie zabezpieczyć: z jednéj strony, równowagę statyczną między przyciąganiem wywieranem przez słońce i planety a rozprężliwością tejże atmosfery; tak, iż ciągłe powiększanie objętości słońca wskutek przyciągania gazów międzyplanetarnych nie jest możebném; z drugiéj zaś strony sprzeciwia się ono wszelkim możliwym wpływom siły przyciągania, jakąby owa niezmierna ilość gazów wywierać mogła na słońce i planety. Jak widzimy dość to słabe odparcie zarzutów swego przeciwnika. Nic nas bowiem nie uprawnia do przyjęcia za pewnik niezbity przypuszczeń niestwierdzonych niczém angielskiego fizyka.

Słusznem jest natomiast zbicie wywodów Faye'a, odnoszących się do oporu, jaki międzyplanetarna atmosfera stawiaćby mogła ruchowi planet. Streszczając teoryą Siemens'a, nadmieniłem umyślnie z pewnym naciskiem, iż gęstość $^1/_{2000}$ naszéj atmosfery uważa on tylko za taki stan hypotetycznéj atmosfery międzyplanetarnéj, w którym rozkład kwasu węglowego i pary wodnéj przez promieniowanie słońca już odbywać się może. Słusznie więc zwraca Siemens uwagę Faye'a, iż nie żądał on bynajmniéj przyjęcia $^1/_{2000}$ gęstości naszéj atmosfery za rzeczywistą gęstość międzyplanetarnych gazów. Przeciwnie obliczenia jego, które przytoczyłem również powyżéj, zmuszają go do przyjęcia nawet $^1/_{1000000}$ gęstości dla owéj atmosfery wszechświata. I tu jednak nie kładzie on bynajmniéj granicy stale określonéj dla rozrzedzenia przyjmowanych gazów. Wreszcie powołuje się Siemens na nieznane nam niestety bliżéj, zagadkowe nieco doświadczenia spektroskopiczne kapitana Abney'a, które miały wykazać, iż między atmosferą słońca a naszą istnieją pewne związki węgla.

Równie ciężkie, a kto wie czyli nie cięższe zarzuty spotkały teoryą Siemens'a, ze strony drugiego z dzisiejszych słynnych astronomów *Hirn'a* (2).

Wiadomo, iż temperatura słońca jest nadzwyczaj wysoką. Przytoczyłem już na właściwém miejscu, iż Secchi oceniał ją na 4 mi-

---

(1) Comt. rend. N. 18, 1882.
(2) Compt. rend. N. 19, 1882.

liony stopni Celsiusza. Późniejsze wprawdzie badania zredukowały niezmiernie tę liczbę, jednakże zawsze cyfra minimalna, jaką przyjęły dla temperatury słonecznéj t. j. 20000°C. jest tak olbrzymią, iż każde połączenie chemiczne, chociażby najtrwalsze ze znanych nam na ziemi, w bliskości powierzchni słońca uległoby natychmiastowemu rozkładowi na swe pierwiastki składowe. Słusznie więc robi Hirn uwagę, że Siemens nieuwzględnił téj okoliczności w swojéj teoryi. Jeżeli bowiem pod wpływem promieniowania słońca bezwodnik węglowy i para wodna ulegną rozkładowi, natenczas — wedle Siemens'a — zbliżywszy się do słońca węglowodory z nich powstałe spaliłyby się, oddając napowrót te połączenia z jakich powstały. Rzecz naturalna, iż w tym razie powróciły one słońcu tę ilość ciepła i światła, którą-by to ostatnie zużyło na ich rozkład. Lecz niestety w téj saméj chwili, z powodu olbrzymiéj temperatury panującéj w pobliżu słońca, powstała ze spalenia para wodna i kwas węglowy rozłożyłby się natychmiast na swe składowe pierwiastki chłonąc tę samą ilość ciepła i światła, którą przedtém oddały. Nietylko więc słońce nie doznawałoby żadnego przybytku siły świetlnéj i cieplikowéj, lecz nadto traciłoby ogromną ilość światła i ciepła na bezużyteczne rozkładanie międzyplanetarnych gazów, wskutek czego musiałoby szczególnie światło słoneczne słabnąć nierównie silniéj niż w *kwadratach z odległości*. Nic jednak nie uprawnia nas do tego przypuszczenia by światło słońca i gwiazd słabnąć miało wskutek innych jeszcze przyczyn prócz kwadratów z odległości tychże ciał niebieskich od naszéj ziemi.

Jak widzimy zatém zarzuty, jakie spotkały na pierwszym wstępie teoryą Siemens'a, są bardzo dotkliwe. Niewyczerpują one jednak bynajmniéj jeszcze wszystkich wątpliwości jakie nasuwają się przy głębszém zastanowieniu się nad poglądami znakomitego fizyka angielskiego. Teorya ta — jak sam jéj twórca jawnie to wyznał w obronie swéj przeciw Faye'owi — opiera się głównie na niczém nieuzasadnionéj hipotezie, iż olbrzymia prężność i mała gęstość atmosfery międzyplanetarnéj wystarcza do uchylenia téj ostatniéj z pod wpływu praw siły ciężkości. Lecz w téj saméj chwili podnieść możemy zarzut, iż wedle prawa Mariotte'a, przy jednakiéj zresztą temperaturze, prężność i gęstość gazów stoją do siebie w stosunku prostym w odwrotnym zaś do objętości.

Jeżeli teraz przypomnimy sobie przytoczony rachunek Faye'a, z którego wypada, iż masa gazów składających atmosferę planetarną, rozciągającą się na przestrzeni od słońca do Neptuna *musi co najmniéj* przenosić 100,000 razy masę słońca, natenczas, stosownie do prawa Mariotte'a, dla gęstości i prężności téj całéj olbrzymiéj masy

gazów międzyplanetarnych otrzymamy tak małe cyfry, iż niepodobném jest pojąć w jaki sposób mogły by one równoważyć działanie siły przyciągania pojedyńczych ciał naszego systemu, usiłującéj cząstki téj atmosfery zagęścić do koła powierzchni słońca i planet. Wprawdzie Siemens, przewidując możliwość owego zarzutu, sam czyni uwagę, że w stosunkach tak wyjątkowych jak w naszym wypadku, nie jesteśmy bynajmniéj zmuszeni do przypuszczenia, iż gazy międzyplanetarne ulegają prawu Mariotte'a, lecz jestto znów tylko hypoteza faktami niepoparta.

Z drugiéj strony niepojętą jest rzeczą w jaki sposób Siemens pojmuje odżywianie energii słońca zapomocą spalania bezustannego atmosfery międzyplanetarnéj? Hirn, którego zarzuty podałem powyżéj, poruszył już właściwie tę kwestyą lecz o ile mi się zdaje, niedość wyraźnie.

Przedewszystkiém bowiem należało podnieść brak ścisłości w przeprowadzeniu całéj teoryi odżywiania energii słonecznéj przez spalanie się gazów międzyplanetarnych. Wedle Siemens'a bowiem proces odżywiania siły świetlnéj i cieplikowéj słońca odbywać się ma jak już wiemy, w ten sposób, iż gazy międzyplanetarne ulegając działaniu promieni słonecznych, rozkładają się na zapalne węglowodory, które spalając się natychmiast, pod wpływem słonecznego światła i ciepła, oddają słońcu pochłonięte przez siebie i zużyte na rozkład ciepło. Produktem jednak spalenia pomienionych węglowodorów mają być, wedle Siemens'a znów te same związki chemiczne, które uległy rozkładowi i z których atmosfera międzyplanetarna się składa, gdyż inaczéj ciągłość odżywiania siły słonecznéj, za pomocą atmosfery międzyplanetarnéj, zrozumieć by się niedała. Łatwo więc pojąć, że w chwili w któréj węglowodory spalające się wytworzą ponownie téż same składniki chemiczne międzyplanetarnéj atmosfery, z których powstały, połączenia te ulegną natychmiast pod wpływem promieni słońca ponownemu rozkładowi absorbując tę samę ilość ciepła i światła którą przed chwilą spalone węglowodory słońcu oddały. Mielibyśmy więc tylko bezustanne „perpetuum mobile,“ polegające na kolejném absorbowaniu i oddawaniu téj saméj ilości światła i ciepła słońcu bez żadnéj dla tego ostatniego korzyści. Ta tylko więc cząstka słońcu by się wróciła, nie zaś cała ogromna ilość światła i ciepła wysłana na podtrzymanie życia ziemi i być może planet niebieskich.

Nareszcie najpoważniejszy zarzut przeciw téj teoryi podnieść by można zdaniem mojém, ze strony analizy spektralnéj. Wiadomo, że w widmie słoneczném znajduje iż mnóstwo ciemnych linii t. z. *linii Frauenhoffer'a*, odpowiadających rozmaitym pierwiastkom, któ-

re wchodzą w skład fotosfery słonecznéj. Dotychczas niezdołano między temi liniami odnaleść linii odpowiadających węglowi lub tlenowi. Wedle przypuszczenia zaś Siemens'a atmosfera międzyplanetarna składa się właśnie z połączeń węgla i tlenu w przeważnéj ilości; ponieważ zaś ulega ona ciągłemu spalaniu w blizkości fotosfery, przeto w widmie słonecznem musiałaby posiadać odpowiednie linie. Wprawdzie Siemens, jak wyżéj nadmieniłem, powołuje się na doświadczenie spektroskopijne kapitana Abney'a, który „miał odkryć“ związki węgla, między atmosferą słońca i ziemi w przestrzeni międzyplanetarnéj się znajdujące, lecz gdyby nawet owe badania, na teraz wątpliwe, okazały się słusznemi to pozostaje zawsze brak linij Frauenhoffera odpowiednich kwasowodorowi atmosfery międzyplanetarnéj. Kończąc raz jeszcze powtarzam, iż teorya Siemens'a, mimo całéj pozornéj gienialności, mało ma prawdopodobieństwa i jakkolwiek według niéj siła świetlna słońca nie wyczerpałaby się nigdy, a za nią i życie ziemi prawdopodobnie wiecznem by było, mało ma ona jednak szansy utrzymania się w obecnym stanie nauki.

Witold z Kaliny Lassota.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

O ludności polskiéj w Prusiech niegdyś Krzyżackich. Napisał Dr. Wojciech Kętrzyński, dyrektor zakładu nar. im. Ossolińskich. Lwów 1882, 8⁰, XXIII, 653 str. i trzy mapy.

W obszernym dziele o 653 stronicach przedsięwziął autor wyświecić gruntownie stosunki narodowościowe w ziemiach pruskich, a szczególnie uwzględnić rolę i stosunki etnograficzne ludności polskiéj tak w Prusiech zachodnich jako téż we wschodnich.

Z najrozmaitszych powodów przedmiot ten jest zaciemniony. Historycy pruscy nie przyznają aby żywioł polski już od początków panowania Krzyżaków w Prusiech zachodnich egzystował, a nawet aby ziemia Chełmińska była odwiecznie polską. Powodów tego uporu szukać należy w nieznajomości języka polskiego, która tak wytrawnego badacza jak Adalberta Bezzenbergera zaślepia do tego stopnia, że stara się on wywieść niektóre imiona polskie (jak Sandtke—Sędziwój) z pruskiego języka. Przyłączyły się do tego jeszcze przesądy i uprzedzenia, których owocem takie teorye, jak np. że ziemia Chełmińska zamieszkaną była przez Gotów i że ci szczęśliwie doczekali się tu przybycia Krzyżaków i druga, jakoby była krajem czysto pruskim, a dowodami ludności niemieckiéj mają być język i prawo niemieckie. Trzeba tedy na podstawie ścisłych badań archiwalnych dowieść, że *język urzędowy* nie jest dowodem narodowości, że on wyrażając wszystko po swojemu, nadaje nazwiskom polskim niemiecką końcówkę, przekształca je a nawet używa swojskich imion gdy mowa o obcych, słowem tworzy pozorny świat niemiecki wielce różny od rzeczywistości. Chcąc sądzić o narodowości trzymano się nazwisk ówczesnych, które jako wzięte od miejscowości żadnego pod względem narodowym nie mogą mieć znaczenia; na imiona zaś—dodaje autor—nie zwracano

uwagi, gdyż dla nieznajomości języka, nie umiano rozróżnić polskich od niemieckich i pruskich.

Zarówno jak język urzędowy tak też i prawo niemieckie uważali historycy pruscy mylnie za jednoznaczące z narodowością niemiecką. Autor tedy musi dowieść, że prawo niemieckie w wielkiéj ilości wypadków nie jest identycznêm z narodowością niemiecką, gdyż nadawano np. kolonistom Polakom tylko prawo niemieckie. Wyrazy Polonus, Prutenus i Pomeranus — dowodzi autor — mylnie brano w narodowêm znaczeniu, gdyż one, jako téż przymiotniki z nich utworzone, wyrażają przynależność państwową oraz posiadanie pewnych poszczególnych praw nie zaś narodowość.

Obszerne zakreśla sobie autor zadanie, aby nam dać poznać jak ważnym czynnikiem dziejów pruskich była tameczna ludność polska, aby dostrzedz przyczyny wielu ciekawych zjawisk, jakie podaje nam historya pruska, pokrytych dotąd grubą zasłoną. Zadanie to têm trudniejsze, iż materyał drukowany do tego rodzaju badań jest niewystarczającym, że trzeba się było uciec do badań archiwalnych, aby rozjaśnić te nadzwyczaj zawiłe kwestye.

Pierwszy krok uczynił Dr. Kętrzyński w dziele „O narodowości w Prusiech zachodnich za czasów krzyżackich" (Pamiętnik Akad. Umiejęt. T. I, r. 1874). W założeniu szło mu głównie o stosunek ludności w ziemi Chełmińskiéj i w Pomezanii. Autor znał już wiele archiwów pruskich jak Toruńskie, Chełmińskie, Grudziądzkie, Pelplińskie, Gdańskie, Malborskie i t. d., a opierał się również i na materyałach kościelnych Prus zachodnich jakoteż archiwów familijnych. Podówczas atoli nieznał jeszcze archiwum królewieckiego. Po r. 1874 dwukrotnie pracował w Królewcu i znacznie uzupełniwszy studya, zmienił dzisiaj w niejednéj kwestyi pierwotny pogląd jak np. co do pierwotnéj narodowości w Pomezanii. Nadto objął on w tych studyach i Prusy zachodnie. Owocem pracy żmudnéj jest dzieło, którego tytuł powyżéj podano, dzieło udowadniające stanowczo, że żywioł polski w państwie Krzyżackiem doniosłe zajmował stanowisko. Bibl. Jag

Przedmiot podzielił autor na dwa rozdziały. W pierwszym traktuje o ludności polskiéj w ziemi Chełmińskiéj i w Pomezanii (str. 54—219) w drugiéj o kolonizacyi polskiéj w Prusiech wschodnich (221—653). We wstępie kreśli stosunek Polaków do Prusaków przed sprowadzeniem zakonu, bada polityczny i socyalny ustrój u dawnych Prusaków, rzucając nowe poglądy na tę kwestyą. W końcu objaśnia czém była puszcza mazurska, pierwotne siedlisko Golędzian i Sasów, w stopniowém zaludnieniu Prus.

Że ziemia Chełmińska zawsze była polską, zatém stanowczo przemawiają nietylko polskie źródła ale i zakonne, systematycznie zestawione przez autora. Przed przyjściem zakonu odebrali już byli Polacy Prusakom ziemię Lubawską, a skolonizowawszy ją zwrócili się na drugą stronę rzeki Ossy, podczas gdy Pomorzanie to samo działali w północnéj Pomezanii i Pogezanii.

Działalność misyonarska Krystyana wywołuje opór północnych Pomezańczyków, a gdy ziemia Chełmińska, należąca przedtém do dyecezyi Płockiéj, stanowiła główną podporę nowo-utworzonego biskupstwa pruskiego, kierują Pomezańczycy srogie napady przeciwko Chełmianom zarówno jak przeciwko Mazowszu, co ostatecznie spowodowało sprowadzenie zakonu niemieckiego do ziemi Chełmińskiéj. Omawiając stosunki ziemi Chełmińskiéj zwraca p. K. poraz pierwszy baczną uwagę na najstarszy pomnik prawa polskiego, zebranego z polecenia krzyżaków w chwili, gdy weszli w posiadanie ziemi Chełmińskiéj (u Helcla Star. prawa polskiego pomniki. T. I) a popierającego twierdzenie, że ziemia Chełmińska była krajem odwiecznie polskim, którym książęta polscy rządzili, a rządy ich opierały się na stosunkach lennych.

Ziemię Chełmińską otrzymują Krzyżacy od ks. Konrada Mazowieckiego na mocy układu. Stosunek atoli ludności polskiéj do zakonu, ludności, która krwią swą i mieniem dopomagała rycerzom w walce z poganami — jak to dokumenta zakonu same głoszą — pozostał tym samym jakim był za czasów Konrada. Zmieniła się tylko władza, a zakon niemiał najmniejszego powodu występować nieprzyjaźnie przeciwko ludności polskiéj. Ludność zatrzymuje swe prawa lenne; były one ostrzejsze nawet od niemieckich; organizacya wsi była wszędzie jednakową a na czele każdéj stoi starosta i włodarz. Już atoli w XIII w. zakładają krzyżacy wsie na prawie niemieckiém, na których czele zapewne początkowo niemiecki szulc=sołtys stoi, późniéj atoli i polak często występuje. Przywileje na prawo Chełmińskie nadawali krzyżacy wyłącznie w ziemi Chełmińskiéj, a gdy bardzo często zachodziła zmiana polskiego prawa na niemieckie, ztąd już w XV w. mała tylko liczba miejscowości cieszy się prawem polskiém. Niemieckie prawo jednakowoż nie jest identyczném z narodowością niemiecką, jak téż i nie można wnioskować z polskiego prawa o narodowości polskiéj.

Że polska narodowość się utrzymała dowodzą imiona miejscowości skrzętnie przez p. K. zebrane, które, po większéj części i za czasów krzyżackich, zatrzymały polskie brzmienie oszpecone niejednokrotnie w urzędowéj mowie niemieckiéj. Przez analogią dochodzi autor do prawideł, według których zmieniano a raczéj oszpe-

bano polskie brzmienie nazwy i dowodzi tego na przykładach. Mała jest tylko liczba miejscowości o czysto niemieckiéj nazwie. Również trafnie tłómaczy autor powstawanie nazw podwójnych jednéj i téj saméj miejscowości np. Mgowo-Logendorf i popiera sąd swój licznemi przykładami. Pokazuje się ztąd, że pierwsze polskie nazwiska pojawiają się z początkiem XV w., ale że dopiero po 1454 gdy władza Krzyżaków upadła, coraz śmieléj występują w aktach niemieckich na miejsce urzędowych niemieckich. Spis ten (str. 122—139) poucza dokładnie, że szlachta chełmińska była przeważnie polską. Narodowość niemiecka po wsiach była tylko w nieznacznéj liczbie reprezentowaną. Słusznie tedy podnosili Polacy w 1464 r., że *genus et linguagium Polonorum colit et inhabitat terram Culmensem.*

Szlachcie polskiéj potwierdza landmistrz Herman Balk prawo ziemskie i nadaje nadto obszerne prawa spadkowe. Pan K. poznaje tedy szlachtę polską tak z polskiego imienia własnego (Bartosz Stenzel=Stanisław) jako téż i z prawa polskiego jakiém się zazwyczaj rządziła. Z przezwiska, utworzonego zazwyczaj od miejscowości, niemożna snuć wniosków co do narodowości, chyba gdy miejscowość w polskiéj formie występuje. Pod koniec XIV i na początku XV w. zamieniają dobra ziemskie prawo ziemskie na chełmińskie, ale pozostają nadal polskiemi.

Uwzględniając nazwy miejscowości w ziemi Chełmińskiéj, przychodzi autor do wniosku, że w ziemi téj prawie że niema ani jednego imienia, któreby nie pochodziło od polskiego imienia własnego. Najznakomitsze rodziny pruskie liczą się do téj kategoryi: jnp. Logendorf, Damerow, Cegenberg, Pfeelsdorf, Baysen. Pomiędzy zestawionemi imionami napotykamy i na zbiegów z Polski jnp. na znanego Miklasza Schillignsdorff, syna marszałka ziemi Dobrzyńskiéj Iwana z Radomina, również jak na Adama de Logendorf późniejszego kasztelana Dobrzyńskiego Adama Świnkę. Polskie nazwiska spotykamy już w początkach XV w. jak np. Bertolt Bolemeynski 1403; Janussius Orzechowski 1410; Johannes Czipliński (t. j. Szczupliński ten sam nazywa się von Damerau) 1413 r.; Nicolaus Pilawski (Pfeelsdorf 1466; Nikolaus Beyerski 1454; Gabriel Beyerski (Baiersee) 1466; Nicolaus Dzalowski (Salendorf) Jan Dombrowski etc.

Niekiedy nazywano szlachtę chełmińską panami (panem), jak się to zazwyczaj działo na Pomorzu. Przydomki niemieckie szlachty tłómaczy autor niemiecką mową urzędową, gdyż są one równoznaczne z polskiém imieniem np. Pfeelsdorf-Pilawski (gdyż Pilawice zwano w urzędowéj mowie Pfeelsdorf), von der Milwe-Milewski (Milewo = Milwe), von Weiden Wirzbowski (Wierzbowo = Weide).

Gdy tedy ludność ziemska t. j. chłopi i szlachta po największéj części do polskiéj należeli narodowości, nie mogły się i tameczne miasta pozostać bez wpływu polskości, chociaż początkowo czysto niemieckiemi były. Polski żywioł, przy zakładaniu miast na prawie chełmińskiém, zupełnie na równi był uważany z Niemcami, miejscową ludność przyjmowano do nowo-założonego miasta, lecz Niemcy już dla mowy urzędowéj niemieckiéj odgrywają tam główną rolę. Błędném jest mniemanie, jakoby Polacy nie otrzymywali prawa obywatelstwa miejskiego; autor słusznie zaznacza, że notaryusz chełmiński Konrad Byczyn zbija w zupełności to mniemanie. W chełmińskich miastach była tedy ludność mięszana, a że bogaci mieszczanie byli zarazem i posiadaczami dóbr ziemskich, zdarza się częstokroć, że pojmując za żony Polki polonizowali się (podobnie jak to się działo w Krakowie), czego dowodem imiona własne rodzin mieszczańskich pierwotnie niemieckiego pochodzenia. Chełmno miało wielki procent ludności niemieckiéj, w Toruniu gdzie nie zachowały się stare pomniki było prawdopodobnie nie inaczéj. Polaków jednakowoż znajdujemy nawet na urzędach ławników. Całkiém polskiemi były małe miasta jak np. Golub; najmniéj polskiém miastem był Grudziądz a żywioł niemiecki tu przeważał. Ziemia Pomezańska była pierwotnie krajem pruskim. Jeszcze przed przybyciem Krzyżaków usadowili się Polacy na północ nad Ossą, podczas gdy kolonie pomorskie, idące od zachodu, całkiem zniszczały. Gdy spokojniejsze nastały czasy, otworzyło się tu szerokie pole dla kolonizacyi zakonu, który z jednéj strony oparł się na biskupstwie Pomezańskiém, z drugiéj zaś na szlachcie polskiéj i powierzył im dzieło kolonizacyi. Tu na ziemi pruskiéj polskie nazwiska miejscowości oznaczają zarazem ludność polską. W miastach tylko przeważa żywioł niemiecki. Szlachta pruska wcześnie ulega wpływowi polskiéj narodowości, jak to autor wnosi z imion własnych czysto polskich, które Prusacy na chrzcie przyjmują. Prusacy ci polonizują się, jak np. potomkowie pruskiéj rodziny Klec, Linken i t. p. Po wojnie trzynastoletniéj, która kompletnie zmieniła stosunki narodowościowe, gdy nadto i wiele miejscowości zupełnie zniknęło, rozpoczęła się nowa era kolonizacyjna z Polski biorąca źródło, skutkiem czego województwo Malborskie w krótkim czasie po większéj części spolszczało. Także i w biskupstwie Warmińskiém, przed i po sekularyzacyi zakonu, spotykamy przeważnie Polaków, chociaż tu żywioł polski dla urzędowéj mowy niemieckiéj nie był panującym. O polskim żywiole w starostwach Prabuckiém i Szymbarskiém, podaje autor kilka ciekawych dat statystycznych, dowodzących że ludność polska stanowiła znaczny procent w Pomezanii

książęcéj, wogóle wyszukuje około 70 rodzin szlacheckich polskiéj narodowości, które posiadały w ostatnich stuleciach tamże dobra ziemskie.

W drugiéj części traktuje autor o kolonizacyi polskiéj w Prusiech wschodnich, na puszczach rozciągających się od ziemi Lubawskiéj wzdłuż granicy polskiéj i litewskiéj a obejmujących kilka ziem niegdyś pruskich, jak ziemię saską golędzką wraz z Patrąkiem, oraz ziemię Jadźwingów. Były to znaczne obszary niezaludnione, potrzeba było wiele ludzi do kolonizacyi. Zakon, jak to na podstawie dokumentów udowadnia autor, używał do kolonizacyi przedewszystkiém Polaków, gdyż to mu najłatwiéj przychodziło, a oprócz nich Niemców, Prusaków i Litwinów. Najliczniejszy udział w kolonizacyi biorą Polacy, pochodzący po części z ziemi Chełmińskiéj po części zaś z Polski. Dzisiejsze nazwy polskie miejscowości utworzone są tak z imion własnych, jakotéż są wzięte wprost z rodzinnéj ziemi, skąd kolonizatorowie przybyli. Kilka tylko rodzin Pruskich brało udział w kolonizacyi puszczy, posługiwało się atoli przytém ludem czysto polskim i szybko się w otoczeniu polskiém polonizowało. Tylko w ostrodzkim i olsztynkowskim powiecie, gdzie przy rozpoczęciu kolonizacyi były liczniejsze dobra pruskie napotykamy Prusaków. Litwini zaś których tu spotykamy byli spolonizowani. Niemcami w daleko większéj mierze aniżeli Prusakami i Litwinami, posługuje się zakon w dziele kolonizacyi, oczywista o ile może, gdyż Niemcy potrzebniejsi są w stronach czysto pruskich i miastach aniżeli na puszczy. Trudno atoli z powodu mowy urzędowéj skonstatować kto z kolonistów był Niemcem, gdyż dokumenta, odnoszące się do kolonizacyi Mazur dzisiejszych, pisane są po niemiecku a piszący tym językiem przekładali i imiona na niemiecki język. Gdy atoli zakon tylko niemiecką ludność chciał mieć w jakiejś wsi, żądał tego wyraźnie w przywileju lokacyjnym, z czego wniosek, że jeżeli tego żądania nie stawiał, wolno było sołtysom sprowadzać ludzi skąd się tylko dało. Pan K. wylicza Niemców biorących udział w kolonizacyi, przyczém należy uwzględnić, że gdzie niemieccy sołtysi zaludnili miejscowość osadnikami niemieckimi ta zazwyczaj i niemiecką ma nazwę, gdzie zaś do tego użyli Polaków miejscowość otrzymuje nazwę polską. Tak samo rzecz się miała gdy polscy sołtysi zakładali miejscowości a obsadzali je ludem niemieckim. Czysto polskiemi są od początku powiaty: działdowski, niborski, piski, lecki i oleckowski. Mięszaną ludność miały powiaty: dąbrowiński, ostrodzki, olsztynkowski, szczycieński, szestyński i wągrowiecki.

W ostrodzkim powiecie wsie jak Ornow (Arnau), Icbark (Hirschberg), Kzaplewo (Kzapelnau), Tyrbark i Tyrowo miały jeszcze 1552 r. ludność niemiecką, która w 1621 już bez śladu zniknęła a na jéj miejsce występują Polacy. Jeszcze w 1600 w olsztynkowskim powiecie był cały szereg miejscowości z ludnością niemiecką, podczas gdy reszta osadzona niegdyś na prawie chełmińskiém i mająca ludność niemiecką spolszczała zupełnie, jak Wilkowo (str. 374), Salminek (str. 380) i inne.

W szczecińskim powiecie w 1600 r. przeważają liczbą Polacy, pomimo że powiat puszczą i borami oddzielony był od Polski i znikąd nie dotykał stron czysto polskich, skąd i żywioł polski nie mógł brać w kolonizacyi tak przeważnego udziału jak gdzie indziéj.

W szestyńskim występują XIV i XV wieku prawie sami tylko Niemcy i Prusacy. Pod koniec XV w. osiedlają się tu już sami tylko Polacy a w r. 1536, według urzędowych dat, była ludność mięszana; w XVII w. zaś tylko Polacy tu zamieszkują.

Podobnie jak w szestyńskim powiecie było i w węgoborskim, gdzie kolonizacya polska dopiero w XIV w. rozwinęła się na szeroką skalę. W Warmii dzieje się to pod koniec XV i na początku XVI w. gdy biskupi Polacy lub Polakom przychylni, dla zmienionych stosunków politycznych, musieli się oprzéć na żywiole polskim.

I w innych powiatach Prus wschodnich dość było miejscowości polskich, czego dowodem ich polskie nazwy, a daty urzędowe wykazują nam Polaków w wielu osadach o nazwie czysto niemieckiéj, zwłaszcza w XVII w.

Szlachta prawie bez wyjątku jest polską w zachodnich i południowych stronach Mazur dzisiejszych, we wschodnich zaś, gdzie dóbr szlacheckich było mało, po większéj części niemiecką.

W innych powiatach dziś zupełnie niemieckich lub litewskich, wykazuje autor przeszło 150 rodzin polskich, mających w tych stronach liczne posiadłości. Autor dowodzi, że stosunek ten istniał nietylko w ostatnim stuleciu ale że i za czasów krzyżackich wiele polskich rodzin osiedlonych było w stronach pruskich.

Z dóbr szlacheckich w puszczy dawano zazwyczaj jednę służbę w lekkiéj zbroi od 40 i więcéj włók; służba rycerska (konno) z 80 włók jest rzadką. Ziemianie obowiązani są do służby wojskowéj zarówno jak szlachta ale służbę swą pełnią od mniejszéj liczby włók, a mianowicie jedną służbę od 36—40 włók. Pełnią téż oni niektóre powinności jak tłokę, szarwarki itp. Pełnienie tego obowiązku lub wyraźne uwolnienie od niego, jest zdaniem autora najgłówniejszą cechą, którą dobra ziemiańskie się różnią od szlacheckich.

Chociaż puszczę—jak z badań pana K. wypływa—głównie Polacy kolonizowali, nie spotykamy jednak ani jednéj osady na prawie polskiem. Polacy wszyscy bez wyjątku otrzymywali nadania prawa niemieckiego zarówno jak Niemcy, gdyż prawo Chełmińskie, jako najdogodniejsze i najwięcéj korzyści osadnikowi zapewniające, było tu najbardziéj pożądane i udzielane.

Mniéj korzystne dla osadników prawo magdeburskie zwyczajne spotykamy w puszczy od 1418 r. toż prawo ad atrumque sexum okazuje się z końcem XV w., lenne zaś dopiéro z XVI w.

Te prawa niemieckie przysługują nietylko szlachcie ale zarówno i ziemianom jakotéż i sołtysom i osadnikom wsi danniczych, w których to ostatnich sołtys zazwyczaj dziesiątą włókę otrzymuje. Z niemieckiém prawem połączona była zazwyczaj służba w lekkiéj zbroi, często téż i pruska służba niemająca atoli nic wspólnego z pruską narodowością.

Prawa pruskie, wyjątkowo tylko używane, dzieli autor na dwie kategorye tj. na prawo pruskie, które otrzymali Prusacy poddający się zakonowi w r. 1249 o zasadach szlachetnych i korzystnych dla ludności podbitéj, które atoli Prusacy utracili skutkiem powstania. Prawo to jest zupełnie innéin, aniżeli to, które w późniejszych dokumentach zachodzi pod nazwą prawa pruskiego—jest to właściwie prawo *pomazeńskie* (wydane przez Labanda) a więc tak zwane prawo pruskie. W XV wieku utraciło ono kompletnie ściśle narodowe znamię, gdyż jak to autor wykazuje nadawano je tak Polakom jako téż i Niemcom.

Poszczególniwszy prawa, które na puszczy panowały jakotéż narodowości, które pustkowia te usilną pracą zamieniały w kraj ludny i rolny, stara się autor dać szczegółowy obraz kolonizacyi pogranicza mazowieckiego, z uwzględnieniem głównie czynności Polaków, przyczém jednakowoż i inne narodowości wzięte są na uwagę. Przeprowadzając tę myśl, nie trzyma się autor podziałów administracyjnych zakonu, ale urządzeń XVI wieku (powiatów), organizacyi późniejszéj, którą uważa za ostateczny wyraz całego ruchu kolonizacyjnego. Porządek jest ściśle chronologiczny; wiele miejscowości które dla uczonych i historyków pruskich zagadkową postać miały, znajdują tu wyjaśnienie. Na końcu każdego rodziału daje autor próby polskiéj mowy jaką w tych stronachmówiono (str. 466), wyszczególnia imiona chłopów z niektórych miejscowości i wylicza rodziny polskie mieszkające tamże w ostatnich stuleciach. O wielkiéj ich liczbie zaledwie miano dziś wyobrażenie. Miasta mazurskie były polskiemi a inne miasta pruskie posiadały znaczną liczbę ludności polskiéj szczególniéj w XVII wieku.

W zakończeniu stara się autor, na podstawie zebranego i opracowanego materyału, określić stanowisko Polaków tak w stosunkach służbowych do zakonu jakotéż zakres ich działania w służbie kościoła, ich narodowościowe i polityczne znaczenie w państwie zakonném. Z dzieła całego ukazuje się, że żywioł polski za czasów krzyżackich nie tylko że utrzymał się w ziemi Chełmińskiéj, lecz że rozszerzał się wówczas po Pomezanii, że kolonizował puszczę nadgraniczną i osiedlał się licznie w ziemiach dawniéj czysto pruskich. A jakkolwiek trudno jest oznaczyć jaki był jego stosunek liczebny do innych narodowości, to jednakowoż liczby przypuszczalne u Webera są dziś w obec badań pana K. li tylko igraszką dat fałszywie rozumianych i tłómaczonych. Trudno nie zgodzić się z autorem, że jak prosty rzut oka na mapę poucza, około 1400 r. wszystkie trzy narodowości, to jest Polacy, Niemcy i Prusacy, byli mniéj więcej liczebnie równi, skoro zaś mając na względzie całość ówczesnego państwa krzyżackiego, wciągniemy w rachubę i Pomorze, to śmiało twierdzić można, że ludność polska Prus w połączeniu z ludnością polską Pomorza, musiała przedstawiać liczbę przewyższającą znacznie Niemców i Prusaków razem.

Powszechnie wiadomém jest, jak wybitną rolę odgrywała szlachta ziemi Chełmińskiej, Pomezanii i ostrodzkiej ziemi w ruchach politycznych XV wieku, niewiadomym był powód tych ruchów, z dzieła pana K. wiemy, że szlachta ta była zupełnie polską. Dziś wiemy, że żywioł polski obok zakonu jest najsilniejszym czynnikiem pruskiej historyi, a dopóki ta okoliczność nie jest uwzględnianą, tak długo jasny pogląd na pruską historyą będzie niemożebnym.

W obec tego każdy przyzna, że zasługą pana K. nie jest li tylko obficie nagromadzony materyał, jak to się zdawało sprawozdawcy z Kuryera Poznańskiego, który jest zresztą obowiązany autorowi, że nie siląc się na opracowania podał tylko rozległy i cenny materyał. Dzieła tego niestety sprawozdawca nawet nie przekartkował, dlaczego téż nie może sobie rościć pretensyi aby wzniósł kiedykolwiek ze skrzętnie nagromadzonych materyałów gmach okazały, czego się w przyszłości spodziewa od historyków.

W etnograficzno-historycznych monografiach trudno być pisarzem zajmującym i tego nie żądamy od pana K., żądamy jasnego przedstawienia stosunków narodowościowych — a w téj mierze pan K. zupełnie nas zadowolnił. Zapewne, że i tu niejedna kwestya nasuwa się nam wątpliwa; czy Pachirs jest istotnie Pacierz jak to autor na 547 str. twierdzi, lub Sczirne = Cierń? (str. 440), Lub czy Perstan (str. 134) jest polskiem imieniem, lub Rejnart = Rejnko? (str. 151), jak Winrych = Winko (str. 162). Sądzimy, że niejedna

z cegiełek tu żmudnie zebranych upadnie i skruszeje skoro specyaliści filologowie słowiańscy przyłożą się, czego się spodziewać należy, do pracy pana K., że atoli główna podstawa i główne wyniki dzieła są niewzruszone.

Co do cytat to prawdziwie możnaby się pokusić o zrobienie zarzutu autorowi, że ich zaniechał. Szczególniej zdaje się, że brakują na miejscach gdzie imiona występują, lokacye osad z datą i t. p. Nasuwa się tu przedewszystkiém myśl czy nie byłoby stosownie, gdyby autor w tekście a nie u dołu i to w skróceniach przytaczał swe źródła, aby i tak olbrzymie dzieło nie pomnażać wielką ilością arkuszy. Lecz zapytajmy się coby oznaczał, czegoby dowodził i ku czemu służył taki cytat ogólnikowy, przy pewnej dacie tekstu jak np. A. G. (Archiwum Grodziadzkie). Czyby można dokument taki ogólnikowo wskazany odnaleść w rzeczonym archiwum? Czy zadał sobie pytanie autor tego zarzutu, są li uporządkowane w ogóle archiwa pruskie aby je można było w dziele systematycznie cytować? Wiadomą jest zresztą rzeczą, że wielu historyków, opierających się na badaniach archiwalnych, pomija cytaty i że braku tychże nikt im za złe nie bierze. Sądzimy, że autor „Ludności polskiej w Prusiech Krzyżackieh“ dał w swej „Narodowości polskiej w Prusiech zachodnich“ dowody takiej ścisłości w badaniach, że go śmiało uwolnić można od takich cytat, których źródła się zresztą domyślamy, jakotéż od takich, któreby w gruncie rzeczy nie mogły być ścisłemi.

Cała zresztą książka pana K. jest jednym wielkim cytatem złożonym z miliona drobnych cytat ujętych w system i gruntownie obmyślanych. Że tu i owdzie autor mógł źle przeczytać lub przeczytał, tego i najszczegółowsza cytata nie poprawi, lecz taki błąd budowy jego nie zniszczy.

Porównanie pierwszej pracy autora *„Narodowość“* z niniejszą wychodzi bezsprzecznie na korzyść ostatniéj. Wytrawny badacz dziejów Pruskich jest dziś zupełnie objektywnym, traktuje przedmiot poważnie, bezstronnie i przedmiotowo, unika polemiki i gruntownemi dowodami zbija niczém nie poparte sądy przeciwników. Przymiot ten podnosi wartość dzieła — a jak jest trudnym do osiągnięcia poznamy ztąd, skoro zważymy, że u takich historyków pruskich jak Wagner uchodzą nazwy czysto polskie jak Jesko, Pasko, Pistko, Stasko i t. p. za starosaksońskie (Ein Pommersches Herzogsthum und eine Deutsche Ordens-Komthurei str. 312). Sumienny autor nie waha się odrzucić dawniejszego twierdzenia (jnp. co do Pomezanii) skoro na podstawie rozszerzonych badań przyszedł do przekonania że było ono fałszywém.

Jak olbrzymia praca tkwi w dziele pana K. ten tylko ocenić potrafi, kto zna zawiłość i trudność przedmiotu, równie jak i olbrzymi materyał, w archiwach i rękopismach po największej części spoczywający, który autor sumiennie i gruntownie zbadał, w system ujął i jednolitą całość z tysiącznych okruchów zbudował. Materyał autora to kamyczki mozaikowe, z których bodaj czy kto inny potrafiłby stworzyć równie wspaniały obraz, jak to pan K. uczynił. Wartość pracy jest też niezwykłą i stoi w prostym stosunku do jej trudności. Każdy historyk badający dzieje Prus musi się liczyć z jéj rezultatami. Dowiadujemy się téż, że powzięto w Królewcu myśl przetłomaczenia tego dzieła na język niemiecki. Będzie to klucz do wielu zagadek w dziejach pruskich, które tłómaczono dotąd czczémi hipotezami.

Antoni Prochaska.

Mapa hydrograficzna dawnéj Słowiańszczyzny. Część zachodnio-północna. Rzeki i jeziora. Tekst objaśniający do mapy hydrograficznéj dawnéj Słowiańszczyzny, części północno-zachodniéj, przez W. K.

Przed rokiem pomieściliśmy w naszém piśmie krótką wzmiankę o mapie, wygotowanéj przez p. Walerego Kopernickiego; obecnie ukazała się uzupełniona, wraz z tekstem objaśniającym, zawartym na 125 stronach. Mapa obejmuje kraje między Elbą na zachodzie a Desną na wschodzie, na północy dochodzi do krańcowego cypla Kurlandyi, a w przeciwnym kierunku sięga po za jezioro Błotne (Balaton) w Węgrzech i do limanu Dnieprowego. Rzeki przerzynające ten obszar geograf nasz podzielił na dwie grupy: 1) na rzeki stoku północnego do którego wchodzą: kotlina morza Niemieckiego, reprezentowana przez Elbę, rzeki wpadające do Baltyku i wierzchowiny Wołgi; 2) rzeki stoku południowego, których wody biegną ku morzu Czarnemu. Potém następuje rozdział o jeziorach, a w końcu pomieszczono dwa troskliwie ułożone skorowidze nazw podanych w książce. Rzecz, poczęta w zacnéj myśli, stanowi istotną zasługę autora. Mapa zarówno jak tekst wypracowane są z wielką starannością i będą zapewne z wdzięcznością przyjęte tak przez badaczów, którzy dane rozmaitego rodzaju (historyczne, etnograficzne itd.) potrzebują na mapie zaznaczać, jak i przez ogół ukształconéj publiczności. W przekonaniu, że chętny pokup, jaki praca p. W. K. niewątpliwie znajdzie, skłoni szanownego autora do zajęcia się niebawem nową jéj edycyą, przedstawiamy tu pewną liczbę dorywczych spostrzeżeń.

Zagraniczny litograf północno-wschodnie końce wązkich pasów ziemnych, dzielących zatokę Świeżą i Kurońską od Baltyku, niewłaściwie połączył z lądem stałym. Górny bieg Wełtawy zaczyna się na saméj granicy Bawarskiéj, czego na karcie nie widać. Narysowano na mapie rzeczkę, oznaczoną literą L. wpadającą do Wełtawy, między Sazawą a Elbą: zdaje się, że jéj w naturze nie ma; natomiast, między Lusznicą a Sazawą wpada, według innych map, rzeczka, któréj nazwy nie udało nam się odszukać. Lomnica i Statica łączą się z sobą podobno przed ujściem do Otawy; Beraun winna mieć czeską nazwę Beraunka, Eger zaś zwie się Ochrze. Tepla wpada nie do Zlaty, jak mylnie w tekście powiedziano, lecz do Egry, co mapa dobrze wskazuje. Legendę o słupach Chrobrego w Solawie bezpieczniéj można było pominąć. Tekst nie powiada jak się zwie rzeka wpadająca do Unstruttu z prawéj strony, oznaczona na mapie literą G.; podobnież się stało z rzeką P. prawym dopływem Elby w Czechach północnych. Wipper mały i Helme są według mapy lewemi dopływami Unstruttu: tekst zowie je prawemi. Rzekę Iser należało raczéj nazwać albo Izarą, albo po czesku Jezerą. Rzekę Wessnitz, jeśli chodziło o podanie przypuszczalnéj nazwy słowiańskiéj, wolelibyśmy nazwać Wieżnicą lub Wieśnicą, zamiast Wiosennicą.

Pomiędzy prawemi dopływami Elby autor na 10-em miejscu kładzie „Schale z lewym dopływem Sude; a do téj z lewéj strony Röcknitz.“ Według mapy Perthesa, rzeki Reckwitz i Krainecke wpadają do Sudy z lewéj strony, zaś Schale wpada do Sudy z prawéj strony.

Przy rzece Bille wspomniano, że była ona „zachodnio-południową granicą Zasieki Saksońskiéj“ (str. 6). Uzupełniając to dodamy, że wedle najnowszych badań *Limes Saxonicus* ciągnął się wzdłuż Swentyny, koło Bornhöftu, Segeberga, Trawendalu, Oldesloe, Kl. Wesenberg i źródeł Bieli, a daléj wzdłuż Steknicy.

Tekst pominął rz. Stoer (Styr?) wpadającą do jez. Zwierzyńskiego, widoczną na mapie. Rz. Randow, według Hilferdynga, zwała się dawniéj Leknicą. Oderberg (str. 7) należało nazwać po polsku Boguminem. Wymieniwszy jezioro Danmskie, wypadało wymienić obszerniejsze od niego dwa Hafy: Wielki i Mały. Trzecie ujście Odry wolelibyśmy nazwać Pianą, aniżeli Pijaną. Rzeka Zimna v. Cyna zwie się po czesku Psztina, po polsku więc byłaby chyba Pszczyną. Troja wpada do niéj nie z lewéj, lecz z prawéj strony, a inaczéj zwą ją Longawą. Niemiecką nazwę Ossobłoki zwykle spotykaliśmy w postaci Hotzenplotz, nie zaś Hassenplotz; wpadający do niéj Prądnik nosi w r. 1253 imię Pransina, a więc Prężyna.

Do Nissy szląskiéj wpada z lewego brzegu oprócz Scieniawy-Steine, jeszcze kilka innych rzeczek; pomiędzy Nissą a Olawą wpada do Odry rzeka Ulmen; do Olawy wpada także kilka rzeczek Czarna-Woda, o któréj powiedziano, że wpada do Odry „prawie naprzeciw Szląskiéj Kopanicy," ma ujście pod Głogowem. Rz. Czyrna (str. 9) jest na mapie oznaczona mylną literą *E*. Przy Nissie łużyckiéj opuszczono lewe jéj dopływy: Montau i Pliesnitz w Saksonii. Pomiędzy lewemi dopływami Odry wypadało pomieścić: Ślubę pod Müllrose, Stobrawę niem. Stobberow, która wpada pod Wrietzen, wreszcie die Fühne, mającą ujście pod Nieder-Finow, i połączoną zapomocą kanału z Hawolą. Rzeka Birowa ma też nazwę Birawka; Kłodnica przyjmuje z prawéj strony, oprócz Kocawy, Bramę płynącą z pod Gór-Tarnowskich. Małopiana wpada niżéj Opola, a prawe jéj dopływy zowią się na mapach pruskich: a) Leschnitzer Wasser, b) Lublinitzer Wasser, c) Mischilina. Stobrawa ma ujście nie przy Brzegu, lecz wyżéj tego miasta. Do rzeki Miniski v. Flösze wpadają Carfluth i Smortawa. Żeby szląska Widawa wypływała „z południowych stoków wyżyny Tarnowieckiéj"—zgodzić się nie możemy.

Liczwarta zwała się dawniéj Istwartą, zamiast nazwy Nieszub wolimy poprawniejszą Niesobię, Widawę sieradzką częściéj zowią Widawką; w starych łacińskich dyplomatach rz. Mietzel nosi miano Mizla; polska nazwa rzeki Ihne jest Ina. Nie odgadujemy dla czego jez. Gardensche See, do którego wpada rz. Lupow, nazwano zatoką Świeżą. Rzeki Rżewy v. Utraty v. Mrowy nie znamy pod pierwszém z tych imion, wiemy natomiast o nazwie Rnowa. Tąrzyna pod Otłoczynem w ustach mieszkańców okolicznych brzmi Tązyna. Montawa płynie nie do Nowia, lecz do Nowego. Rz. Bystra, wpadająca do Wisły poniżéj Kazimierza nosi także miano Trypy.

Według mapy Textora, Łoknica narwiańska płynie do wsi Kaniuki; dopływ Orlanki rz. Biała wypływa z pod wsi Zalesiany; Liza łączy się z Markówką; Jamiołka v. Slina nie płynie od Bruszewa, gdyż ma źródła wyżéj, pod wsią Jabłoń Kościelny; między dopływami Narwi opuszczono: Olszankę, która wpada naprzeciw ujścia Narewki, dwie rzeczki płynące od Zabłudowa, dwie rzeczki wpadające naprzeciw ujścia Łoknicy, rzeczkę która wpada naprzeciw ujścia Orlanki, i Niewodnicę płynącą od wsi tegoż nazwiska a wpadającą pod Zawadami, gdzie w r. 1358 był punkt graniczny między księstwem mazowieckiem a grodzieńskiem; o rzece Turośli należałoby powiedziéć, że płynie z pod wsi Topolany; do prawych dopływów Supraśli, zwanéj w 1358 r. Sprząślą, zaliczyć można Kładniankę wpadającą pod Gródkiem i Słoję, która mając źródło pod wsią Słojką, wpada pod Nowosiołkami.

Rzeki pod miastem Wąsoszem (mazowieckim) w r. 1616 zowią się Wysza i Grzeszka; pod Radziłowem płynie rzeka, która w lustracyi roku 1660 nazwana Kubrzenicą, a w r. 1789 Stuczą, wpada ona do Wysy. Rzeka Dmoch, uchodząca do Narwi blisko miasta Wizny, ma w r. 1616 imię Wyźnicy.

Czy słusznie lewy dopływ Omulwi, Waldpusz, nazywa prof. Barsow w swéj geografii historycznéj Walnuszą (przypisek 55)— nie umiemy powiedzieć.

Wśród prawych dopływów Wisły dodaćby można: 1) małą pod Płockiem rzeczkę (poruszającą jednak młyny), któréj dziś dają pospolicie niewłaściwe miano Parowy, w XIII bowiem i XVI wieku ma ona nazwę Brzeźnicy; 2) Chełmicę, a pierwotnie Chełmnicę, w ziemi Dobrzyńskiéj, która w r. 1236 dzieliła księstwo kujawskie od mazowieckiego, a przed sprowadzeniem Krzyżaków stanowiła granicę uposażenia rycerzy dobrzyńskich. Miasto z pod którego płynie rzeka Osa zwie się po polsku Radzyn.

Rz. Rudawka, wpadająca do Świsłoczy, nie jest na mapie odznaczona literą *R*.

Do Berezyny niemnowéj wpada, według Barsowa, rzeka Purwiła, przy ujściu któréj jest wieś Neroma (str. 162); tenże autor w nocie 57 dodaje, że w południowéj stronie powiatu Wilejskiego nad rz. Purwiłą leżą wsie Dojnowa Wielka i Dojnówka.

To co czytamy o Kotrze w tekście naszego autora (str. 37), nie zgadza się z tém co widzimy na mapie. Zamiast 180 mil długości rz. Mingi, przypuszczamy tylko 18, a o jéj prawych dopływach nadmieniamy, że na mapie jest rzeka wyżéj Bobrungi i że Bobrunga z Szałantą łączą się przed ujściem do Mingi, że wreszcie lewe jéj dopływy inaczéj są przedstawione w tekście aniżeli na mapie.

W „Wspomnieniach księdza Dobszewicza“ czytamy, iż rzeka Wyrwita zwie się także Świętą.

W kotlinie Dniepru dodamy rz. Kurań, lewy jego dopływ, wpadający na przeciw Trypola, i wspomniemy, że Chodakowski wymienia rzekę Odrow', prawy dopływ Dniepru, na drodze z Połocka do Czerniechowa.

W kotlinie Samary: dopływ Kilczeni oznaczony na mapie literą *O*. i jeden z dopływów Wołczy, mający litery *W. T.*, pominięte zostały w tekście.

Co do kotliny Dniestru nadmienić można, że lubo w „Starożytnéj Polsce“ powiedziano, iż Wojniłów leży nad Wojniłówką, uchodzącą do Siwki, nie wiemy o ile to słuszne, gdyż na kilku kartach pomieszczono to miasteczko nad Siwką.

Ponieważ wkroczyliśmy w obszar dzisiejszéj Galicyi, będzie tu miejsce przytoczyć rz. Basznę w Lubaczowskiém, pod wsią Szczutkowem lub Szczutkami (Akta Grod. i Ziem. VIII, 26), Maniawkę koło Sołotwiny (Star. Pol. II, 750) i Murmawę w pow. Rymanowskim, między Jaśliskami a Desznem.

Wydawca Kodeksu Wielkopolskiego podał w IV tomie długi spis rzek i rzeczek wymienionych w aktach, z którego nie jedno dla mapy hydrograficznéj przydaćby się mogło; w innych kodeksach dyplomatycznych także niemałe zebraćby można żniwo.

Przy sposobności pozwolimy sobie przedstawić tu pewną kwestyą historyczną, która dla hydrografii krajowéj nie jest obojętną. Według kroniki Wincentego, bitwa między Krakowianami a Mieszkiem Starym zaszła w miejscu, nazwaném od rzeki Mozgawy, a niedaleko klasztoru Jędrzejowskiego. Dziś nad rz. Mozgawą (która wedle map teraźniejszych, wpada do Mierzawy), nie ma wsi tego nazwiska; w przypuszczeniu, że ona znikła, mniemać by można, iż widownia boju znajdowała się gdzieś w pobliżu miasta Wodzisławia, leżącego nad r. Mozgawą, przez nie bowiem przechodzi droga z Krakowa, która daléj ku północy, pod wsią Mierzawą przecina rzekę Mierzawę i dąży do Jędrzejowa. W takim razie Mieszko nadciągałby drogą od Lelowa i Szczekocin, a Władysławice szląscy — od Pilicy i Żarnowca. Że już w odległych wiekach droga z Krakowa na północ przecinała rzekę Mierzawę, przekonywają o tém wiece odbyte nad tą rzeką 4 sierpnia 1243 r. przez Konrada Mazowieckiego i dwóch jego synów z Grzymisławą, jéj synem i liczném gronem panów. Istnieje wprawdzie i dzisiaj wieś Mozgawa (na południe Pinczowa), ale nie leży nad rzeką tego nazwiska, odleglejsza jest od Jędrzejowa, aniżeli Wodzisław, i wydaje się zanadto na wschód odsuniętą od drogi łączącéj Kraków z Jędrzejowem. Możnaby jednak szukać pod nią placu bitwy, gdybyśmy przypuścili, że w XII wieku nie Mozgawę uznawano za dopływ Mierzawy, lecz odwrotnie (podobnie jak Warta uchodziła za dopływ Noteci), że więc od połączenia się tych rzek aż do ujścia do Nidy całe koryto wodne nazywało się Mozgawą. Od tego ujścia Nida płynie wśród tak szerokiéj a bagnistéj kotliny, że przez nią mogło doskonale ciągnąć się koryto i drugiéj rzeki, aż pod wieś Mozgawę, pod wzgórzystą wyniosłością na prawym brzegu. Przypuszczenie to znajduje niejakie poparcie w tém mianowicie, że dzisiejszy dolny koniec koryta Mierzawy, który od wsi Pawłowic zwraca się wprost ku północy, dążąc do Nidy, zakreśla kontur tak prostolinijny, iż wydaje się raczéj sztucznie przez bagna przekopanym kanałem, aniżeli na-

turalném łożyskiem nurtu. Jeżeliby więc ten fakt hydrograficzny dał się udowodnić, Mierzawa byłaby pierwotnie dopływem Mozgawy, a ta ostatnia płynąc niegdyś pod samemi wzgórzami brzegu prawego, łączyłaby się z Nidą dopiero pod wsią Mozgawą. Zwrócenie się zatém pochodu wojsk krakowskich ku wschodowi, wypadałoby w takim razie objaśnić potrzebą może prędszego połączenia się z posiłkami, które Roman z Rusi prowadził.

Rzecz o jeziorach nie przedstawia pola do uwag, gdyż sama skala mapy nie pozwalała na pomieszczenie ich w wielkiéj liczbie. Zaznaczymy tylko, że litograf fałszywie oznaczył Gopło liczbą 1, zamiast 7, i że jezioro Lednica, ze względu na swe historyczne znaczenie zasługiwało na to, aby o niem wspomnieć.

= **Kilka słów o elegijach łacińskich Jana Kochanowskiego**, *napisał J. H. Kallenbach. Kraków 1883* (*str. 14*).—Autor téj rozprawki dał się już dawniéj poznać z próbki tłómaczenia poematu Lukrecyusza *O naturze rzeczy*, pomieszczonéj w „Przeglądzie Akademików.“ Rozczytywanie się w tym niepospolitéj wartości poemacie filozoficznym dało mu niewątpliwie sposobność do zestawienia myśli i wyrażeń Lukrecyusza z myślami i wyrażeniami Jana Kochanowskiego, zajmującego teraz szczególniéj z powodu zbliżającéj się 400-letniéj rocznicy jego śmierci. Zestawienie to i porównanie przyprowadziło go do wniosków wypowiedzianych w broszurze pod dopiero co przywiedzionym nadpisem. Punktem wyjścia do poszukiwań było dla p. Kallenbacha jedno wyrażenie znajdujące się w 10-téj elegii księgi drugiéj, które świadczyć się zdawało, że poeta nasz znał dokładnie poemat Lukrecyusza i cenił go wielce, gdyż nazwał poetę słońcem świata rzymskiego i pomieścił go wraz z Orfeuszem i Safoną w szczęśliwym przybytku wieczności, gdzie niemasz ani cierpień ani trudów, lecz tylko śpiew i zabawa. Opierając się na tém domniemaniu starał się autor zbadać, najprzód o ile Kochanowski znał naukę Epikura wogóle, jako mistrza Lukrecyuszowego, a powtóre o ile ślady czytania poematu *O naturze rzeczy* pozostały w elegiach łacińskich naszego wieszcza. Co do pierwszego, autor przekonał siebie a do pewnego stopnia i uważnych czytelników, że wiadomości swoje o poglądach Epikura czerpał Kochanowski z dwu przeważnie źródeł: z rozprawy Cycerona: *O naturze bogów* i z poematu Lukrecyusza. Co do drugiego, autor wykazał, iż w elegii 3-éj księgi czwartéj znajdują się nie tylko podobne myśli jak w różnych miej-

scach poematu *o naturze rzeczy*, ale nadto całe wyrażenia albo całkowicie albo z małemi modyfikacyami z niego wyjęte. Siła dowodów nie jest równa w obu zaznaczonych punktach. Że Kochanowski czytał rozprawę Cycerona *o naturze bogów*, to jest rzeczą wielce prawdopodobną, ale ustępy przez p. Kallenbacha przywiedzione nie zdołają chyba prawdopodobieństwa w zupełną pewność zamienić, a to dlatego, że wypowiedziane są w nich takie ogólniki, że użyte są w nich takie wyrazy pospolite, iż niekoniecznie trzeba było wpływu rozprawy Cycerona, ażeby Kochanowski w takich właśnie a nie innych zawarł je słowach. I tak zdanie Epikura zawarte w epigramacie 114, które autor zestawia z témże zdaniem prawie temiż samemi wyrazami wypowiedzianém a przytoczoném przez Cycerona, mógł wziąć Kochanowski zarówno z rozprawy rzymskiego mówcy jak i z tłómaczenia Dyogenesa Laercyusza lub z innego zbioru apoftegmatów filozoficznych. Podobnież zdanie, że ziemia rodowi ludzkiemu dana w opiekę, jest tego rodzaju ogólnikiem, że niekoniecznie z Cycerona musiał ją poeta zaczerpnąć. Również zestawienia wyrażeń: duplici de *cardine vertex* z *cardine verti* niepodobna za dowód wpływu rozprawy Cycerona na Kochanowskiego poczytywać. Inaczéj rzecz się ma z dowodami o wpływie poematu Lukrecyusza zarówno myślowym jak wyrazowym na poetę naszego gdy pisał elegią 3-cią księgi czwartéj. Tu autor stoi na gruncie pewnym; a zestawienia przezeń czynione w całéj mocy utrzymać się dają; tu nawet pojedyńczy frazes: *fateare necesse est* jako wielce charakterystyczny wskazuje wyraźnie skąd go mógł Kochanowski wziąć do swego utworu. Nie ulega więc żadnéj wątpliwości, po dowodach p. Kallenbacha, iż Kochanowski znał Lukrecyusza i z poematu jego korzystał. Wykazanie i udowodnienie tego szczegółu i ciekawego i ważnego stanowi prawdziwą zasługę autora. — Cała rozprawka napisana jest stylem i językiem poprawnym; wolelibyśmy tylko nie widziéć w niéj tego nieszczęsnego germanizmu (str. 6: „nie rozchodzi nam się o przedstawienie“), który, niestety, tak często u autorów poznańskich i galicyjskich napotykamy.

= **D. Zgliński. Humor w Panu Tadeuszu** (*szkic estetyczny*). *Warszawa; nakład Lesmana i Świszczowskiego, 1883* (*str. 25*). — Pomijając „humory“ staréj medycyny, zauważyć można, iż wyrazu *humor* używamy albo na oznaczenie tego, co inaczéj usposobieniem człowieka w pewnéj chwili nazywamy („dobry“ lub „zły“ humor), albo téż na określenie pewnego rodzaju usposobienia duszy, które jako czynnik artystyczny w dziełach sztuki a przedewszystkiém poezyi występuje. W tym drugim razie humor rozumiany jest zazwyczaj

dwojako: albo jako humor staropolski, równoznaczny ze swobodną, niczém nie krępującą się, rubaszną, z bujności zdrowego życia i prostoty duszy wynikającą wesołością, albo téż jako humor angielski, określany rozmaicie, a najczęściéj zaś w trzech słowach: „uśmiech przez łzy.“ P. Gzgliński nie uwzględnia tych znaczeń wyrazu powszechnie przyjętych, lecz stara się dać własne jeżeli nie określenie to przynajmniéj objaśnienie jego. Lecz przy objaśnieniu tém, pierwsze zaraz zdania, w których autor opisuje różnicę pomiędzy „dowcipem“ a „humorem“ wprowadzają czytelnika w kłopot niemały. „Dowcip — mówi p. Zgliński — podnieca do głośnéj wesołości i mimowoli (?) łączy w sobie pojęcie *wrzawy*. Humor pobudza do uśmiechu i spokojnego zadowolenia.“ Czyż tak? To co autor przyznaje humorowi, pospolicie przyznawaném bywa dowcipowi, a to co autor poczytuje za cechę znamienną dowcipu, uważano za znamię wesołego żartu, rubasznéj jowialności, tłustego konceptu. Czyżby p. Z. nie chciał rozróżniać pojęć i różnorodne objawy ducha ludzkiego pragnął podciągać pod jednę rubrykę? A może się dotychczas mylono i niesłusznie nazywano konceptem to co było dowcipem? Ale w takim razie pisarz powinien być wyrozumiałym dla czytelników i zejść najprzód na poziom ich umysłów, ażeby następnie powoli do siebie ich przeciągnąć, gdyż inaczéj porozumienie między autorem a czytelnikami stanie się niemożliwém. Nie zatrzymujmy się jednak na samym początku; dalszy ciąg może nam wyjaśni co było niezrozumiałem. „Dowcip—czytamy daléj—bywa przebieglejszy od humoru, posiada *wesoły dźwięk* i *często ostre brzegi*; humor ma *połysk ujmujący* i nie tylko *nie kaleczy*, ale nawet *pobłaża*.“ Zastanawiają tu nas najprzód same wyrażenia, w których przenośnie ciągle się zmieniają i utrudniają czytelnikowi wyłuskanie ziarna myśli z łupiny frazeologicznéj. Dowcip bywa *przebieglejszy* — wyrażenie z dziedziny moralnéj; *wesoły dźwięk* wprowadza nas w sferę akustyki, *ostre brzegi* przypominają nóż, sztylet, miecz. Połysk humoru naprowadza nas na myśl o świetle, kaleczenie—o ostrych narzędziach, pobłażanie wiedzie nas znowuż do dziedziny moralności. Humor i dowcip ma tedy coś ze światła, z dźwięku, z ostrego narzędzia i wreszcie coś z czynników moralnych; wszystko to być może, ale wolelibyśmy, ażeby nam to wszystko jaśniéj i po kolei wytłómaczono, albo przynajmniéj pragnęlibyśmy, ażeby nam tak zestawiono porównania, iżbyśmy je w jeden obraz złożyć mogli; to wówczas wpatrując się w ten obraz moglibyśmy dojrzéć myśli przezeń usymbolizowanéj. Przejście od „wesołego dźwięku“ do „ostrych brzegów“ lub od „połysku ujmującego“ do tego co „nie kaleczy“ nie jest

zbyt łatwém, ażeby na nie ufnych czytelników narażać. Odwróćmy kartkę i czytajmy daléj: „Humor... nie mieści się w danym zwrocie słów, w zręcznem postawieniu kwestyi lub w dwuznacznéj igraszce wyrazów, ale raczéj stanowi *koloryt*, *pokrywa* całość, trudno go palcem wskazać i na szczegółach skomentować.“ I znowu zagadka. Jeżeli humor można porównać z kolorytem w obrazach, to go łatwo choć nie palcem wskazać, to okiem objąć i w szczegółach skomentować wybornie; i daléj, jeżeli humor jest tém co koloryt, to nie *pokrywa* całości, ale ją uwydatnia. Poprzestańmy na tych wypisach. Autorowi nie wiedzie się jakoś w określaniu pojęć ogólnych, a chociaż posiada dość znaczny zasób przenośni nie zadaje sobie trudu w ich zastosowaniu; która mu się pierwsza nasunie na myśl, tą się posługuje.[1] Może będzie szczęśliwszym gdy do szczegółów zejdzie, gdy się zajmie rozwinięciem właściwego tematu swéj rozprawki. Istotnie p. Z. umie odczuć to, co jest znamiennem w poemacie, umie wskazać ustępy, w których czytelnik może odnaleść właściwość, na którą autor zwrócić chciał uwagę, umie wreszcie wypowiedzieć kilka trafnych spostrzeżeń, dowodzących, że zastanawiał się samodzielnie nad poematem; lecz wskazanie a wykazanie i udowodnienie to są dwie rzeczy różne; udowodnić tezę tak, żeby czytelnik sam mógł osądzić, czy autor ma słuszność czy nie, p. Z. nie potrafił, bo albo sam z sobą jest w sprzeczności, albo téż daje takie objaśnienia, które wprost na manowce prowadzą. Naprzykład. P. Z. oznaczając „tajemnicę humoru Mickiewicza,“ powiada: „Poeta ani na chwilę nie daje się uwieść liryzmowi... Postaci i momenta niepowszednie utrzymuje w karbach ścisłego realizmu i tém samém pamięta o ich rysach powszedniejszych; zaś pospolitszym *dodaje* nieco powagi, czyli właściwie jednym i drugim przygląda się obustronnie: w najpoważniejszych odsłania strony słabe, a poważniejsze odnajduje w pospolitszych.“ Nie robię nacisku na sprzeczność zawartą w dwu częściach tego okresu (*dodaje* nieco powagi — przygląda się obustronnie), ale całe to określenie, dające poznać, iż Mickiewicz wiernie trzyma się natury w jéj objawach poważnych i pospolitych, zestawiam z kilkakrotnie powtórzonem w ciągu rozprawy zdaniem, iż poeta niektóre postaci przystroił w „groteskowe“ ciało; toż przecie w pojęciu grotesku mieści się już pojęcie nieprawdy, nienaturalności, karykatury. Weźmy jeszcze przykład błędnego objaśnienia. Autor przytacza nawiasowe zwroty w poemacie, np. takie:

> (to mówiąc, ręce ciągnął wzdłuż po stole
> I palcami ruch chartów przedziwnie udawał).

Poczém mówi: „Są-to, jakby w dziele naukowém cytaty stwierdzające autentyczność nieulegających wątpliwości faktów.“ Najprzód, w powyżéj przytoczonym i podobnych mu zwrotach nie ma chyba nic podobnego do cytat, gdyż są-to rysy niezbędne do plastycznego przedstawienia osoby lub sytuacyi, a powtóre te fakta, które wątpliwości nie ulegają, bez cytat obchodzą się doskonale: że po nocy dzień następuje, o tém wszyscy wiedzą, nie potrzebując powoływać się na „uczonego Tostata,“ jak ktoś w Monachomachii. W końcu swéj rozprawki p. *Z.* powiada, że o humorze w *Panu Tadeuszu* „nie mówiono prawie;“ zdaje mi się, iż autor się trochę myli; tę właściwość utworu, o któréj napisał rozprawkę, znano i rozbierano, tylko nadawano jéj inną nazwę, nazwę łagodnéj ironii.

= **Złota przędza poetów i prozaików polskich.** Pod tym napisem wyszedł zeszyt 1 zbioru na większą podobno podjętego skalę, który ma zawrzéć najcelniejsze, najbardziéj charakterystyczne utwory zarówno w prozie jak i wierszu pisarzów naszych od najdawniejszych czasów aż do doby spółczesnéj. Wydawnictwo rozpoczęto od wieku XIX, czyniąc zadość naturalnéj skłonności ogółu czytelników do zapoznania się z tém, co najświeższe. Szereg pisarzów najnowszego okresu rozpoczyna *Kazimierz Brodziński.* Podano bardzo treściwie życiorys jego, następnie całego „Wiesława“ i wybór poezyi lirycznych oraz epigramatów. Wybór ten zawiera bardzo drobną ilość utworów i można ją było zwiększyć bez pomnażania liczby stronic, gdyby pominięto przekłady pieśni ludów słowiańskich i elegii Kochanowskiego; wówczas możnaby było znaleść miejsce na „Pole raszyńskie“ i na takie np. śliczne fraszki:

> Łza na kwiat padła — jak rosa błyszczała;
> Łza na lód padła — i lodem się stała.

Z prozy Brodzińskiego pomieszczono wyjątki ze „Wspomnień młodości,“ z rozprawy „o klasyczności i romantyczności,“ artykuł o „wpływie zwyczaju narodowego,“ o „polonezie“ i o „krakowiaku.“ Zamiast tych ostatnich wypadało chyba dać wyjątki z rozprawy „o egzaltacyi i entuzyazmie.“ W końcu podana jest bibliografia, obejmująca wykaz wydań najważniejszych i spis studyów nad Brodzińskim. Pisarzowi temu poświęcono 3 arkusze ścisłego druku w wielkiéj 8-ce; a ponieważ zeszyt składa się z arkuszy 5-ciu więc w dwu ostatnich mamy początek wyboru z pism Mickiewicza, poprzedzony jego krótkim życiorysem, w którym zauważyliśmy niezgodne z rzeczywistością wyrażenie, że muza Mickiewicza od czasu

jego ożenienia „zamilkła zupełnie.“ Dotychczas pomieszczono z poezyi M-a następne: „Romantyczność,“ „Kurhanek Maryli“ (niepotrzebnie, właściwszym byłby „Dudarz“), „Powrót taty,“ „Lilie“ „Pani Twardowska,“ „Czaty,“ „Trzech Budrysów,“ 7 sonetów, „Hymn na dzień Zwiastowania,“ „Rozum i Wiara,“ „Rozmowa wieczorna,“ „Farys.“ Dobry papier, wyraźny i czysty druk oraz taniość (4 ruble za 60 arkuszy) zaleca to wielce pożyteczne wydawnictwo.

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w ciągu m. Kwietnia 1883 r.

1. **Nowelle I.** Wystrzał—Puszkina. Gwiazdy Daudeta i t. d. Kraków nakład *K. Bartoszewicza* 1883 str. 60.
2. **Filozofia wyzwolenia.** Przyczynek do dziejów pessymizmu, napisał *Seweryn Smolikowski.* Warszawa 1883 str. 207 i VIII.
3. **Pamiętnik Towarzystwa nauk ścisłych** w Paryżu Tom. XII. Paryż—nakład biblioteki kórnickiéj 1882. 4-o tablic XIII. cena 20 fr.
4. **Gramatyka języka niemieckiego**—dla szkół średnich ułożył dr. *Jan Molin.* Kraków 1883, nakład autora cena 80 cent. str. VII i 142.
5. **Nowe powiastki historyczne** (z dziejów polskich) dla młodzieży i ludu naszego napisał *Józef Grajnert.* Książeczka I-a, nakład autora, Warszawa 1883. Cena kop. 10 16-a str. 80.
6. **Sprawozdanie** pierwsze z czynności komitetu zarządzającego kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia dr. Józefa Mianowskiego od 6 paźd. 1881 do 31 grud. 1882. Warszawa 1883.
7. **Rys nauki o śmierci** (Tanatologia) p. dr. *A. Skórkowskiego* (z Medowatéj) Warszawa 1883 u Lesmana i Świszczowskiego str. 103.
8. **Łódź i Wiosło**—podręcznik dla wioślarzy, przygotował naczelnik przystani Warsz. Tow. Wiośl. Warszawa 1883.
9. **Rok 1573 w dziejach historyozofii** narodu polskiego napisał ks. *Wincenty Witkowski* Warszawa, Lesman i Świszczowski 1883 str. 130.
10. **Andrzej hr. Zamojski** napisał *St. Skrzyński.* Kraków 1883.
11. **Dr. Michał Zieleniewski.** Ilustrowana pamiątka z Krynicy, Kraków, 1883.
12. **Dr. Leopolda Neumanna.** Zarys dzisiejszego europejskiego prawa narodów, przełożony przez studentów uniwersytetu lwowskiego pod kierunkiem prof. *G. Roszkowskiego.* Lwów 1883. str. 168 i IX.
13. **O znaczeniu sztuki lekarskiéj** i stanowisku lekarzy p. dr. *I. Polaka,* Warszawa 1883 str. 76. Cena k. 60.
14. **Poezye,** *Stanisława Grudzińskiego,* Warszawa, M. Orgelbrand 1883, str. 201 i II.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1883 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Redakcya zawiadamia szanownych czytelników, że i w roku bieżącym starać się będzie o jak najstaranniejsze spełnienie programu, przedstawionego w prospekcie na rok 1882. Rozbierać jasno ważniejsze zagadnienia, jakie społeczeństwu naszemu rozwój stosunków stawia, rozpowszechniać zdobycze naukowe w świecie cywilizowanym dokonane, śledzić bacznie objawy umiejętne i literackie wśród narodu naszego, zdając o nich sprawę krytyczną, podawać dla umysłu przedmioty do rozwagi i fantazyi karm zdrową: oto główne cele, które osiągnąć zamierzyła sobie redakcya.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie pozostają też same jak poprzednio.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie . . . . **Rs. 12.**
Półrocznie . . . . **„ 6.**
Kwartalnie (tylko w Warszawie) **3**

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio

DO REDAKCYI ATENEUM
Włodzimierska, 14.

Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Апреля 1883 г.